LEWICA CHCE PUŚCIĆ POLAKÓW Z TORBAMI

Adrian Zandberg – cała prawda o socjaliście z nieludzką twarzą

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 25/634 16–22 CZERWCA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Co powinien zrobić nowy prezydent Polski – radzi Rafał A. Ziemkiewicz

KULISY WOJNY ELONA MUSKA Z DONALDEM TRUMPEM

Jak PiS porzucił budowę elektrowni węglowej w Ostrołęce

NAWROCCY

– rodzina pod medialnym ostrzałem

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 25 >
Nakład: 42 500 egzemplarzy

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

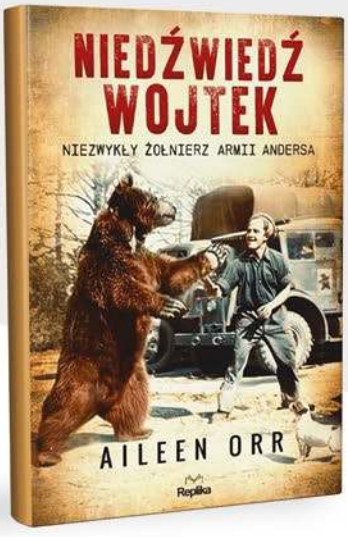

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

AILEEN ORR: „NIEDŹWIEDŹ WOJTEK" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~761 ZŁ~~

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 469 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5f87de27ee

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W poszukiwaniu wojennego realizmu

Obserwując polskie i zachodnie media, które komentują rozwój sytuacji wojennej na Ukrainie, tak lewicowo-liberalne, jak prawicowe, mam nieodparte wrażenie nierzeczywistości. Nie sposób w nich bowiem znaleźć tego, co tak jasno powiedziała kilka dni temu Tulsi Gabbard, dyrektor Wywiadu Narodowego USA, która w zamieszczonym przez siebie wideo zarzuciła elitom politycznym podsycanie ryzyka wybuchu wojny jądrowej i wezwała obywateli do sprzeciwu wobec „szaleństwa".

Czytam i słucham, i nigdzie nie mogę znaleźć podobnego tonu grozy, który przebija z jej wypowiedzi. Nagranie zostało dokonane w Hiroszimie. „To nie jest science fiction. To rzeczywistość, z którą się mierzymy, bo dziś stoimy bliżej krawędzi nuklearnej zagłady niż kiedykolwiek wcześniej" – powiedziała.

Słowa te padły oczywiście w kontekście wojny na Ukrainie. Ale jak należy rozumieć to stwierdzenie, że „dziś stoimy bliżej krawędzi nuklearnej zagłady niż kiedykolwiek wcześniej"? Czyżby pani Gabbard była histeryczką? W Polsce takie głosy przestrzegające przed wzrostem napięcia na Ukrainie albo uważane są za przejaw ulegania rosyjskiej propagandzie, albo traktowane jako wyraz tchórzostwa. Pani Gabbard swierdza dalej: „Podżegacze wojenni z politycznych elit bezrefleksyjnie eskalują strach i napięcia między państwami posiadającymi broń nuklearną – być może wierząc, że oni i ich rodziny znajdą schronienie w bunkrach, do których zwykli ludzie nie będą mieli dostępu". O kogo jej chodzi? Powtórzę: mówi to osoba dysponująca wiedzą zdobytą przez pewnie najlepsze służby wywiadowcze świata. Według niej konflikt nuklearny jest coraz bardziej prawdopodobny, a tymi, którzy do niego prą, są ci politycy (można sądzić, że chodzi o ogół liderów europejskich), którzy „eskalują strach i napięcia między państwami posiadającymi broń nuklearną". Łatwo zauważyć, że w kontekście musi chodzić o Rosję i USA.

To, że w Polsce takie stanowisko jest lekceważone, pokazuje, obawiam się, jeden z pierwszych wywiadów prezydenta elekta Karola Nawrockiego, którego ten udzielił zagranicznym, w tym przypadku węgierskim, mediom. Jak zaznaczył, Polska z powodów geopolitycznych i strategicznych musi wspierać Ukrainę w jej konflikcie z Federacją Rosyjską. „Największym zagrożeniem dla mnie jako antykomunisty i – moim zdaniem – dla całego regionu jest Federacja Rosyjska" – powiedział Nawrocki. Polski prezydent nazwał Rosję państwem postimperialnym i neokomunistycznym, kierowanym przez „zbrodniarza wojennego Władimira Putina". Dodał, że jako były prezes Instytutu Pamięci Narodowej sam jest w Rosji prześladowany, a grozi mu tam „pięć lat łagru".

Cóż, zastanawiam się, jaki sens mają tego rodzaju deklaracje wygłaszane na Węgrzech. W oczywisty sposób przyczyniają się one do wzrostu napięcia, przed którym to przestrzegała Tulsi Gabbard. Może nowo wybrany prezydent nie mógł się powstrzymać przed moralnym potępieniem Putina? Być może tak było, jednak warto zauważyć, że z podobną mocą nie potępia on powszechnie oskarżanego o zbrodnie ludobójstwa (i to przez MTK oraz ONZ) premiera Beniamina Netanjahu. Ba, nie tylko w tej sprawie milczy, lecz także z radością przyjmuje wsparcie od Donalda Trumpa, który to dla ludobójczej polityki Izraela stanowi główne oparcie. Robi tak dlatego, że zawiesił na kołku postawę moralizatora, bo uznał, iż to nie służy polskim interesom. Dlaczego uznał, że Rosji to nie dotyczy? Jaką korzyść z takich ataków retorycznych ma mieć nasze państwo?

Podobnie nie bardzo rozumiem, jak prezydent Nawrocki godzi przekonanie, że Rosja Putina jest zbrodniczym państwem neokomunistycznym, z twierdzeniem, iż Ukraina nie powinna wstępować do NATO. Coś tu się nie zgadza. Jak Polska może odmawiać Ukrainie przystąpienia do sojuszu, jeśli uważa, że Kijów zmaga się z „neokomunistycznym zbrodniarzem"? Jedno do drugiego nie pasuje. Radykalnie antyrosyjska retoryka prezydenta elekta pozostaje w sprzeczności z rozumnym postulatem, by Kijowa do NATO nie przyjmować. Po tym pierwszym wywiadzie można niestety wnosić, że – co się tyczy polskiej polityki wschodniej – nie będzie ona znacząco bardziej realistyczna.

Co znaczy realizm, doskonale pokazał – niemal w tym samym czasie, gdy polski prezydent elekt wygłaszał swoje antyputinowskie tyrady na Węgrzech – nie kto inny jak premier tego kraju, Viktor Orbán. Zapytany o to, jak przyjąłby w Budapeszcie prezydenta Putina, odpowiedział: „Jeśli zechce przyjechać na Węgry, to przywitamy go serdecznie". I dodał: „Rosji nie trzeba kochać, ale trzeba z nią dojść do porozumienia". Właśnie z powodu takich wypowiedzi Węgry traktowane są przez obie strony sporu jako ważny i podmiotowy gracz, Polska zaś uchodzi za instrument działania tych sił, które pani Gabbard określiła mianem „podżegaczy wojennych". Z tego też m.in. powodu jestem przekonany, że gdyby, nie daj Boże, do eskalacji wojennej doszło, to Polska, a nie Węgry, w pierwszym rzędzie by na niej ucierpiała. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

TEMAT TYGODNIA

14 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
PIERWSZA RODZINA POD MEDIALNYM OSTRZAŁEM
Bezpardonowe ataki na Nawrockich

18 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM
ZŁO NIE WYGRAŁO

KRAJ

21 PIOTR SEMKA
PASJANS NAWROCKIEGO
Kto do Pałacu Prezydenckiego

24 JAN FIEDORCZUK
SOCJALISTA Z NIELUDZKĄ TWARZĄ

27 ARKADIUSZ SIWKO
POLSKA A WOJNA PRZYSZŁOŚCI

30 RADOSŁAW WOJTAS
ŚWIAT SCHODZI NA PSY

KULTURA

32 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
NIESTRUDZENIE SŁUŻYŁA PRAWDZIE
Pożegnanie Ewy Dałkowskiej

34 PIOTR GOCIEK
NA BOGATO

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

40 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WIELKA POLSKA NAWROCKIEGO
Czas na przemeblowanie sceny politycznej

44 JAROSŁAW LINDENBERG
WYSTĄPIĆ Z UNII CZY JĄ ZLIKWIDOWAĆ?

47 WYWIAD Z BJØRNEM LOMBORGIEM
FAŁSZYWY ALARM KLIMATYCZNY

50 MACIEJ KORKUĆ
POLSKA I „OKROJONE NIEMCY"

52 WOJCIECH GOLONKA
BUNT I SKRUCHA MUSKA

HISTORIA

54 PIOTR ŚLIWIŃSKI
MOJŻESZ POLSKIEGO LIBERALIZMU
Wspomnienie Mirosława Dzielskiego

ŚWIAT

60 JACEK PRZYBYLSKI
WOJNY O „NIELEGALNYCH"
Trump wygrywa silną ręką

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
ROSJA BRUNATNA

66 TERESA STYLIŃSKA
KURDYSTAN: POKÓJ PEŁEN NIEWIADOMYCH

EKONOMIA

68 ROZMOWA Z GRZEGORZEM KSEPKĄ
ZDRADA ENERGETYCZNA
Jak PiS porzucił budowę elektrowni węglowej w Ostrołęce

SPORT

74 ŁUKASZ MAJCHRZYK
NIE JEST ŁATWO ZASTĄPIĆ WAŻNYCH PIŁKARZY
Lewandowski i Probierz nie są pierwsi

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (58), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 5f87de27ee

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Przemek Świderski/REPORTER, A. Robbert, S. Loeb/AFP/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 42 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Dlaczego tak drogo", Joanna Bojańczyk, „DRz" nr 22/2025

Szanowna Redakcjo,
bardzo cenionej przeze mnie pani red. Joannie Bojańczyk przydarzył się w publikacji „Dlaczego tak drogo" („Do Rzeczy", nr 22/2025) drobny błąd: napisała ona, że woda kolońska Przemysławka jest „w charakterystycznych butelkach oplecionych wiklinowym koszyczkiem". Otóż Przemysławka nigdy nie była produkowana w takich butelkach, chodzi tu o wodę kolońską Prastara.

Polecam moją książkę „Gentleman. Podręcznik dla klas wyższych", napisaną pod pseudonimem artystycznym Adam Granville, gdzie tematyce perfum poświęcono kilkanaście stron [...].

Łączę uprzejme wyrazy
dr Georg Nowak-Krogh

Od autorki

Brzydki mój błąd – przyznaję się do winy, dziękując za sprostowanie. Ach, kto dziś zrozumie subtelną różnicę między Przemysławką a Prastarą?

Z poważaniem
Joanna Bojańczyk

NEKROLOG

Zmarła

ŚP.

Ewa Dałkowska

Wybitna aktorka, piękny człowiek.
Twórczyni Teatru Podziemnego w stanie wojennym.
Uczestniczka akcji Towarzystwa Patriotycznego.
Gwiazda kabaretu Pod Egidą od Sierpnia 1981 r. do dni ostatnich.

Cześć i chwała jej talentom, postawie, dobroci...

Rodzinie składamy najgłębsze wyrazy współczucia.

Katarzyna Pietrzak, Jan Pietrzak

eprasa.pl 5f87de27ee

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Schyłek świętych krów

Nie tylko w środowisku polityków trwają rozliczenia po ostatnich wyborach prezydenckich. Joanna Miziołek, dziennikarka „Wprost", zadała na platformie X bardzo zasadne pytanie: „Jeśli dobrze pamiętam, portal Onet zapowiadał resztę artykułów na temat Karola Nawrockiego i Grand Hotelu. Gdzie są? Czy to było tylko na kampanię?".

Pytanie było jak najbardziej trafne. Jeśli dziennikarze Onetu deklarowali, że wykonali jakąś sporą pracę dochodzeniową na temat swoich twierdzeń, to niby dlaczego data drugiej tury wyborów 1 czerwca miała być jednocześnie momentem zakończenia pisania o sprawie? No chyba że materiał miał charakter wyłącznie wyborczy. Na wpis Joanny Miziołek zareagował Kamil Dziubka z „Onetu": „To miłe, że dziennikarskie miernoty domagają się jeszcze więcej dobrego dziennikarstwa u konkurencji. Może się czegoś nauczą". Abstrahując od arogancji Dziubki, zauważmy, że dziennikarz Onetu nadal nie wyjaśnił, dlaczego jego portal nagle zapomniał o całej sprawie.

W sieci posypały się słowa krytyki fatalnych manier Dziubki, w rezultacie zmuszony on był do odwrotu. Napisał: „Nadal uważam, że to pytanie to czysta insynuacja, bardzo krzywdząca moich kolegów i moją Redakcję. Natomiast niezależnie od tego słowo użyte w moim poprzednim wpisie było straszne i bardzo tego żałuję. Przepraszam Adresatkę i wszystkich, którzy poczuli się urażeni".

Echo, które wywołał nieelegancki atak Dziubki na koleżankę, pokazało, że coś się w świecie dziennikarskim zmieniło. Kolejny przykład drażliwości części środowiska dziennikarskiego przyszedł wraz z dyskusją dziennikarzy w TVP Info. Obecny w studiu Jacek Prusinowski, który prowadził drugą debatę prezydencką w TVP, został zaatakowany przez dziennikarzy za to, że nie przerwał Grzegorzowi Braunowi, gdy ten użył określeń antysemickich. Prusinowski bronił się, że zaakceptował formułę drugiej debaty, w której kandydaci prezydenccy zadają sobie nawzajem pytania, a on nie powinien w to ingerować. W tej sytuacji Bogusław Chrabota z „Rzeczpospolitej" rzucił uwagę: „Nie uważa pan, że to jest legitymizacja tego rodzaju sloganów, a dziennikarz stoi jak słup?". Na ten atak dość kąśliwie odpowiedział Tomasz Walczak z „Super Expressu": „Idiotyczne ataki na Jacka Prusinowskiego […]. To, że Jacek poprowadził dwie najważniejsze (debaty), pokazuje, kto tu ma rację".

A Joanna Miziołek cały spór wokół Prusinowskiego skomentowała tak: „Mam wrażenie, że coraz silniej rysuje się podział na dziennikarzy mainstreamowych mediów, którzy są pokoleniem elit i dziennikarzy z pokolenia, które wszystko musiało sobie wywalczyć ciężką pracą [...]. Czas mentorów się skończył". Nic dodać, nic ująć. To, co jest wyjątkowo irytujące w manierze np. „Gazety Wyborczej" czy Onetu, to to, że samemu – prowadząc czasami bardzo brudne kampanie – jednocześnie przyznają sobie zawsze i wszędzie status arbitrów elegancji i lekko przychodzi im pouczanie innych, często w bardzo arogancki sposób. Ten czas się kończy, i chwała Bogu. Ten spektakl trwa już naprawdę za długo. ©℗

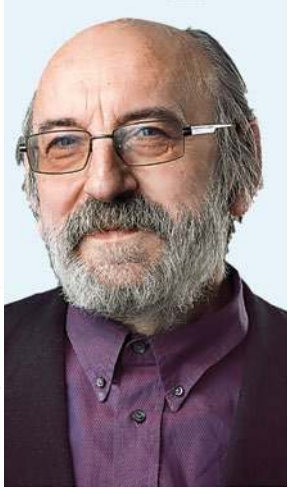

FOT. DO RZECZY, X.COM/FILIPMEMCHES, X.COM/CEZARYKRYSZTOPA

PUBLICYŚCI „DO RZECZY" ODZNACZENI

Sekretarz stanu w KPRP Andrzej Dera wręczył w Belwederze w imieniu prezydenta Andrzeja Dudy odznaczenia państwowe. Krzysztof Masłoń (pierwszy z lewej) został uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne osiągnięcia w podejmowanej z pożytkiem dla kraju działalności zawodowej i społecznej, za zasługi dla wolnej Polski". Z kolei Filip Memches (w środku) i Cezary Krysztopa zostali odznaczeni złotym Krzyżem Zasługi za „zasługi w działalności zawodowej i społecznej oraz na rzecz wolnej Polski". Serdecznie gratulujemy! ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z cyklu: meblowanie kancelarii Karola Elekta Tadeusza. Otóż zanim gruchnęła wieść, że szefem ma być Przemysław Czarnek, dotarły do nas wieści, że ma to być tzw. wskazanie w drugim ruchu. Bo w pierwszym propozycję miał otrzymać Tobiasz Bocheński, by elegancko odmówić. Przy okazji: nieźle wam tam cieknie Nowogrodzka. Ledwo nam pewna wiewiórka w najgłębszej tajemnicy powiedziała w miniony poniedziałek, że Czarnek, a już kilka godzin później inne media też dostały cynk. A to nie my cynkowaliśmy.

W sprawie relacji kancelaria – Nowogrodzka. Prezes prezesów, zwany też szeregowym posłem PiS, wyszykował listę bodaj dziewięciu nazwisk, które miło byłoby ujrzeć w kancelarii nowego prezydenta. Nie forsuje ich na siłę, lecz czeka na propozycje Karola Elekta Tadeusza. I to jest dobra koncepcja, ta koncepcja, bo parę już okazało się trafionych.

Nie uwierzycie, ale naprawdę nie wszyscy chcą. Na przykład propozycję ministrowania u prezydenta miał dostać Marcin Horała, ale nie chce tracić immunitetu poselskiego, bo demokracja warcząca jest wielce nieobliczalna. Zostanie więc jedynie doradcą prezydenta. Czy tylko społecznym – jeszcze nie wiemy.

Tymczasem Zły Donald z Sopotu dostał wotum zaufania w Sejmie, co ostatecznie zakończyło idiotyczne medialne rozważania, czy Władek Kosiniak-Kamasz jest nowym wcieleniem Talleyranda czy Metternicha. Okazało się bowiem, że wszystkie jego rzekome gry skończą się jak pechowe rybobranie przeręblowe w środku zimy. To znaczy wszyscy pójdą pod lód. Ale sami to sobie zafundowali, więc się nie przejmujemy.

Ważniejsze jest to, że po ostatnich deklaracjach ministrów tudzież po exposé Złego Donalda wykuł się program koalicji warczącej na resztę kadencji. Oto on: budowa oczek wodnych, budowa nowych orlików, remonty starych orlików, podwyżka płacy minimalnej o 4 zł i 70 gr, a także uruchomienie dwóch pociągów jeżdżących za granicę. Nie mieliśmy równie ambitnej władzy od czasów Batorego pod Pskowem.

Żeby nie było: doceniamy. Na przykład w kwestii kolejnictwa. W końcu uruchomienie dwóch nowych pociągów to aż o jeden więcej, niż uruchomił w 1814 r. George Stephenson! A on miał łatwiej, gdyż nie znano jeszcze Pendolino i można było zrobić lokomotywę ze starej balii, trzech rur i kociołka.

Z życia koalicji rządzącej. Jak twierdzą wiewiórki, jeszcze przed pierwszą turą marszymon Hołownia, licząc na wielki sukces, ostro negocjował z PeŁo swoje wycofanie z prezydenckiego wyścigu i przerzucenie od razu poparcia na Rafcia Dwugodzinnego, ale za wysoką cenę. Chciał zastąpić Rafcia na stanowisku prezydenta wszystkich warszawiaków i zostać wystawiony jako kandydat całej koalicji. Negocjacje spełzły na niczym, podobnie jak oferta rezygnacji Szymona w zamian za resztę kadencji w fotelu marszałka Sejmu.

Wszystko to oznacza, że obowiązuje początkowy deal: Szymon jest rotacyjnym marszałkiem pół kadencji, a potem ustępuje miejsca Władkowi Sweterkowi Czarzastemu. Uwaga! Sprytna Lewica wykryła, że Polska 2050 nie zagwarantowała sobie w tym dealu stanowiska wicemarszałka dla Szymona, gdy marszałkiem zostanie Sweterek. Czerwoni domagają się więc, by Polska 2050 pozostała bez wicka, a stanowisko to przypadło komuś z frakcji Biedronia.

Jedna z naszych wiewiórek trafiła na tzw. focusy, czyli badania, w których Platforma chciała ustalić, dlaczego Trzaskowski przegrał wybory. Jednym z tematów była kwestia, czy jednak nie lepszym kandydatem byłby Radek Sikorski. Jedna z badanych stwierdziła, że nie miałby szans, bo ma żonę Żydówkę. Inna zaoponowała, przypominając, że przodkowie obecnej pierwszej damy też mają krew izraelicką. „Dudowa? – żachnęła pierwsza. – Niech pani na nią popatrzy. Jaka z niej Żydówka? Applebaum to dopiero jest Żydówka!". Wychodzi na to, że zwycięstwo Nawrockiego ocaliło Polskę przed antysemitami.

Kontynuujemy cykl „słuchamy autorytetów". W dzisiejszym odcinku ponownie Adam Michnik. Ogłosił on, że Rafcio Trzaskowski to połączenie Platona z Einsteinem. Dla uproszczenia proponujemy ksywę Plainstein. Ale nie wiemy, czy się przyjmie. Ksywa Dwugodzinny jest jednak bardziej naturalna.

Płynnie przechodzimy od PO do Niemiec. W minionym tygodniu zdymisjonowano szefa słynnego niemieckiego wywiadu: Bruna Kahla. W kręgach naszych służb żartowano sobie, że to kara za przegrane wybory w Polsce. Potwierdzamy, że Kahl miał związki z Polską. To właśnie nasze służby ewakuowały go z Kijowa, w którym się znajdował, kiedy Ruskie napadły na Ukrainę. Żeby było śmieszniej, następcą Kahla został dotychczasowy ambasador Niemiec na Ukrainie. Dla nas nie jest to żadnym zaskoczeniem. Wszak do niedawna w Polsce ambasadorem był Freytag von Loringhoven, czyli były wiceszef BND. W Niemczech, choć nie tylko, granica między dyplomatą a szpiegiem zaiste jest bardzo cienka.

Tymczasem w europarlamencie. Nie wiemy, czy wiecie, ale każdy eurodep ma swoją stronę internetową. Strony te są przekładane przez ekipę brukselskich gryzipiórków i gryzimyszek na różne langłydże. Czasem z zaskakującym efektem. Na przykład jest taki europoseł konserwatywny ze Słowacji polskiego pochodzenia, który zowie się Milan Mazurek. Kopnął go zaszczyt, bo przełożono mu na polski nie tylko stronę, lecz także nazwisko. No i okazało się, że nazywa się Mediolan Mazurek. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Farsa

Idealnie pasuje tu tytuł z Szekspira: „Wiele hałasu o nic". Ale sam spektakl nie ma w sobie nic szekspirowskiego, jest to prymitywna farsa dla publiczności tyleż wiernej, ile niewybrednej. Mowa oczywiście o spektaklu „zastrzeżenia do przebiegu wyborów", który zafundowała nam przegłosowana władza. Nie, żeby pozwoliła sobie otwarcie zakwestionować wynik, bo tego wyraźnie nie życzą sobie jej zagraniczni protektorzy – zresztą dociskani o konkrety nawet tacy ludzie jak Ryszard Kalisz przyznać muszą, że nie ma podstaw, bo rzekome nieprawidłowości, nawet jeśli były, dotyczą zupełnie promilowej liczby głosów.

Władza jedynie niejasnymi aluzjami zasiewa wątpliwości. Jakaś „aplikacja Mateckiego", o której zawiadamia premier ABW, choć wszyscy wiedzą, że aplikacja do sprawdzania, czy ktoś nie głosował podwójnie (z którą Dariusz Matecki nie miał nic wspólnego), została oficjalnie zaaprobowana przez PKW; jakieś „pomylone" protokoły – choć więcej ich pomylono na niekorzyść Nawrockiego niż Trzaskowskiego – to dość, by przez tydzień portale i telewizje PO młóciły o „narastających wątpliwościach", „kolejnych zastrzeżeniach itd.

W ten sposób osiąga Tusk kilka celów. Po pierwsze – jego elektorat nie ma przestrzeni zapytać, kto jest winny tak kompromitującej klęski, bo emocjonuje się „wątpliwościami". Po drugie – nie ma w mediach przestrzeni, by mówić o prawdziwych nieprawidłowościach, wykazanych w miażdżącym dla władzy raporcie obserwatorów OBWE: nielegalnej, finansowanej z zagranicy kampanii oszczerstw wobec opozycji w sieci, bezprawnym pozbawieniu PiS dotacji budżetowej, sprzecznemu z prawem wykorzystywaniu przez kandydata Trzaskowskiego funduszy pochodzących z samorządów dużych miast i państwowej telewizji w rzekomej likwidacji. Po trzecie – odebranie zwycięzcom efektu zwycięstwa i stworzenie pozoru podstawy do zapowiedzianego już przez Tuska kwestionowania pozycji prezydenta i odbierania mu znowu samolotu.

A że to cuchnie? Hm, a jeszcze ktoś nie przywykł? ©℗

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Nowy Palikot na nowe czasy

MAREK JUREK

Przyjaciele dziwią się, że czytam takie książki, jak „Wybór" Donalda Tuska i Anne Applebaum. Tymczasem książki zawsze ułatwiają zrozumienie polityki lepiej niż pojedyncze wywiady, konferencje prasowe czy przekazy dnia.

„Wybór" Tusk ogłosił półtora roku przed ostatnimi wyborami do Parlamentu i już tam zarysował strategię, którą dziś realizują jego zwolennicy. Najpierw podważyć demokratyczny mandat władzy PiS, nie cofając się przed atakiem na istotę wolnych wyborów, na ich wynik. W tym celu powołana krótko potem komórka Nitrasa miała „badać nadużycia wyborcze". Nie pamiętam, żeby jakieś ujawniła, skoro wynik wyborów okazał się „prawidłowy". Teraz jednak już nie jest, więc Giertych wznawia akcję Nitrasa. A wstępem było ogłoszenie wygranej przez Rafała Trzaskowskiego po zupełnie niepewnych (różnica 0,6 proc.) sondażach exit poll. Bo właściwie dlaczego prezydent Warszawy nie powiedział wtedy: „Kochani, wygraliśmy ostatni sondaż, cieszmy się i czekajmy do rana na wynik samych wyborów"? Przecież wiedział, że nie ma podstaw, by powiedzieć cokolwiek więcej, a wygraną ogłosił. Dlaczego? Żeby przygotować klimat do podważania rzeczywistych wyników?

Dla obozu Tuska podważanie ma bowiem sens nawet bez unieważniania. Podważanie mandatu to skuteczny sposób podważania prerogatyw. Tak było z Lechem Kaczyńskim, tak było z Andrzejem Dudą, nic nie wskazuje, żeby inaczej miało być z prezydentem Nawrockim.

Od kilkunastu lat tylko Palikot się zmienił, bo i czasy inne. To też widać w „Wyborze". Tusk mówi tam, że Kaczyński faktycznie już wyprowadził Polskę z Unii Europejskiej. W ostatniej kampanii tych klimatów jednak nie było; ciekawy symptom. Najwyraźniej Tusk zrozumiał, że minęły już czasy, gdy piętnowanie krytyków Unii Europejskiej było skutecznym narzędziem kontrolowania opinii Polaków. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Matematyka w służbie lewicy

Porzekadło mówi, że matematyka nie jest kwestią opinii, a obliczeń. Jak się właśnie okazało, czołówka włoskiej lewicy jest innego zdania. Klasyczną matematykę ma za nic. Ba! Tworzy alternatywną na użytek propagandy. Być może to efekt frustracji. Koalicja rządząca cieszy się obecnie większym poparciem niż w wygranych wyborach trzy lata temu, co na świecie zdarza się rzadko i wiele mówi o bezradności opozycji.

Lewicowa Partia Demokratyczna (PD) w imię zwarcia wątłych szeregów zebrała pół miliona podpisów i urządziła referendum w kwestiach prawa pracy (notabene nowinek wprowadzonych przez lewicowy rząd premiera Renziego), a przede wszystkim w drażliwej sprawie przyznawania włoskiego obywatelstwa przybyszom. Chodziło o to, by można było się o nie starać po pięciu latach pobytu w Italii, a nie 10 jak obecnie, i to po ukończeniu 18 lat. Rządzący rzekli ludowi: Po co nam bójki i wojny? Zostańcie w domu. Nie będzie kworum (50 proc. uprawnionych) i będzie spokój.

Do urn poszło 29 proc. uprawnionych. Postępowcy ponieśli więc bezdyskusyjną klęskę. Co więcej, w sprawie obywatelstwa, mimo apeli włoskiego episkopatu i wielu organizacji, aż 35 proc. z 29 proc. dorosłej głosującej populacji było przeciw. Czyli organizatorów referendum w sztandarowej kwestii poparło zaledwie 19 proc. Włochów, co już nie jest klęską, a pogromem.

Jak się z tego wytłumaczyć? Trzeba bezczelności i matematyki alternatywnej. Maurizio Landini, szef największej centrali związków zawodowych CGIL (połowa członków to emeryci), oświadczył: „Osiągnęliśmy swój cel!". Jaki? Nie wiadomo. Szefowa PD, Elly Schlein, odeszła od zmysłów. Oświadczyła, że wynik referendum to wyraźne „NIE" dla rządu Meloni. A dzień później Partia Demokratyczna rozplakatowała w całej Italii manifest: „Włosi i Włoszki chcą zmiany rządu! W referendum wzięło udział 13 mln osób, o milion więcej, niż w wyborach głosowało na Meloni". Do przysięgłych wrogów Meloni zaliczyli również te 35 proc. głosujących, które w referendum powiedziało „NIE". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 5f87de27ee

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

GIERTYCHIZACJA ŻEBROWSKIEGO

Szok, zaprzeczenie, gniew, przetworzenie, akceptacja. Mniej więcej tak przebiega procesowanie powyborczej traumy przez naszych celebrytów zaangażowanych. Jeszcze trochę, a pogodzą się z tym, że prezydentem nie został „piękny Rafał" – ale to moment. Dajmy im czas, muszą wypłakać swoje. Żałobę dość mocno przeżywa aktor Michał Żebrowski, który co by nie mówić, zainwestował w kampanię Trzaskowskiego wiele czasu, energii i marzeń. Warto wspomnieć, że do głosowania 1 czerwca udał się przebrany za Pana Tadeusza. Nie dziwi więc, że werdykt nie jest dla niego czymś łatwym do zrozumienia. „Wybór na prezydenta mojej ojczyzny człowieka, który ma niewyjaśnione zarzuty o sutenerstwo oraz finansowe machlojki, stawia mnie w bardzo niekomfortowej sytuacji. Mój dyskomfort dodatkowo pogłębia wiedza, że prezydent mojej ojczyzny przyznał publicznie, że brał udział w bandyckich bójkach zakazanych prawem. Bandyta bowiem również nie może liczyć na mój szacunek, ponieważ nie uważam takich mężczyzn za mężczyzn. Uważam ich za tchórzy, ludzi szkodliwych z racji na ich wpływ na młodzież" – grzmi Żebrowski na Instagramie. Aktor z niedowierzaniem pyta, czy medialne rewelacje dotyczące przeszłości Karola Nawrockiego były prawdziwe. Bo jeśli tak, to jakim cudem wygrał? Dalej zwrócił się do wyborców Nawrockiego. „Szczerze szanuję wszystkich wyborców Nawrockiego z prostej przyczyny. Otóż uważam, że ich wybór, ich głos wypływał z takiej samej przyczyny i z takiego samego powodu co mój głos oddany na Trzaskowskiego. Ten powód nazywa się: miłość do Polski. Paradoksalnie dwaj skrajnie różniący się kandydaci zostali wybrani przez jedną połowę Polski z takich samych pobudek. Chcę to podkreślić. Uważam wyborców Nawrockiego za patriotów kochających Polskę" – napisał. Michał Żebrowski twierdzi, że na Trzaskowskiego nikt z jego wyborców nie głosowałby, gdyby „wisiał nad nim chociaż cień niewyjaśnionych podejrzeń i cień niewyjaśnionych oskarżeń, jakie kierowane były pod adresem Nawrockiego". Aktor zaapelował do Polaków, aby wyjaśnili, „czy jesteśmy słusznie zmuszeni rozliczyć wszystkie kłamliwe media, czy też słusznie powinniśmy traktować Nawrockiego jak bandziora". Jeszcze chwila i Żebrowski dołączy do Ruchu Podważania Wyniku Wyborów im. Romana Giertycha.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

OPERACJA TURCJA

Świat pędzi dalej, i to pomimo przegranej „najlepszego kandydata, jakiego miała Polska". Znakiem tego jest Marianna Schreiber i jej najnowsze przygody. Marianka zdecydowała się tym razem na operację powiększenia biustu, a skoro operacja, to wiadomo – kierunek Turcja. W trakcie podróży oraz rekonwalescencji towarzyszył jej partner. Trzydziestodwulatka relacjonowała wszystko w mediach społecznościowych. Obserwatorzy mogli niemalże poczuć przez ekran ból swojej idolki. „Na początku był duży [ból], ale każdy kolejny dzień to ulga. Po trzech dniach od operacji jest już lepiej. Wiadomo, że pierwsze kilka dni bierze się leki przeciwbólowe, a tak to należy przyjmować antybiotyk" – przekazała Schreiber tuż przed powrotem do ojczyzny. „Nie spodziewałam się, że ta rekonwalescencja będzie taka szybka w porównaniu do tego, co czułam pierwszego dnia po operacji" – dodała później. Marianna się cieszy, a więc wszyscy się cieszą.

COŚ EKSTRA

Powoli Marianna dochodzi do siebie. Zaprezentowała niedawno serię zdjęć nowych piersi, z cenzurą, chwaląc się efektem zabiegu, i należy się spodziewać, że teraz content „biustowy" stanie się u niej dominujący. Gdyby komuś było mało, Schreiber przygotowała specjalną ofertę. Celebrytkoaktywistka wpadła na pomysł, aby dać swoim fanom możliwość wykupienia płatnej subskrypcji na ekskluzywne materiały na Facebooku. Ile trzeba dać za dodatkowe treści z Marianką w roli głównej? „Okazało się, że taka subskrypcja kosztuje 44,99 zł – więcej niż miesięczny dostęp do podstawowych pakietów na popularnych platformach streamingowych. Dla porównania: Netflix kosztuje 33 zł, HBO Max – 29,90 zł, a Spotify – 23,99 zł" – wyliczył portal Plejada. Jak to się teraz mówi: absolutne kino.

TO MIAMI, NIE RIJAD

Polonia w USA nie daje o sobie zapomnieć. A dokładniej rodzina Rubików, która wiedzie radosny żywot na słonecznej Florydzie. Modelka Agata Rubik organizuje regularnie sesje pytań i odpowiedzi dla fanów. Tym razem w okienku na wiadomości pojawiło się stwierdzenie sugerujące, że 16-letnia córka Rubików, Helena, pokazuje w Internecie zbyt odważne jak na jej wiek stylizacje. „Helena nie za bardzo pokazuje swoje co nieco, jak na 16 lat?" – zapytał ktoś. W odpowiedzi żona kompozytora opublikowała zdjęcie z córką i dodała kilka słów od siebie. Podkreśliła, że jako rodzice dorastających pociech nie widzą w stylizacjach Heleny nic niewłaściwego. „A dajcie spokój. Skoro my nie mamy problemu, to tym bardziej wy nie powinniście mieć. Mieszkamy w Miami, a nie Arabii Saudyjskiej" – odparła. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam, wszyscy już wyjechaliście z tego kraju i siedzicie gdzieś na Zachodzie, robiąc sobie przerwę w zbieraniu szparagów na czytanie naszej modnej rubryki, czy postanowiliście dać temu krajowi jeszcze jedną szansę i zostaliście, wyrażając w ten sposób swoją obywatelską postawę i gotowość do odsunięcia pisu od władzy?

Jeśli zostaliście, to dobrze, iż musimy uważnie przyglądać się opozycji, czy czasami nie sfałszowała nam wyborów i czy nie będziemy znów zmuszeni do pokojowego pisania różnych haseł kredą na chodnikach, w stylu: „Kaczafi, oddawaj prezydenta" albo – uwaga, mocne – „Nawrocki, nie jesteś moją osobą prezydencką".

Na razie to Nawrocki jednak odebrał z PKW zaświadczanie o wyborze na prezydenta, a więc musimy się chyba szykować na bardzo trudny okres w historii tego kraju, kiedy prezydent będzie masowo wetował siedem ustaw w półtora roku, paraliżując tym samym pracę rządu i Unii Europejskiej.

Chyba iż jednak dojdzie do tego, że połączone siły serc Silnych Razem, Tomasza Lisa i Romana Giertycha sprawią, iż Sąd Najwyższy uzna, iż wybory są nieważne i należy przeprowadzić je ponownie.

Tym razem powinno się to jednak odbyć w formie obrazkowej, tak iżby zarówno ułatwić oddawanie głosów siłom demokratycznym (iż kolejność alfabetyczna faworyzowała Nawrockiego), jak i liczenie głosów członkom komisji wyborczych. Przy tej okazji prosimy o wyrozumiałość, iż nie każdy, kto siedzi w takiej komisji, musi być od razu po matematyce, a pomylić się może dosłownie każdy.

Na szczęście są też jakieś dobre wiadomości z tego kraju, a jedną z nich bez wątpienia jest to, iż rząd pana premiera Tuska uzyskał wotum zaufania, co oznacza, iż nadal będziemy rządzeni w mądry sposób przez pana premiera i jego ministrów.

Co prawda, w lipcu ma być jakaś rekonstrukcja rządu, ale to całkowicie normalne. Nawet jeśli mechanizm działa dobrze, to czasem wymienia się jakiś jego element, żeby działał jeszcze lepiej. Nie śmiemy przecież wątpić w platformerskie i przystawkowe, tzn. koalicyjne, kadry, iż znajdzie osoby jeszcze bardziej utalentowane niż obecnie zasiadające w rządzie osoby ministerskie.

Ba, obawiamy się nawet, iż jeden rząd nie byłby w stanie pomieścić tak wielu talentów, a zatem tym bardziej podziwiamy dbałość i troskę o finanse publiczne, iż rząd składa się z tak niewielu resortów, które tworzą tak nieliczni urzędnicy.

Mamy też nadzieję, iż nikomu nie przyjdzie do głowy likwidować tak fundamentalnych dla naszego rozwoju ministerstw jak np. równości. Wiecie, czasem w ferworze robienia zmian na lepsze można się tak zapędzić, że zlikwiduje się coś, co dobrze działa, a zostawi się coś zbędnego i potem jest problem, iżby to odkręcić.

W każdym razie my jesteśmy przekonani, iż ten rząd dostarczy nam jeszcze nieraz tak pozytywnych wzruszeń jak w czwartek, kiedy ze łzami w oczach oglądaliśmy uśmiechniętego premiera po otrzymaniu wotum zaufania. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Won!

Donald, jak przemawiałeś, to ręka ci się trzęsła. Może powinieneś się zbadać?
Jak ciebie widzę, to mi się wszystko trzęsie. Dywan ci rozwinęliśmy, a ty przerżnąłeś wybory i tak, Rafałku.

Ja tylko z troski pytam. Bo wiesz, lider nie może być chory. O, teraz też ci się trzęsie, z tym że podbródek.
Trzęsie mi się, bo się próbuję hamować. Przynajmniej się nie pocę.

Może spróbuj następnym razem powiedzieć coś innego niż tylko o PiS.
Może spróbuj parkingów nie kasować nałogowo.

Może spróbuj jakiś konkret zrealizować z tej swojej listy.
Może wynocha!
Won do ratusza! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Trzeba powtórzyć wybory".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na platformie X podważająca uczciwy przebieg wyborów prezydenckich w Polsce*

eprasa.pl 5f87de27ee

IZRAEL PRZYPUŚCIŁ ATAK NA IRAN

Ponad 200 izraelskich samolotów uderzyło w nocy z 12 na 13 czerwca w ok. 100 celów w Iranie. Celem kontynuowanych w piątek nalotów były m.in. instalacje nuklearne (np. zakłady wzbogacania uranu w Natanz), a także osiedla mieszkaniowe w Teheranie. Wśród ofiar izraelskiej operacji pod kryptonimem Wschodzący Lew znaleźli się m.in. czołowi naukowcy pracujący nad programem nuklearnym, a także wysocy rangą wojskowi, w tym szef sztabu Mohammed Bagheri oraz dowódca Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej Hossein Salami.

O możliwym ataku spekulowano od wielu lat. W marcu 2025 r. prezydent Donald Trump wyznaczył Iranowi ultimatum, dając władzom w Teheranie 60 dni na zawarcie dyplomatycznego porozumienia w sprawie programu atomowego. W maju światowe media wielokrotnie informowały zaś, że Izrael jest już gotowy do ataku na irańskie obiekty nuklearne.

„Terrorystyczny reżim okupujący Jerozolimę przekroczył wszystkie czerwone linie" – ogłosiły w piątek władze w Teheranie. Iran odpalił też w piątek w kierunku Izraela ponad 100 dronów. Eksperci nie wykluczają, że tak druzgocąca porażka irańskiej armii może doprowadzić nawet do upadku Islamskiej Republiki Iranu.

Na nowy konflikt na Bliskim Wschodzie błyskawicznie zareagowały globalne rynki finansowe. Giełdy papierów wartościowych odnotowały spadki, z kolei gwałtownie w górę skoczyły ceny ropy.

Rzecznik MSZ Paweł Wroński zaapelował w piątek do Polaków, aby wstrzymali się od podróży w rejony zagrożone wojną. ***(jap)*** © ℗

FOT. ABEDIN TAHERKENAREH/EPA/PAP

RSM
rosenbauer

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Pierwsza pod medialnym

Kampania wyborcza była czasem bezprecedensowych ataków na rodzinę Nawrockich. Polityczni hejterzy nie oszczędzili nawet dziecka

Mam wspaniałą córkę, bardzo ją kocham. Jest słodka, jest mądra. Jest po prostu sobą. Taka sama była na scenie w czasie wieczoru wyborczego – powiedział prezydent elekt Karol Nawrocki w jednym z pierwszych wywiadów udzielonych po zwycięstwie nad Rafałem Trzaskowskim. Wcześniej i później przez media społecznościowe przetoczyła się burza wywołana przez nienawistne komentarze, w większości anonimowych internautów, którym nie podobało się zachowanie siedmioletniej Kasi. Cóż oburzającego zrobiła dziewczynka? Nic. Była po prostu podekscytowanym dzieckiem, kręciła się, uśmiechała do fotoreporterów i do ochroniarzy, zagadywała mamę. – Była bardzo grzeczna, wysyłała serduszka, uśmiechała się. Jestem dumny z tego, że mam taką otwartą, wspaniałą, kochaną córkę Kasię i myślę, że miłością trzeba właśnie odpowiadać na akty nienawiści w stosunku do dziecka, bo to, co działo się w Internecie… Myślę, że największym bólem tych wszystkich, którzy pozwolili sobie na tego typu komentarze, jest właśnie uśmiech mojej córki i dystans do tego wszystkiego. To jest dziecko. To się nie powinno zdarzyć, ale zło zwyciężymy dobrem. I te obrazki mojej córki są chyba najlepszą odpowiedzią – z takim słodkim serduszkiem, które pokazała – powiedział jej ojciec w Telewizji Republika.

Okazało się, że autorką jednego spośród wielu obrzydliwych komentarzy pod adresem dziewczynki była nauczycielka z Bochni. „Zesr… się" – taki wpis opublikowano z jej konta, ale kobieta tłumaczyła, że ktoś… włamał się i pod nią podszył. – Pani oświadczyła, że jej konto zostało zhakowane. Sprawa jest zgłoszona do odpowiednich służb i prowadzone jest dochodzenie w tej sprawie. Czy naprawdę ona to zrobiła, ja tego nie wiem. Sytuacja jest dla nas bardzo trudna. Nauczycielka miała do tej pory nieposzlakowaną opinię, nigdy żadnej skargi, dobry pedagog, dobry nauczyciel. Ja też jestem pedagogiem z 30-letnim stażem i nie wyobrażam sobie, żeby ktoś w jakikolwiek sposób naruszał godność dziecka. Sytuacja jak najbardziej godna potępienia pod każdym względem. A czy ta pani to zrobiła czy nie? Nie potrafię tego ocenić – przekazała mediom dyrektor I LO w Bochni, Jolanta Kruk.

Niestety, przykład idzie z góry. Joanna Senyszyn, czyli kandydatka, która swój udział w wyborach prezydenckich zakończyła na pierwszej turze (1,4 proc. poparcia), a której czerwone korale stały się na ostatniej prostej symbolem popar-

eprasa.pl 5f87de27ee

W kampanii politycznej atakowano nie tylko Karola Nawrockiego, lecz także całą jego rodzinę FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA/FORUM

rodzina ostrzałem

cia dla Rafała Trzaskowskiego, zupełnie bez pardonu oburzała się na zachowanie córki Nawrockiego. W rozmowie z „Super Expressem" stwierdziła, że nikt nie rozpętał „nagonki", ale że była to „krytyka rodziców, którzy nie potrafili zapanować nad własnym dzieckiem". Była członkini PZPR stwierdziła nawet, choć nie ma ku temu żadnych przesłanek, że to rodzice małej Kasi narazili ją na kontakt z internetowym hejtem. „Dzieciom nie można pozwalać absolutnie na wszystko. Trzeba stawiać im granice. A jak widać, córka państwa Nawrockich tych granic po prostu nie ma. Trudno mówić o hejcie na dziecko, które jest krytykowane, bo dziecko w tym wieku nie powinno śledzić mediów społecznościowych ani czytać czegokolwiek o sobie. Jeśli rodzice dopuszczają do tego, że dziecko czyta takie rzeczy o sobie, to raczej trzeba skrytykować rodziców, a nie komentujących" – mówiła.

Co ciekawe, w obronie siedmiolatki i jej rodziców stanęła spora rzesza celebrytów, znanych raczej z sympatii do obecnie rządzących. „Jej radość i ekscytacja były ujmujące, dziecinne, szczere i prawdziwe. Kasia jest cudem. Radosnym, fajnym dzieckiem. Widać z daleka, że kochającym i kochanym. Pewnie nikt nie kazał jej stać na baczność. Może właśnie dlatego została »oskarżona« przez wysoki trybunał oburzonej – jak to mówią – »elyty«, o radość, o wygląd, zachowanie i całokształt" – komentowała prezenterka Joanna Racewicz.

Siedmioletnia Kasia towarzyszyła ojcu od początku kampanii. Jej szczery, dziecięcy uśmiech można było zobaczyć już podczas prezentacji kandydatury Karola Nawrockiego w listopadzie ubiegłego roku. W wywiadzie udzielonym na kanale najstarszego syna, Daniela, przyszła pierwsza dama Marta Nawrocka również skomentowała ataki na dziecko. – Było to dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Kasia w wieczór wyborczy cieszyła się, machała, klaskała, machała flagą. Była naturalna – mówiła i wskazywała, że szczególnie zdziwienie budzi, iż wiele z nienawistnych komentarzy pisały kobiety, być może też matki. – Będę walczyć, by te komentarze zniknęły i nigdy do Kasi nie dotarły – zapewniła.

Z kolei we wpisie na Facebooku Marta Nawrocka apelowała o refleksję. „Serce każdego rodzica bije dla swoich dzieci. To najpiękniejszy dar, jaki można otrzymać. Zatrzymajmy się na chwilę i pomyślmy, jak słowa mogą ranić. Każde dziecko zasługuje, by dorastać w świecie pełnym miłości i akceptacji. Zwracam się więc z prośbą do Państwa: chrońmy najmłodszych, pozwólmy im cieszyć się najpiękniejszymi momentami w ich życiu" – napisała.

„TATO, ZAPRASZAM NA SCENĘ"

Jak młodsze dzieci Nawrockich zareagowały na zwycięstwo ojca? – Są szczęśliwi, choć chyba do końca jeszcze do nich nie dotarło, co się wydarzyło. Kasia spotyka się z koleżankami, zaprasza je do domu. Antek już myśli, gdzie

eprasa.pl 5f87de27ee

pójdzie do szkoły w Warszawie. Zostawia znajomych, przyjaciół, ale są media społecznościowe, teraz łatwiej utrzymać kontakt – powiedziała Nawrocka. – Antek to jest średni syn, jest twardzielem, jest przygotowany na to. Zachęcam oczywiście wszystkich, drodzy państwo, żeby naprawdę oszczędzić w boju politycznym dzieci. Dajmy im być dziećmi, nie atakujmy ich – tak mówił o nim ojciec.

Antoni, młodszy syn pary, ma 15 lat i również pojawiał się u boku ojca w najważniejszych momentach kampanii. Ciepły obrazek można zobaczyć w wideopodsumowaniu ostatnich godzin przed ogłoszeniem wyników exit poll 1 czerwca. Po wspólnej niedzielnej mszy w kościele Chrystusa Króla na warszawskim Targówku kandydata i jego rodzinę otoczyli wierni, chcący porozmawiać i zrobić sobie zdjęcie. W centrum zainteresowania oczywiście Nawrocki, ale kamera złapała zabawę Kasi z Antkiem. Dzieci trzymają się za ręce i dają buziaka.

Najmocniej zaangażowany w kampanię ojca, co zrozumiałe z racji wieku, był 21-letni Daniel Nawrocki. To on „zapowiedział" kandydata podczas prezentacji 24 listopada w krakowskiej hali Sokół. – Szanowni państwo, nazywam się Daniel Nawrocki. Zaraz tutaj na scenę wyjdzie człowiek, który dla mnie jest kimś więcej niż kandydatem na prezydenta. To mój tata. Zawsze gotowy, zawsze obecny, zawsze pomocny. To dla mnie wielki zaszczyt. Tato, zapraszam na scenę – powiedział do zgromadzonych. Gdy prezes IPN pojawił się na scenie, odparł: – Daniel, synu, bardzo Ci dziękuję. Dziękuję Ci, że jesteś i jesteś z nami.

W wywiadzie dla TV Republiki Karol Nawrocki wskazał, że jego syn „hejtu doświadczał nieco wcześniej, bo już jako 17-latek angażował się w sprawy społeczne". W kampanii internetowa krytyka była związana z faktem, że Daniel nie jest biologicznym synem prezydenta elekta. Kandydat na początku grudnia opowiedział swoją historię. Marta Nawrocka urodziła Daniela, mając 17 lat. Podczas spotkania w Bielsku-Białej prezesa IPN zapytano o podejście do kwestii takich jak aborcja, eutanazja oraz in vitro. – Jestem katolikiem, jestem członkiem Kościoła katolickiego, jestem chrześcijaninem. Jestem za życiem od poczęcia do naturalnej śmierci, to jest rzecz naturalna. Moja historia rodzinna mnie też do tego zobowiązuje – wskazał Nawrocki. – Może tu, w Bielsku-Białej, jej fragment opowiem. Jestem ojcem wspaniałego syna, Daniela, który ma 21 lat, którego bardzo kocham. Nie wyobrażam sobie bez niego życia, on kocha mnie też. Może część z państwa go widziała. Wychowuję go od drugiego roku życia. Nie jest moim biologicznym synem, ale zapominam czasami o tym, bo nie znam innego życia jak z Danielem, a on nie zna innego ojca jak ja. Mamy świadomość w moim rodzinnym domu, że Daniel żyje za sprawą głębokiej odporności psychicznej, poświęcenia i gotowości jego młodej wówczas mamy do tego, aby go urodzić i aby życie wygrało. Ta sytuacja w pewien sposób buduje też mnie osobiście – podkreślał historyk.

Po wyborach przyszła pierwsza dama udzieliła wywiadu synowi Danielowi

FOT. DANIEL NAWROCKI/YOUTUBE

Daniel Nawrocki jest studentem prawa i wiceprzewodniczącym Rady Dzielnicy Siedlce w Gdańsku. W wyborach samorządowych w 2024 r. bezskutecznie walczył o miejsce w Radzie Miasta Gdańska z list Prawa i Sprawiedliwości. Jest dziennikarzem portalu Gazeta Morska, który współtworzy z kolegami. „To miejsce dla osób zawodowo związanych z gospodarką morską oraz tych, dla których morze jest pasją i inspiracją" – podano na stronie internetowej. Wcześniej syn prezydenta elekta pisał dla „Dziennika Bałtyckiego". Dwudziestojednolatek mocno zaangażował się w działania na rzecz zwycięstwa ojca – rozwieszał plakaty, udzielał wywiadów, pojawiał się na wiecach. Odniósł się do tzw. afery mieszkaniowej, która wybuchła przed pierwszą turą. – To boli, bo ja go znam najlepiej wraz z mamą, z rodzeństwem. Te zarzuty w jego stronę są nieprawdziwe, ale z drugiej strony to nas buduje, bo widzimy, jak system, jak służby, jak państwo boi się mojego taty i nie chcą dopuścić do tego, by on wygrał te wybory – wskazał.

W kampanii internetowa krytyka była związana z faktem, że Daniel nie jest biologicznym synem prezydenta elekta

RODZINA TO SIŁA

Rodzinę kandydata atakowano na różne sposoby. Podjęto m.in. próbę ukazania jego małżeństwa w złym świetle. W styczniu „Gazeta Wyborcza" podała, że Karol Nawrocki, jako dyrektor gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej, miał korzystać z ulokowanych w siedzibie tej instytucji apartamentu i pokojów. „GW" napisała, że zarezerwował na prawie 200 nocy 116-metrowy apartament typu DELUX. W tle oparta na anonimowych źródłach sugestia, że przyczyną korzystania z apartamentu były „problemy małżeńskie". – Niech pan sprawdzi, co to był „statek miłości" – powiedział informator gazety.

Choć zaznaczono, że sugestia nie musi dotyczyć Nawrockiego, bo nie był jedynym pomieszkującym w części hotelowej, to przeciwnicy polityczni kandydata chęt-

eprasa.pl 5f87de27ee

nie podgrzewali wątek rzekomej niewierności. Szybko w akcję włączył się poseł KO Roman Giertych. „Jutro proponuję, aby PiS zrobił nam Konferencję pt. »Wartości Rodzinne i Chrześcijańskie«, co jasne, transmitowaną na żywo z Jasnej Góry przez Radio o. Rydzyka, a głównym wykładowcą zostałby oczywiście Karol (Och!) Nawrocki" – pisał na portalu X.

Karol Nawrocki zdecydowanie zaprzeczył. „Korzystałem czasem z pokoju należącego do kompleksu muzeum, ale tylko z tego, który był akurat wolny, i na pewno nie przez 200 dni. Najdłużej przebywałem w pokoju 10 dni, gdy byłem na kwarantannie podczas pandemii. Nie było żadnej stałej rezerwacji na wyłączność. To fake news" – przekazał.

Medialne insynuacje nie osłabiły więzi małżonków. Trzydziestodziewięcioletnia Marta Nawrocka od początku kampanii stała przy mężu. W młodości była baletnicą, jednak wybrała inną drogę. Skończyła Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego, a przez ostatnie kilkanaście lat pracowała w Krajowej Administracji Skarbowej. Tam zajmowała się kontrolą przemysłu naftowego, spirytusowego oraz nielegalnego hazardu. Tuż przed drugą turą wyborów wygłosiła mocne przemówienie. – To, co się ostatnio dzieje wokół naszej rodziny, te pomówienia, te oszczerstwa, tylko nas wzmacniają i na pewno nie damy się tym hejterom. Drodzy państwo, ja jako kobieta, jako żona, ale przede wszystkim jako matka, nie zgadzam się na hejt, na nienawiść, na agresję i chciałam wam jeszcze tylko powiedzieć, że ja to gangsterów ścigam, a nie wychodzę za nich za mąż – podkreślała Nawrocka na wiecu w Katowicach.

– Wchodzimy do nielegalnych punktów z grami hazardowymi, zatrzymujemy ludzi, zabezpieczamy automaty, gotówkę, prowadzimy czynności procesowe. Walczymy z nielegalnym hazardem, który działa poza przepisami prawa oraz mocno uzależnia – tak opowiadała z kolei w jednym z wywiadów o swojej pracy.

Po wyborach przyszła pierwsza dama udzieliła wywiadu synowi Danielowi. Przyznała, że obecny czas to dla niej etap przygotowania się do nowego, wymagającego etapu – zarówno dla niej samej, jak i całej rodziny. – To wielkie zmiany, wielka odpowiedzialność – podkreśliła. – Zwiedziłaś całą Polskę. To było 50 spotkań w trakcie tej kampanii. Co byś chciała powiedzieć ludziom, których poznałaś? – pytał mamę Daniel Nawrocki. Kobieta odparła, że bardzo cenne były dla niej spotkania z kobietami i chciałaby je kontynuować podczas prezydentury jej męża. Pytana, co najbardziej zapamiętała z wyjazdów, opowiedziała historię z Tatr. – Przyjechaliśmy na trzy dni do Zakopanego, namówiono mnie, żebym weszła na Giewont. Trafiło się okienko pogodowe i się udało. Po drodze spotkaliśmy niedźwiedzicę z małym, co podobno rzadko się zdarza – wspominała.

Medialne insynuacje nie osłabiły więzi małżonków. Marta Nawrocka od początku kampanii stała przy mężu

Marta Nawrocka nie ukrywa, że wygrana męża zmieniła jej życie o 180 stopni. – Jestem bardziej rozpoznawalna, a pani paparazzi stoi pod naszym blokiem cały czas, chyba wyjdę w końcu do niej z kawą. Ale wiadomo, ma taką pracę, a to mnie nie przytłacza. To, co dla mnie nowe, to ochrona, która cały czas mi towarzyszy. Nie mogę prowadzić samochodu, dzieci już też mają ochronę. To się zmieniło. Bo tak na co dzień jesteśmy jeszcze w Gdańsku, w naszym mieszkaniu – mówiła.

Niedawno „Super Express" opublikował galerię zdjęć pt. „Marta Nawrocka robi to z prawdziwą gracją. Wszystko widać na zdjęciach pierwszej damy". A tam Nawrocka wieszająca pranie na balkonie własnego mieszkania.

OD CIASTA DO... ROSJI

– Jest gorąco, stresujemy się, jak cała nasza rodzina. Noc będzie nieprzespana. Będziemy śledzić każdy nowy głos, za który już z góry dziękujemy – opowiada w nagraniu zza kulis Nina Nawrocka, siostra prezydenta elekta. W trakcie niezwykle brutalnej kampanii także ona stała się obiektem ataku. Nawrocka jest szefową cukierni w jednej z cenionych gdańskich restauracji. Na swoim koncie ma zwycięstwo w Mistrzostwach Polski w Przygotowaniu Deseru Expo Sweet w 2016 r. Znany z absurdalnego „łączenia kropek" dziennikarz Tomasz Piątek połączył ją… z Rosją. „»Wróg Rosji« Karol Nawrocki jest wspierany przez siostrę, pracującą jako cukiernik dla sieci Hilton, która: wciąż prowadzi hotele w Rosji, reklamuje po rosyjsku restaurację, gdzie siostra robi desery" – pisał w sieci. To nie koniec absurdalnych wynurzeń Piątka. „Dodam, że Nina Nawrocka wg tygodnika »Polityka« ma uwiarygodniać Karola Nawrockiego w kampanii jako »rezerwowa pierwsza dama«; jest znakomitym cukiernikiem, zdobywa prestiżowe nagrody, może więc przebierać w propozycjach i nie jest skazana na pracę dla sieci działającej w Rosji" – kontynuował. Sięgając do wspomnianego przez Tomasza Piątka tekstu „Polityki", czytamy: „Rodzina kandydata na prezydenta może pomóc w zdobyciu głosów, ale może też utrudnić drogę do Pałacu Prezydenckiego". Dziś wiemy, jak bardzo tygodnik się pomylił.

Rafał Trzaskowski jako zarzut pod adresem rywala postanowił wykorzystać wypowiedziane w zupełnie innym, pozytywnym kontekście słowa siostry. – Bardzo często było tak, że gdy chowałam swoje słodycze, po kilku dniach nie mogłam ich znaleźć i okazywało się, że mój starszy brat po prostu je sobie przywłaszczył – wspominała Nina Nawrocka w jednym ze spotów, mówiła to z uśmiechem. – Kiedy odszedł tata, ja byłam nastolatką, mój brat przejął rolę taty, opiekował się mną, uspokajał mnie. Mówił: „Nisia, damy radę, wszystko będzie dobrze" – dodała w kolejnym zdaniu. Tymczasem kandydat KO wspomnienia o cukierkach użył do ataku. – To taki człowiek, którego zawsze się omijało w szkole, który zabierał kolegom kanapki, a siostrze cukierki i trzeba było wtedy stanąć i bronić tych słabszych przed tego typu kolegami – powiedział w TVN24.

Syna przez cały czas, choć w tle, wspierała mama, Elżbieta. – Dzisiaj, jak cała rodzina przygotowywała się do wyjścia, to poprosiłam, żeby ktoś mnie uszczypnął, czy to się dzieje naprawdę. Mam takie momenty, że trudno mi w to uwierzyć. Wszystko będzie dobrze, w syna wierzę – mówiła kilka godzin przed zakończeniem ciszy wyborczej 1 czerwca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Zło nie wygrało

Z prof. Andrzejem Nowakiem, historykiem, kawalerem Orderu Orła Białego
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Jaka była pana reakcja po ogłoszeniu wyników sondaży late poll, kiedy okazało się, że Karol Nawrocki wyprzedził Rafała Trzaskowskiego, który dwie godziny wcześniej zdążył już odtrąbić zwycięstwo w wyborach?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Pomyślałem, że zło nie wygrało. I nie mam, broń Boże, na myśli pana Rafała Trzaskowskiego. Jego uważam raczej za ofiarę tego zła. Mam na myśli kampanię wyborczą, rekordową pod względem negatywnych emocji, kłamstw i manipulacji, którymi została nasycona, żeby zniszczyć kandydata strony obywatelskiej czy – szerzej – opozycyjnej lub jeszcze inaczej: strony patriotycznej.

Należał pan do architektów pomysłu wysunięcia kandydatury Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich. Kandydatury nieoczywistej. Jakie cechy Nawrockiego przekonały pana do postawienia na jego osobę?

Zdawałem sobie sprawę z tego, że Polsce potrzebny jest człowiek bardzo silnego charakteru, człowiek, który mówi to, co myśli. Akurat gdy idzie o służbę publiczną pana Nawrockiego, to od kilkunastu lat, odkąd zaczął pracować w IPN, a następnie stał się dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej i wreszcie prezesem IPN, można krok po kroku śledzić jego działania i wypowiedzi. One budują niezwykle konsekwentny, spójny wizerunek, który odpowiada prawdzie.

To nie jest PR-owski wizerunek, tylko konsekwentne działanie zgodne z hasłem, które wiem, że brzmi hasłowo, ale jest hasłem jak najbardziej prawdziwym, jeśli chodzi o sposób działania i myślenia tego człowieka, czyli „najważniejsza jest Polska, najważniejsi są Polacy". W wypadku Nawrockiego to nie jest frazes. Mamy tu do czynienia z połączeniem siły charakteru z odpornością na ciosy. Trudno mi sobie wyobrazić drugiego człowieka w Polsce, który mógłby taką kampanię przetrwać. Jeśli zna pan kogoś takiego, to proszę go wskazać. Chyba to bokserskie przygotowanie, które ma Karol Nawrocki, było konieczne, żeby wytrzymać te wszystkie ciosy, zadawane w dodatku poniżej pasa.

Pana opinia jest diametralnie inna od oceny prof. Antoniego Dudka, który twierdzi, że Karol Nawrocki „jest jedną z najbardziej niebezpiecznych postaci, które pojawiły się w polskim życiu publicznym w ostatnich latach".

Zaskoczyła mnie ta niezwykła zaciekłość opinii, ośmielę się powiedzieć, mojego serdecznego kolegi. Znamy się z prof. Antonim Dudkiem od ponad 30 lat. Korzystając z okazji, że obaj zasiadamy w Radzie Numizmatycznej Narodowego Banku Polskiego, zapytałem go, co jest powodem jego szczególnie emocjonalnego stosunku do Karola Nawrockiego. Usłyszałem odpowiedź, która – przepraszam – źle świadczy o jej autorze. Mianowicie, że coś wie, ale nie powie. To najgorszy sposób argumentacji. Jak do tej pory nie wyszliśmy poza tę fazę, „coś wiem, ale nie powiem". Nie umiem tego wytłumaczyć. Pozostawiam to w sferze, której nawet nie chcę zgłębiać, bo wciąż serdecznie szanuję pana prof. Dudka i nie zamierzam wchodzić z nim w polemikę. Nie rozumiem jego postawy.

Jak najbardziej rozumiem natomiast kampanię negatywną zbudowaną

eprasa.pl 5f87de27ee

wokół tych emocji przez ludzi, którym zwycięstwo kandydata opozycyjnego niezwykle krzyżuje szyki. Mówię oczywiście o środowisku premiera Donalda Tuska i jego otoczeniu medialnym. Oni są zdolni posunąć się do wszystkiego, dosłownie wszystkiego, żeby przeforsować swoją władzę w polskim systemie politycznym.

Zwycięstwo Karola Nawrockiego daje nie tylko nadzieję na utrzymanie kurczących się przyczółków suwerenności, lecz także być może impuls do odwojowania Polski, odzyskania tych obszarów suwerenności, które oddaliśmy Unii Europejskiej?

Nie chciałbym używać retoryki o odwojowaniu Polski, chociaż rozumiem, że może być ona nawet uzasadniona. Myślę, że praca na rzecz odbudowania wśród większości Polaków poczucia, że polskość to normalność, a nie „nienormalność”, jak głosi znane hasło z drugiej strony politycznej sporu, i że suwerenność nie jest zjawiskiem, które należy wyrzucić do lamusa historii, bo jest już zupełnie nieaktualne w XXI w., ale że jest rzeczą niezwykle potrzebną dla naszego dobrobytu i dla naszego, powiedziałbym, uczucia zadomowienia w Polsce. Kluczowym elementem naszej politycznej wspólnoty. Bez tego przestajemy po prostu być bezpieczni. Nie mam wątpliwości, wracając do pana wcześniejszego pytania, że Karol Nawrocki niezwykle głęboko rozumie potrzebę suwerenności, czego nie można powiedzieć o jego konkurencie.

Nie byłoby sukcesu Karola Nawrockiego, gdyby nie poparcie, którego w drugiej turze udzielili mu masowo zwolennicy obydwu Konfederacji, którzy w pierwszej turze wyborów głosowali na Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna. Wydaje się, że przed prezydentem Nawrockim stoi poważne wyzwanie związane z patronowaniem przyszłej koalicji Prawa i Sprawiedliwości z konfederatami.

Myślę, że to nie jest wyzwanie, tylko wielka szansa. I to szansa, z której – jestem tego niemal pewien – prezydent Nawrocki skorzysta. Jest wręcz dla niej stworzony, bo po prostu nie jest to kandydat partyjny. Wiadomo, że poparło go Prawo i Sprawiedliwość jako najsilniejsza partia opozycyjna. I bardzo dobrze się stało. Jest to oczywisty powód do wdzięczności wobec tej partii i jej prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Ale znam na tyle pana Karola Nawrockiego, tak mi się przynajmniej wydaje, żeby powiedzieć z pełnym przekonaniem, że nie będzie to prezydent podległy jakiejkolwiek partii i jakiemukolwiek prezesowi. Nawet najsilniejszemu politycznie i najbardziej zasłużonemu. Myślę, że ta decyzja milionów wyborców Konfederacji zobowiązuje mimo postawy pana Mentzena, który nie zachował się w sposób jednoznaczny.

Nawiązuje pan do sławetnego „piwa w Toruniu”...

Tak, ale też do decyzji Grzegorza Brauna, który poparł Karola Nawrockiego wprost. Pan Mentzen tego nie zrobił, a zrobiło to 90 proc. jego wyborców. To pokazuje, że niezależnie od tego, jakie gry polityczne czy partyjne mają w swoich umysłach przywódcy poszczególnych formacji, Polska jest najważniejsza, Polacy są najważniejsi. Tak rozumują wyborcy Konfederacji, tak rozumują wyborcy Grzegorza Brauna, tak rozumuje prezydent, więc nie ma wątpliwości, że sprawa, o którą pan pyta, będzie sprawą podstawową w całej prezydenturze Karola Nawrockiego, i jestem pewien, że ona się w dużym stopniu uda. Reszta zależy od przywódców partyjnych.

Jeśli partie prawicy nie będą się wykrwawiać we wzajemnych wojenkach, to jest otwarta droga do zwycięstwa w wyborach parlamentarnych za dwa lata. Wszytko w rękach ich liderów.

Dokładnie trzech liderów, którzy wspólnie mogą zbudować sukces albo wszystko razem zepsuć. Co będzie za dwa lata, tego nie przewidzimy w tym momencie. Raczej nie wierzę w scenariusz przyspieszonych wyborów. Sądzę, że przy pomocy Brukseli i Berlina rząd Tuska będzie trwał. Swoją drogą wręcz humorystycznie brzmiały komentarze w niemieckich mediach dzień po wyborach w Polsce. Słyszałem na własne uszy, jak mówiono w nich o Rafale Trzaskowskim: „Nasz niemiecki kandydat przegrał. Jak to się mogło stać?”, no więc tak zdeterminowane siły zewnętrzne nie dopuszczą do tego, żeby układ rządzący Polską rozpadł się już teraz. Mówimy raczej o perspektywie roku 2027. Mam nadzieję, że w tym czasie uda się zawiązać jakieś nici porozumienia między partiami, dla których Polska jest najważniejsza i Polacy są najważniejsi, i że będzie temu patronował prezydent Karol Nawrocki.

Forma podziękowań, którymi prezydent elekt odpowiedział na depesze gratulacyjne ze strony przewodniczącej Unii Europejskiej czy prezydenta Ukrainy, pozwalają przypuszczać, że jego prezydentura może być znacznie bardziej asertywna, jeśli chodzi o obronę polskich priorytetów na arenie międzynarodowej, niż miało to miejsce za kadencji Andrzeja Dudy.

Jest pewna różnica charakterów między obecnym prezydentem, którego niezwykle szanuję i jestem mu ogromnie wdzięczny za te 10 lat jego prezydentury, a prezydentem elektem, w którym pokładam jeszcze większe nadzieje, oparte na pewnej twardości jego charakteru. To cecha konieczna do skutecznej obrony polskiej racji stanu na arenie międzynarodowej, ale jednocześnie wiemy, że relacje międzynarodowe wymagają także elementów dyplomacji. Niewątpliwie gdzieś na styku tych dwóch punktów z jednej strony potrzeba podtrzymywania stosunków ze wszystkimi krajami, które nie są nam otwarcie wrogie, a z drugiej strony potrzeba twardej obrony naszych interesów. To jest coś, co będzie, jak sądzę, kierowało polityką międzynarodową prezydenta Nawrockiego. Nie mam wątpliwości, że pierwsze testy pojawią się bardzo szybko. Myślę, że trzeba dać jasno do zrozumienia, że nominacje, których dokonał pan minister Sikorski na stanowiska ambasadorów w Waszyngtonie i Rzymie, które – jak wiadomo – nie zyskały akceptacji ze strony prezydenta Dudy, muszą zostać wycofane, bo to hańba dla Rzeczypospolitej. Symptomatyczna była wymiana tweetów pomiędzy prezydentem elektem a prezydentem Wołodymyrem Zełenskim. Mam nadzieję, że nasze wzajemne oby jak najlepsze stosunki, szczególnie na płaszczyźnie przeciwstawiania się gwałtownemu militarnemu imperializmowi rosyjskiemu, będą doposażone przez element pragmatycznej wymiany opinii na temat tego, co jest ważne dla Polski, co jest ważne dla Ukrainy, i trzeba wspólnie, w równoważny sposób, szukać zaspokojenia interesów obu stron. W tym także tego moralnego interesu, na który zwrócił uwagę pan prezydent elekt Nawrocki w swoim tweecie dziękującym za gratulacje

eprasa.pl 5f87de27ee

prezydentowi Zełenskiemu. To, obok podziękowania za gratulacje, które Karol Nawrocki wystosował wobec Ursuli von der Leyen, wskazując dobitnie na niezbywalność zachowania polskiej suwerenności, istotne wskazówki, które potwierdzają intuicje, które zawarł pan w swoim pytaniu, że będzie to prezydentura dość stanowczo podkreślająca polski punkt widzenia i starająca się o zabezpieczenie polskich interesów w relacjach z każdym partnerem.

Zwycięstwo wyborcze Karola Nawrockiego to pośredni skutek „efektu Trumpa”, który nie zadziałał w Rumunii, a zaistniał w Polsce?

Nie jestem specjalistą, gdy idzie o kwestie polityki wewnętrznej Rumunii, więc nie chciałbym szczegółowo oceniać zaskakującego wyniku drugiej tury wyborów w tym kraju. Natomiast z punktu widzenia historycznego więzi polsko-amerykańskie są dużo głębsze niż ta kampania antyamerykańska, którą w tej chwili prowadzi w sposób wręcz szokujący obecna władza w Polsce. Mam na myśli obóz Donalda Tuska i wspierające go media. W szczególności te media o kapitale niemieckim, które kontynuują linię antyamerykańskiej histerii, która dominuje w niemieckich mediach. Jeśli włączy się Deutsche Welle czy inne państwowe media niemieckie, nie mówiąc już o prywatnych, to fala histerycznego antyamerykanizmu przekracza wszelkie granice, nawet zdrowego rozsądku.

U nas to nie może chwycić z taką skutecznością, właśnie ze względu na siłę tej tradycji, której symbolami są Kościuszko i Pułaski. Można powiedzieć, dawne czasy. Ktoś zawsze może skontrować, że przecież była Jałta i haniebny postępek prezydenta Roosevelta. Myślę jednak, że ogromna większość Polaków wie, że to Amerykanie dwa razy uratowali Europę przed zbrodniczą dominacją imperializmu niemieckiego. I de facto ich pozycja międzynarodowa pomogła nam wyjść z tego „więzienia narodów”, którym był system sowiecki. A więc próba wmówienia nam, że oparcie polskiej polityki na bliskich relacjach ze Stanami Zjednoczonymi jest czymś fatalnym, nie udała się i z tego się bardzo cieszę.

Kiedy pytałem pana o reakcję na wiadomość, że Karol Nawrocki wygrywa wybory prezydenckie, powiedział pan, że była to myśl, iż zło nie wygrało. Myślę, że dla wielu wyborców, którzy oddali swój głos na Nawrockiego w drugiej turze, ten moralny aspekt miał pierwszoplanowe znaczenie. Wielu z tych ludzi nie utożsamia się z politycznymi poglądami nowego prezydenta, ale złożyło w nim nadzieję na powstrzymanie legalizacji aborcji i eutanazji czy deprawacji dzieci i młodzieży w polskich szkołach. To wielka odpowiedzialność prezydenta Nawrockiego.

Wiemy, jaka jest pozycja konstytucyjna głowy państwa w Polsce. Prezydent może blokować ustawy, które godzą właśnie w te podstawowe wektory rozróżnienia dobra i zła w życiu moralnym na tyle, na ile publiczne uregulowania, państwowe wpływy poprzez szkołę, poprzez politykę Ministerstwa Edukacji czy – ogólnie rzecz biorąc – politykę kulturalną mogą na to wpływać. Niewątpliwie prezydent Nawrocki z tego prawa w tym zakresie będzie korzystał. Jestem o tym przekonany, bo sądzę, że obok stwierdzenia, że „Polska jest najważniejsza, Polacy są najważniejsi”, to głęboka, autentyczna wiara chrześcijańska i te imiona, jeśli się nie mylę, które pan Karol Nawrocki przyjął w sakramencie bierzmowania, Jose Maria, domyśla się pan, do jakiego świętego te imiona nawiązują, to świadczy o tym, że to nie są tylko jakieś deklaracje, lecz głęboko przeżywane sprawy przez tego konkretnego człowieka, czyli Karola Nawrockiego. Nie mam wątpliwości, że kwestie, o których pan powiedział, takie jak wizja wprowadzenia do szkół programu radykalnej reedukacji, a raczej demoralizacji, należy to wprost nazwać, które zapowiadają działania pani minister Nowackiej, były bardzo silną motywacją wieluset tysięcy, może milionów wyborców Karola Nawrockiego.

Ci ludzie rzeczywiście niekoniecznie musieli głosować za tym kandydatem, ale głosowali przeciw wizji, którą autentycznie reprezentował pan Trzaskowski. Bo jego poglądy, o ile coś można o nich powiedzieć, te, które konsekwentnie głosił, zanim zaczęła się kampania wyborcza, bo w jej trakcie starał się przedstawić z zupełnie innej strony, sprowadzały się do wizji reprezentowanej w „jego” Muzeum Sztuki Nowoczesnej i rozdawanych tam broszurach czy w kierunku, który uosabia pani Nowacka, a także w tzw. marszach czy paradach równości.

Ta wizja z całą pewnością nie odpowiada bardzo dużej części Polaków. Tę część Polaków, wszystkich Polaków będzie się starał chronić przed – mówiąc najkrócej – demoralizacją prezydent Nawrocki w ramach swoich uprawnień. Reszta zależy od wyników wyborów parlamentarnych w roku 2027, a przede wszystkim od pracy w dziedzinie kultury. Pracy, którą wszyscy mamy do wykonania. Pracy, którą np. wykonuje tygodnik „Do Rzeczy”, którą każdy z nas może wykonywać na swoją miarę. To nie jest tylko sprawa państwa.

Jest takie łacińskie powiedzenie: „Ad hunc finem, in republika ad id quod cives tuos persuadare potes tendes”, to znaczy „Do tego zmierzaj w Rzeczypospolitej, do czego możesz przekonać swoich współobywateli”, więc musimy przekonywać swoich współobywateli, jak możemy do tego, że tendencje reprezentowane przez panią minister Nowacką, przez ten rząd, te tendencje, o których pan wspomniał w swoim pytaniu, są śmiertelnym zagrożeniem dla naszego człowieczeństwa, abstrahując od wiary religijnej.

Prezydent Nawrocki to dobry prezydent na trudne czasy, być może czasy przełomu? Wydaje się, że kumulacja zagrożeń, przed którymi stoi dziś Polska, jest nadzwyczajna.

Czy były to czasy przełomu, okaże się, jak historia się skończy. Pewnie jest więc przedwcześnie, żeby o tym mówić. Podobnie jak o tym, czy pan prezydent Karol Nawrocki był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, dowiemy się, kiedy skończy się jego prezydentura. Mogę powiedzieć tyle, że mam głębokie przekonanie, iż tak właśnie będzie na podstawie tego wszystkiego, co pan Karol Nawrocki w swojej służbie publicznej w ciągu ostatnich kilkunastu lat reprezentuje.

Pojawiły się spekulacje, że będzie pan współpracował z nowym prezydentem. Otrzymał pan taką propozycję ze strony Karola Nawrockiego?

Nie otrzymałem takiego zaproszenia i nie zamierzam się o nie ubiegać. Zresztą chyba pan prezydent Karol Nawrocki wie, że moje plany życiowe i zawodowe są zupełnie inne. Cieszę się z pozycji profesora zwyczajnego Uniwersytetu Jagiellońskiego i autora książek poświęconych historii, które nadal zamierzam pisać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

Pasjans Nawrockiego

Piotr Semka

Karol Nawrocki typowany jest na kogoś, kto będzie gwarantem budowy kapitału zaufania między PiS a Konfederacją. Bez tego przejęcie władzy za dwa lata przez większościowy prawicowy blok będzie bardzo trudne. Czy wybór współpracowników mu to ułatwi? Jak może prezentować się talia asów nowego prezydenta?

Trwa casting do kancelarii nowo wybranego prezydenta. W PiS jest zgoda co do tego, że Karol Nawrocki musi mieć bardzo silny i sprawny aparat polityczno-urzędniczy. Nie będzie czasu na naukę. Konflikt z ekipą Tuska może się zacząć od pierwszego dnia prezydentury. Jarosław Kaczyński wyraźnie chce pomóc nowej głowie państwa, ale musi też dbać o to, by jego partia poprzez transfery do pałacu na Krakowskim Przedmieściu zbytnio się nie osłabiła.

Jak może prezentować się talia asów nowego prezydenta?

ZAGRANICA BARDZO WAŻNA

Pierwszą swoją nominację Karol Nawrocki ogłosił jeszcze jako kandydat w wyborach. W czasie debaty prezydenckiej w TVP 23 maja w formule „jeden na jeden" Nawrocki zapowiedział wejście do swojej kancelarii Jacka Saryusza-Wolskiego, wieloletniego eurodeputowanego i byłego wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego. „Wybitna wiedza i rzadkie doświadczenie" – tak zachwala go jedna z postaci z potoczenia Nawrockiego.

Będzie to na pewno jeden z najstarszych urzędników. Urodzony w 1948 r. łódzki polityk liczy sobie już 76 lat. Jest jednym z najbardziej doświadczonych speców od polityki zagranicznej, choć głównie na kierunku europejskim. W czasie wyścigu do prezydentury kierował ośmioosobowym zespołem, który sporządzał dla Karola Nawrockiego ekspertyzy na potrzeby kampanii. W czasie niedawnego kongresu CPAC w Rzeszowie-Jasionce towarzyszył Nawrockiemu podczas spotkania z nową amerykańską sekretarz do spraw bezpieczeństwa narodowego Kristi Noem. Jego współpracownicy pytani o konkretną rangę, która zostanie mu zaproponowana w kancelarii, unikają konkretów. „Jacek Saryusz-Wolski został zaproszony przez Karola Nawrockiego do swej kancelarii, ale na razie nic więcej na ten temat nie można powiedzieć. Obaj panowie prowadzą na ten temat poważne rozmowy".

Biuro Polityki Międzynarodowej to jeden z najważniejszych zespołów kancelarii prezydenckiej. Wśród nazwisk, które pojawiają się w jego kontekście, wymienia się Tomasza Szatkowskiego, ambasadora Polski przy NATO, odwołanego przez ekipę Tuska. Mówi się też, że do zespołu zagranicznego nowej głowy państwa przymierzany jest Marcin Przydacz, w latach 2019–2023 podsekretarz stanu w MSZ, a od 2023 r. szef Biura Polityki Międzynarodowej przy kancelarii Andrzeja Dudy. Ma za sobą studia na Uniwersytecie Rzymskim „La Sapienza", na uniwersytetach w Mesynie i Sienie, ale odbył również stypendium na Akademii Kijowsko-Mohylańskiej w Kijowie. Dla objęcia funkcji w kancelarii będzie musiał oddać mandat z okręgu sieradzkiego, który zdobył w wyborach sejmowych w 2023 r. Z kolei przymierzany do kancelarii Szymon Szynkowski vel Sęk, który aktywnie doradzał Nawrockiemu w czasie kampanii, najprawdopodobniej zostanie jednak w Sejmie.

GDAŃSKIE CHŁOPAKI

W naturalny sposób Nawrocki sięgnie po ekipę ze swojego rodzinnego miasta. Politycy obdarzeni dłuższą pamięcią przypominają „desant" gdański, który przybył wraz z Lechem Wałęsą do Pałacu Prezydenckiego w 1990 r. Teraz czas na drugą fazę przybyszów z miasta, które notabene ma szczęście do prezydentów. Z Wybrzeża pochodził nie tylko Lech Wałęsa, lecz także mający za sobą studenckie czasy na Uniwersytecie Gdańskim Aleksander Kwaśniewski, bardzo związany z Trójmiastem Lech Kaczyński, a teraz urząd prezydencki obejmie niegdysiejszy chłopak z gdańskiej dzielnicy Siedlce.

Najpoważniejszym kandydatem do stanięcia na czele Biura Bezpieczeństwa Narodowego jest – również pochodzący z Gdańska – Sławomir Cenckiewicz. Karol Nawrocki bardzo ceni jego wiedzę na temat służb specjalnych. Na pewno jest osobą, która wie także sporo o przemianach, które w służbach specjalnych nastąpiły w czasie rządów Donalda Tuska. Ale ta kandydatura ma też krytyków. Wskazywany jest konfliktowy charakter niegdysiejszego historyka IPN. Są też inne zastrzeżenia. Jak mówi jeden z polityków PiS: „Nowy szef BBN stanie wobec zadania opracowania nowej strategii obronnej dla Polski. To wymagać będzie wiedzy bardziej wojskowej niż

eprasa.pl 5f87de27ee

tej z zakresu służb specjalnych. Na tym polu znacznie większy zasób wiedzy ma Tomasz Szatkowski, który miał reprezentować Polskę w NATO".

Kolejnym przybyszem z Gdańska w kancelarii ma być Karol Rabenda, typowany na stanowisko zastępcy szefa kancelarii. W tej chwili pełni on funkcję radnego klubu PiS w Radzie Miasta Gdańska, choć pochodzi się z Malborka. Co ciekawe, wywodzi się on z ugrupowania Porozumienie Jarosława Gowina, choć w momencie rozłamu wybrał stronę PiS. Podobno najpierw zaprzyjaźnił się z synem Nawrockiego – Danielem – który miał poznać go z ojcem. Na Wybrzeżu mówi się o jego talentach dyplomatycznych, którymi miał błysnąć właśnie w Malborku, gdzie przeprowadził dyskretne wsparcie przez klub radnych PiS burmistrza Malborka z lewicy Marka Charzewskiego, którego z siodła chcieli wysadzić politycy Platformy.

Zaskoczeniem było ogłoszenie przez media, że to Przemysław Czarnek ma zostać szefem kancelarii prezydenckiej

Pewne miejsce w kancelarii ma też mieć inny przybysz znad Motławy – Jarosław Dębowski – szef gabinetu Nawrockiego jako prezesa IPN. „To najwierniejszy z wiernych Karola" – śmieje się jeden z gdańskich posłów PiS.

I wreszcie dr Rafał Leśkiewicz – trzecia ważna postać z IPN z północy, choć z Warmii, a nie z Gdańska. Typowany na przyszłego rzecznika, który zdobył sobie szacunek i uznanie Nawrockiego w trakcie jego prezesury. Leśkiewicz urodzony w 1977 r. pracuje w IPN od 2001 r. i w tej właśnie instytucji przeszedł całą swoją karierę. Zaczynał od stanowiska młodszego archiwisty w oddziale IPN w Poznaniu, dochodząc w 2006 r. do funkcji naczelnika Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Poznaniu. W 2017 r. został dyrektorem Biura Informatyki IPN, a w 2021 r. powołany został na stanowisko dyrektora Biura Rzecznika Prasowego i Rzecznika IPN.

Paweł Szefernaker sprawnie przewidział logikę prezydenckiego pojedynku i tradycyjnie dbał o promowanie Nawrockiego w sieci

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 5f87de27ee

Dał się poznać jako miłośnik nowych technologii komputerowych, które za rządów Nawrockiego bardzo unowocześniły przekaz Instytutu. Jeden z polityków PiS pytany o tę kandydaturę mówi: „Rozumiem, że Karol Nawrocki chce mieć na stanowisku rzecznika kogoś, kogo obdarza pełnym zaufaniem. Pytanie jednak, czy Rafał Leśkiewicz będzie miał wyczucie typowe dla wielkiej polityki. Wcześniej nie miał z nią zasadniczo zbyt wiele do czynienia. Choć oczywiście w Polsce historia to też pole polityki".

KANCELARYJNA „WAGA CIĘŻKA"

Dwa najważniejsze stanowiska – szefa gabinetu prezydenta i szefa kancelarii prezydenckiej – obejmą Paweł Szefernaker i Przemysław Czarnek. W wypadku Szefernakera jest to swoista nagroda za niezwykle udaną kampanię. Szefernaker sprawnie przewidział logikę prezydenckiego pojedynku i tradycyjnie dbał o promowanie Nawrockiego w sieci. Jeden z uczestników kampanii Nawrockiego mówi: „Tylko w czasie tak niełatwych miesięcy można złapać tak perfekcyjną chemię między dwoma politykami. Szefernaker bardzo spodobał się Nawrockiemu i ten bardzo szybko zaproponował mu przejście po kampanii do kancelarii".

Większym zaskoczeniem było ogłoszenie przez media, że to Przemysław Czarnek ma zostać szefem kancelarii prezydenckiej. W PiS mówi się, że była to decyzja Jarosława Kaczyńskiego, który uznał, że teraz do Kancelarii Prezydenta przenosi się ciężar politycznej rozgrywki z Donaldem Tuskiem. Inni politycy PiS wskazują, że Czarnek w zamierzeniach prezesa ma na stanowisku szefa kancelarii nauczyć się mechanizmów działania ważnego organu władzy, co może być wstępem do przymierzania go do roli przyszłego premiera w razie sukcesu prawicy w wyborach w 2027 r. Ale są i tacy politycy głównej partii opozycyjnej, którzy nie są zachwyceni odejściem Czarnka do obozu prezydenta. Jak mówi jeden z polityków PiS: „To nie jest zła kandydatura. Na pewno lepsza niż postacie, które kierowały kancelarią w czasie prezydentury Andrzeja Dudy. Tyle że tym samym PiS traci człowieka idealnego do prowadzenia bieżącej akcji politycznej, a sytuacja, w której tracimy speca od kampanii w postaci Szefernakera i czołowego frontmana w postaci Czarnka, niepokoi wielu naszych działaczy".

PiS musi prowadzić grę z nowym prezydentem na tyle subtelnie, by nie wytworzyć w środowisku Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna przekonania, że to główna partia opozycyjna zarządza wszystkim w wielkim pałacu

Kwaśne miny robią też ci, których nie zachwyca wizja, w której wobec absencji Czarnka wzrośnie w partii znaczenie Mateusza Morawieckiego i Mariusza Błaszczaka.

„Słyszę zapewnienia z otoczenia prezesa, że Czarnek wróci na czas kampanii 2027 r. – mówi jeden z posłów PiS. – Ale kto skraca, ten nie wraca". Po odejściu do kancelarii powrót do partii może nie być łatwy.

Są wreszcie i tacy, którzy zastanawiają się, czy Przemysław Czarnek zdoła wtłoczyć się w ciasne ramy funkcji szefa kancelarii. „Albo on się w tej nowej funkcji zmieści, albo nie. To stanowisko, które wymaga stanięcia w drugim szeregu za plecami prezydenta. Trzeba o wiele bardziej ważyć słowa, aby nie przyćmiewać swymi wypowiedziami głowy państwa. To wymagać będzie samoograniczenia i dyscypliny ze strony Czarnka. To jest też funkcja, która bardzo często wymaga wielu decyzji administracyjnych, rozwiązywania problemów personalnych czy nawet kwestii czysto technicznych. Szef kancelarii nie może gadać za dużo i musi zawsze mówić po myli prezydenta. Oczywiście Onet chce obrazić Czarnka, kpiąc, że stanowisko szefa kancelarii to miejsce, z którego »zamawia się papier toaletowy dla całej kancelarii«. O randze tego stanowiska świadczy, że sam Jarosław Kaczyński był na początku lat 90. szefem kancelarii prezydenta Wałęsy" – mówi mi jeden z polityków PiS.

Czy Czarnek zmieści się w tym kostiumie? Jeden z jego partyjnych kolegów zastanawia się: „Problem w tym jest, że Przemek jest raczej fighterem, a nie typowym urzędnikiem. Często szybciej mówi, niż myśli. A tu trzeba umiaru i gryzienia się w język".

Są jednak i tacy, którzy wskazują, że Czarnek może bardzo się przydać Nawrockiemu jako polityk świetnie dogadujący się z Konfederacją. A od przełamywania lodów między PiS-owcami a konfederatami zależy stworzenie koalicji prawej strony za dwa lata.

Także w wypowiedziach polityków Platformy widać pewien skrywany starannie szacunek wobec zdecydowania Czarnka. Poseł PO Witold Zembaczyński wprost nazywa go wojującym akolitą w pałacu. Politolog prof. Rafał Chwedoruk wskazuje: „Myślę, że poprzez ten awans Przemysław Czarnek wręcz jest pokazywany jako ktoś, kto w dalekiej przyszłości może być kandydatem PiS na urząd prezydenta". Chwedoruk wskazuje też, że ta nominacja może być odbierana jako jakaś forma nagrody za lojalność. Za to, że nie wykorzystał swojej osobistej popularności do próby frondowania wewnątrz partii na rzecz swojej kandydatury prezydenckiej.

Czy w 2027 r. Czarnek poprowadzi PiS do wyborów jako oficjalny kandydat na premiera?

„Bez tego Przemek raczej nie odszedłby z partii" – spekuluje jeden z posłów Konfederacji.

MASZERUJEMY OSOBNO – UDERZAMY RAZEM

Karol Nawrocki wyraźnie nawiązał specjalne relacje z Jarosławem Kaczyńskim. Jak głoszą nowiny z Nowogrodzkiej, 76-letni lider PiS obdarzył Nawrockiego nawet przywilejem przejścia na „ty". PiS musi jednak prowadzić tę grę z nowym prezydentem na tyle subtelnie, by nie wytworzyć w środowisku Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna przekonania, że to główna partia opozycyjna zarządza wszystkim w wielkim pałacu. Nawrocki wręcz typowany jest na kogoś, kto będzie gwarantem budowy kapitału zaufania między PiS a Konfederacją. Bez tego przejęcie władzy za dwa lata przez większościowy prawicowy blok będzie bardzo trudne. A słabnąca Platforma ma pełną świadomość, że rozbicie bloku prawicy to szansa na ich polityczne przetrwanie. Niezależnie od tego, czy Donald Tusk pozostanie na swoim stanowisku czy konflikty w koalicji wysadzą go z siodła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

Socjalista z nieludzką twarzą

Adrian Zandberg (na zdjęciu) w wyborach prezydenckich zdobył niecałe 5 proc. poparcia, ale warto pamiętać, że w 2020 r. Krzysztof Bosak uzyskał podobny wynik, a dzisiaj Konfederacja jest trzecią siłą w państwie FOT. ANTONI BYSZEWSKI/FOTONEWS/FORUM

Jan Fiedorczuk

Adrian Zandberg zgrywa antyestablishmentowego polityka, który unika wojen kulturowych i oferuje realną alternatywę dla PO-PiS. W rzeczywistości jest to najgroźniejszy przedstawiciel lewicy w polskim parlamencie. Najgroźniejszy, gdyż ideowy

W wyborach prezydenckich uzyskał niemal 5 proc., wyprzedzając m.in. Magdalenę Biejat z Nowej Lewicy i dając nadzieję partii Razem na samodzielne wejście do Sejmu w 2027 r. albo przynajmniej na dobrą pozycję negocjacyjną podczas targów z Włodzimierzem Czarzastym. Na tle pierwszych sondaży ze stycznia i lutego, które dawały mu szanse na ok. 1 proc., wynik wyborczy może zostać

eprasa.pl 5f87de27ee

uznany za umiarkowany sukces. Z szeroko rozumianego centrolewu był on chyba jedynym politykiem, który schodził ze sceny z podniesionym czołem.

Swoim przekazem, autentycznością oraz sprawnością retoryczną lider Razem trafia jednak nie tylko do rozczarowanych wyborców Lewicy, lecz także do młodego, antysystemowego elektoratu zmęczonego wojną PO z PiS. Na tle bezideowej III RP Adrian Zandberg to bowiem jedna z najciekawszych i nieoczywistych postaci. Jest odwrotnością towarzyszy z SLD, którzy po przemianach ustrojowych przebrali się za kapitalistów, forsując bardziej wolnorynkowe reformy niż partie nominalnej prawicy (obniżka CIT, podatek liniowy, prywatyzacja, tzw. plan Hausnera). Mimo że lider partii Razem wprost przyznaje, że jest socjalistą, to w niczym nie przypomina Leszka Millera, Marka Borowskiego czy Aleksandra Kwaśniewskiego. To polityk inteligentny, elokwentny i od lat wierny swym poglądom.

OSTATNI SOCJALISTA III RP

O wiele chętniej niż na przysłowiowego Karola Marksa Zandberg powołuje się na Olofa Palmego. To właśnie za słynnym szwedzkim premierem powtarzał z dumą: tak, jestem socjalistą. Bo Zandberg faktycznie nim jest – ostatnim i zarazem pierwszym socjalistą III RP. Ostatnim, gdyż przed nim nikt znaczący w polskiej polityce po upadku PRL nie przyznawał się do dziedzictwa Marksa, Bernsteina itd., a zarazem pierwszym, gdyż trudno nie dostrzec, że Razem stanowi nową jakość na polskiej scenie politycznej i być może jest zapowiedzią lewicy „nowej" nie tylko z nazwy. Na sztandarach zamiast Gomułki i Gierka pojawiają się u niego Ignacy Daszyński, Kazimierz Kelles-Krauz czy Zygmunt Zaremba; zamiast PZPR – przedwojenny PPS. To wszystko stanowi próbę zdjęcia z lewicy odium autorytaryzmu oraz odwojowania „patriotyzmu" – pojęcia, które jego zdaniem przywłaszczyła sobie prawica.

Na czym jednak ma polegać socjalizm Zandberga w praktyce? Progresywny system podatkowy, dofinansowanie usług publicznych, bezpieczeństwo socjalne, skrócenie tygodnia pracy, likwidacja śmieciówek, zwiększenie dni urlopu czy słynna 75-procentowa stawka PIT dla najlepiej zarabiających – to standardowa wyliczanka lewicowych postulatów. Nie brakuje też typowo demagogicznych haseł, typu podatek katastralny, którego zadaniem nie jest poprawa sytuacji gorzej sytuowanych, a jedynie pogorszenie życia tych, którym do tej pory wiodło się lepiej. Bo w istocie Zandberg jest kimś, kogo na polskiej scenie nie było od lat – to lewicowy populista. I postulaty gospodarcze nie są wcale jego najgroźniejszą stroną.

„WOJENKI KULTUROWE"

– Co się z wami stało? – dopytywał Zandberg polityków PiS kilka tygodni temu podczas sejmowej debaty. – Kulturowe wojenki zza oceanu tak wam się rzuciły na umysł, że nie widzicie, co się naprawdę dzieje? Trwa dogadywanie się z Putinem, sypie się mechanizm, który dawał Polsce pokój, a wy paradujecie w czerwonych czapeczkach i się cieszycie? – huczał lider Razem.

Zandberg jest szczerym zwolennikiem pogłębionej integracji europejskiej

Było to wystąpienie pod pewnymi względami wyjątkowe. Oto bowiem jedna z czołowych postaci polskiej lewicy nie tylko odcina się od „wojenek kulturowych", lecz także właściwie wprost sugeruje, że kolporterem rewolucji na polskie ziemie są konserwatyści. Lider Razem od lat prezentuje samego siebie jako „normalnego" polityka niezainteresowanego batalią PiS z PO, który zajmuje się jedynie tym, co najważniejsze dla ludzi – gospodarką, usługami publicznymi etc. Ten przekaz jednak nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością, gdyż za hasłami o zbiorowej komunikacji i progresji podatkowej kryje się cały wachlarz postulatów stricte rewolucyjnych.

Zacznijmy więc od tematu aborcji, w którym Zandberg, przeciwnik „wojenek kulturowych", jest zwolennikiem radykalnej liberalizacji przepisów umożliwiających terminację ciąży „na życzenie" do 12. tygodnia. Lider Razem nie dopowiada tego, co oczywiste – jest to jedynie pierwszy krok. Dlaczego zatrzymywać się na 12. tygodniu? Sam Zandberg w Kanale Zero nie potrafił racjonalnie odpowiedzieć na to pytanie, co nie zaskakuje, gdyż takiej logicznej odpowiedzi nie ma. Skoro może być 12. tydzień, to równie dobrze może być i 20., i 30. Kierunek Oleśnica.

W tzw. kwestiach światopoglądowych były kandydat na prezydenta opowiada się za całą agendą lewicowo-liberalną, łącznie z „homomałżeństwami" i adopcją przez nie dzieci. Zandberg jest zatem równie wielkim przeciwnikiem „wojenek kulturowych", co Korwin-Mikke niskich podatków. W poniedziałek będzie mówił o zaprzestaniu walk na tym polu, aby we wtorek opowiadać się za pełną liberalizacją aborcji, a w środę walczyć o postulaty środowisk LGBT. Jego wizerunek „polityka od ekonomii" nie przystaje do faktów, bo i przystawać nie może – nie da się być technokratą od zarządzania państwem, abstrahującym od kultury czy cywilizacji.

Więcej nawet, Zandberg jest nie tylko zdecydowanie bardziej radykalny, lecz także wiarygodny w swych zapewnieniach niż wszystkie mainstreamowe partie, które przez lata puszczały oko do skrajnych środowisk, aby po dojściu do władzy – w strachu przed utratą poparcia – zacząć dryfować w stronę bezideowego centrum.

AUTENTYCZNY „UNIJCZYK"

Autentyzm Zandberga uwidacznia się również w wielu innych tematach, które będą miały drastyczny wpływ na los państwa polskiego. O ile w szeregu kwestii z agendy unijnej polscy liberałowie przynajmniej próbują kluczyć, o tyle partia Razem wprost nawiązuje do europejskiego progresywnego mainstreamu.

Zandberg jest bowiem szczerym zwolennikiem pogłębionej integracji europejskiej, postulując m.in. rewizję traktatu z Maastricht, aby uruchomić większe inwestycje publiczne. Konieczne jest jego zdaniem, aby Unia Europejska stanęła „na własnych nogach" nie tylko w przemyśle obronnym, lecz także w innych sektorach i oczywiście jest wielkim orędownikiem unijnego zadłużania się w celu budowy „bardziej sprawiedliwej" oraz zintegrowanej Unii. – Podstawowe zadanie stojące przed Europą to zwiększenie poziomu inwestycji i żeby uruchomić nowe programy publicznych inwestycji. Mówię tu o energetyce, mówię tu o nowych dziedzinach gospodarczych…

eprasa.pl 5f87de27ee

Jeżeli nie pójdziemy tą drogą, to Europa po prostu będzie tę konkurencyjność wytracać coraz mocniej – przekonywał.

Dla Zandberga pojęcie suwerenności jest drugorzędne – Polska suwerenna powinna być od wielkiego kapitału, Moskwy oraz Waszyngtonu, ale już nie od Brukseli. Unia Europejska nie może być jedynie sojuszem gospodarczym, wspólnym rynkiem, ale powinna przekształcić się w podmiot polityki międzynarodowej wolny od „neoliberalnych" naleciałości i służący „zwykłym ludziom". Jego wezwania do budowy wspólnych programów europejskich – obronnych, energetycznych czy przemysłowych – gdyby były konsekwentnie wdrażane, musiałyby jednak prowadzić do transportowania kolejnych kompetencji państwa polskiego do Brukseli.

Lider Razem jest również orędownikiem wprowadzenia euro. Zandberg zastrzega, że rezygnacja z narodowej waluty powinna nastąpić po gruntownej reformie, gdyż „obecne euro jest źle skonstruowane" i może uderzać w kraje półperyferyjne, ale ostateczny kierunek pozostaje bez zmian. A przecież głównym problemem z euro nie jest kwestia ekonomicznego rachunku, tylko politycznych konsekwencji. Brak unijnej waluty i unijnej armii to dwie ostatnie bariery chroniące resztki polskiej suwerenności. Zandberg obie te bariery chce zlikwidować, bo tak, lider Razem oczywiście opowiada się również za budową unijnych wojsk. Wszystko to jest podawane w quasi-racjonalistycznej retoryce, zgodnie z którą Polska nie może być biernym obserwatorem, tylko decydentem najważniejszych unijnych procesów.

Podobnie wygląda stosunek Zandberga do Zielonego Ładu. Oficjalnie polityk krytykuje go za „neoliberalny" charakter, sugerując, że kosztami powinni być obciążeni nie obywatele, tylko sektor finansowy i korporacje, ale koniec końców opowiada się za samą ideą, deklarując się jako zwolennik transformacji energetycznej. I dodając, że sam unijny projekt powinien nieść ze sobą pakiet konkretnych inwestycji. W sumie jego krytyka unijnego planu sprowadza się do stwierdzeń, że nie można ludzi zostawiać samych sobie, ale nie ma on żadnej konkretnej propozycji dotyczącej horrendalnych kosztów, które na Polaków sprowadza Zielony Ład (poza wiecznym hasłem „opodatkujmy korporacje"). Problem w tym, że unijnej transformacji energetycznej, na czele z ETS2 i utopijnymi planami dotyczącymi redukcji CO_2, nie da się nie wprowadzać, nie dewastując narodowych gospodarek i nie wpędzając ludzi w biedę.

Nietrudno dostrzec, że Zandberg nie jest żadną „racjonalną" alternatywą dla wyborców zmęczonych mainstreamem III RP

„NIE" DLA KSENOFOBII, „TAK" DLA KSENOFILII

Kolejny temat, którego nie sposób nie dostrzec, to problematyka migracji. Kwestia ta ujawniła się już podczas kryzysu na granicy z Białorusią. Zandberg co prawda nie biegał jak posłowie KO z pizzą do biednych nachodźców, ale jego partia już broni „osób aktywistycznych", które się w te antypaństwowe praktyki angażowały. Zandberg jednoznacznie krytykował politykę ówczesnego rządu, domagał się zakończenia push-backów, przekonywał o konieczności prawa dla azylu (przypomnijmy: mówimy o masie tysięcy mężczyzn szturmujących granicę) i krytykował wprowadzenie stanu wyjątkowego przy granicy. Proponował w zamian wywieranie presji dyplomatycznej na Łukaszence oraz… odwołanie się do UE. Było to zwykłe unikanie odpowiedzialności, którą należało wziąć za – to prawda – brutalne i niepopularne decyzje. Patrząc realnie, w jaki sposób lider Razem chciał wywierać presję na Władimirze Putinie? Jak chciał mu zagrozić? Zaszantażować? Takie kluczenie jak w temacie euro i Zielonego Ładu obserwowaliśmy właśnie w sprawie migrantów na granicy.

Problem jest jednak znacznie szerszy i nie dotyczy jedynie Białorusi czy paktu migracyjnego (w stosunku, do którego stanowisko Zandberga jest – znowu! – pełne zastrzeżeń, ale koniec końców raczej jednak pozytywne), ale ogólnie szerszego spojrzenia na kwestię migracji, w tym przede wszystkim na migrację zarobkową. Lider Razem szczyci się, że nie ma zamiaru „igrać z ksenofobią" i de facto umywa ręce od narastającego problemu. Opowieści o programach integracyjnych są oczywiście bardzo krzepiące, ale przykłady zachodnich społeczeństw pokazują, że po prostu się nie sprawdzają. Konsekwencje błędnej polityki migracyjnej są dalekosiężne i nie da się ich cofnąć jednym dekretem. Co gorsza, tych konsekwencji nie widać od razu, a prawdziwe koszty migracji zarobkowej ujawniają się dopiero w trzecim pokoleniu, gdzie obserwujemy masowy nawrót do praktyk religijnych i radykalizację (pisałem o tym obszernie w tekście o „Kosztownej ksenofilii" – „Do Rzeczy" nr 6/2025).

OSTATNI ANTYSYSTEMOWIEC?

Nietrudno dostrzec, że Zandberg nie jest żadną „racjonalną" alternatywą dla wyborców zmęczonych mainstreamem III RP. O ile większość środowisk liberalnych czy lewicy post-PZPR-owskiej jest dość kunktatorska i w razie konieczności dość łatwo rezygnuje ze swych progresywnych aspiracji, o tyle Zandberg pozostaje szczerym zwolennikiem agendy LGBT, totalnej liberalizacji aborcji oraz rozpuszczenia polskiej państwowości w unijnym morzu.

W wyborach prezydenckich zdobył niecałe 5 proc. poparcia, ale warto pamiętać, że w 2020 r. Krzysztof Bosak uzyskał podobny wynik, a dzisiaj Konfederacja jest trzecią siłą w państwie. Porównanie do prawicowej formacji nie jest przypadkowe – na końcówce kampanii prezydenckiej obserwowaliśmy zaskakujące zjawisko przepływu wyborców między Mentzenem a Zandbergiem. Obaj politycy są antyestablishmentowi, radykalni, ale zarazem inteligentni i oferują alternatywę dla PO-PiS. W 2025 r. górą był prawicowy Mentzen, ale w przyszłości wyborcy mogą porzucić go na rzecz lidera Razem. Zwłaszcza jeżeli Konfederacja porozumie się z PiS w ramach jakiejś koalicji, tracąc tym samym nimb rewolucjonistów spoza układu. W takim wypadku Zandberg będzie mógł się kreować na jedynego antysystemowca III RP. Jest to jednak bunt na pokaz. Nawet jeżeli odróżnia się od lewicy z rodowodem komunistycznym, to koniec końców „antyestablishmentowa" ścieżka, którą kroczy, prowadzi do samego serca systemu w Brukseli.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

Polska a wojna przyszłości

Arkadiusz Siwko

Nie ma w tym nic złego, że Polska przygotowuje najliczniejszą w Europie armię lądową. Zasadne jest jednak pytanie, czy Polska przygotowuje się do wygrania potencjalnej nowoczesnej wojny przyszłości czy do absorpcji środków finansowych przeznaczanych na obronność

Obserwując przebieg współczesnej wojny na Ukrainie, powstaje naturalne i zasadne pytanie: Czy Polska, zbrojąc się obecnie na dużą skalę, zwraca uwagę na odpowiednie proporcje pomiędzy przygotowaniem do prowadzenia tradycyjnej wojny a przygotowywaniem do prowadzenia wojny przyszłości, która już uwidocznia się na teatrze wojennym na Ukrainie?

Wojna na Ukrainie zmieniła dotychczasowy pogląd na system walki, a strategicznie najważniejsze kraje – na czele z USA, Niemcami i Wielką Brytanią – właśnie kreują nowe programy obronne dostosowane do wojny przyszłości. Co pokazuje nam trwająca wojna na Ukrainie z wojskowego punktu widzenia?

1. POTRZEBA DOMINACJI W POWIETRZU

Wszystkie wnioski płynące z teatru wojennego na Ukrainie sprowadzają się do jednego. Kto ma przewagę w powietrzu, ten kontroluje działania wojenne. I to właśnie zawieszenia osłony powietrzno-satelitarnej przez USA najbardziej obawia się Ukraina.

PO PIERWSZE SATELITY. Bez dokładnego zobrazowania nie tylko pola walki, lecz także terytorialnej głębi strategicznej nie będziemy mogli skutecznie przewidywać ruchów wroga i reagować na nie. Najbardziej bolesną stratą, gdyby Ameryka zawiesiła swoją pomoc wojskową dla Ukrainy, byłoby zaprzestanie przekazywania danych satelitarnych. To m.in. dzięki wsparciu satelitarnemu, z którym wiąże się także udoskonalona sieć łączności, Ukraina wciąż może prowadzić działania wojenne. Pomaga system Starlink. Nieocenione jest korzystanie z danych wysyłanych przez samoloty wczesnego ostrzegania. Większość systemów militarnych opiera się na danych satelitarnych, dlatego brak dostępu do nich może skutkować ich całkowitą nieefektywnością. Dla Polski własne systemy satelitarne to podstawa przygotowania do wojny. Bez możliwości głębokiego, wielowarstwowego rozpoznania na całym obszarze działania zajmowanym przez potencjalnego przeciwnika – czyli realnie od obwodu królewieckiego do Władywostoku – nie będziemy w stanie przygotować skutecznej reakcji. Nie mówiąc o zdolności do uderzeń uprzedzających.

Polska zamówiła satelity w koncernie Airbus oraz mikrosatelity w polskiej firmie Creotech, ale żadne z nich jeszcze nie działają. Jesteśmy obecnie zdani na dane dostarczane przez innych. To najbardziej zagraża naszemu bezpieczeństwu.

Można także mieć poważne wątpliwości, czy zamówiliśmy wystarczającą liczbę satelitów i samolotów wczesnego ostrzegania – ze względu na długość naszej wschodniej granicy oraz głębię terytorialną Rosji.

ZWALCZANIE ATAKÓW RAKIETOWYCH Z POWIETRZA. Obrona przeciwrakietowa, przeciwlotnicza, przeciwdronowa – ochrona wojska i infrastruktury – to absolutny priorytet sprzętowy na teraz.

USA oraz Europa postawiły na system antyrakietowy średniego zasięgu Patriot, który sprawdza się już na Ukrainie. Polska także inwestuje w ten system. Mamy jednak problem z liczbą zamówionych baterii oraz zapasem pocisków do nich. Ciekawe, że Niemcy budują właśnie u siebie fabrykę pocisków do patriotów. A my skąd będziemy je brali?

Mamy szkielet obrony powietrznej krótkiego zasięgu Narew i nie wiadomo, kiedy zostanie zakończony. Ponadto nie zdecydowaliśmy się wciąż na Żelazną Kopułę.

DRONIZACJA I ROBOTYZACJA. Drony – w ogromnej liczbie, duże, mogące operować na dalekie odległości, zdolne do przenoszenia znacznej ilości uzbrojenia, w tym rakiet – to armia przyszłości. Drony zdolne do przeprowadzenia ataku na centra dowodzenia i ataku odwetowego. To nie wszystko, potrzebne są także tanie, małe drony zdolne do ataku i zakłócania działań przeciwnika.

DRONIZACJA I ROBOTYZACJA TO EFEKTYWNOŚĆ, REDUKCJA KOSZTÓW I STRAT OSOBOWYCH. Produkcja dronów jest znacznie tańsza niż tradycyjnych środków rażenia. Jak pokazuje wojna na Ukrainie, drony

eprasa.pl 5f87de27ee

mogą zdecydowanie zmienić sposób prowadzenia wojny. Mogą latać nad terytorium wroga, atakować lotniska, dotrzeć do fabryk czołgów, magazynów, centrów dowodzenia, stanowisk startowych obrony powietrznej, baz floty, a nawet instalacji broni jądrowej.

Polska produkuje małe drony bojowe zarówno w przemyśle prywatnym, jak i publicznym. Nie przełożyło się to jednak na wyposażenie Wojska Polskiego w prawdziwą armię dronów. A potrzebujemy flotylli dronowej. Można nawet otwarcie powiedzieć, że ze względu na długość naszej wschodniej granicy powinniśmy mieć największą armię dronową w Europie. Zatem powinniśmy być nie tylko potęgą czołgową. To zdecydowanie nie wystarczy na współczesnym teatrze wojennym.

Polska nie produkuje dużych strategicznych dronów. Na początku inwazji na pełną skalę Rosji na Ukrainę zakupiliśmy pewną liczbę tureckich dużych dronów Bayraktar. Są one już na stanie Wojska Polskiego. Jednak okazało się, że po dwóch latach nie odgrywają już na Ukrainie takiej roli jak na początku. Po prostu Rosja znalazła na nie antidotum. Pewnie dlatego obecnie polski rząd zamówił w grudniu 2024 r. w USA nowe drony dalekiego zasięgu MQ-9B Sky Guardian. Nie ma powodów, by Polska sama nie posiadała możliwości produkcji dużych strategicznych dronów, chociażby we współpracy technologicznej z innymi krajami NATO-wskimi. Ważne, by uruchomić ten proces szybko, aby na czas zbudować pełnowymiarową armię nowoczesnych dronów bojowych.

Oprócz tego ważne jest także posiadanie zdolności zakłócania pracy dronów przeciwnika. Na tym polu Rosjanie są technologicznie sprawni i trzeba będzie nie lada wysiłku naukowego, by sprostać temu wyzwaniu.

2. ODTWARZANIE SPRZĘTU I AMUNICJI

Istotną kwestią jest zapewnienie systemom wojskowym ciągłego odtwarzania zdolności do działania. Podczas działań wojennych nie unikniemy zniszczenia sprzętu, dlatego jednym z priorytetów powinno być odtwarzanie systemów walki – produkcja sprzętu i amunicji.

Polska nie posiada magazynów pełnych amunicji, a – jak wyraził się ostatnio nowy szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego – to, co mamy, wystarczy na tydzień lub dwa tygodnie prowadzenia realnej wojny. Ręce opadają. Od ponad półtora roku wiadomo, że musimy zgromadzić odpowiednią ilość amunicji i rakiet. Ani nie produkujemy, ani nie kupujemy odpowiedniej ilości. I co? I od dawna tylko o tym mówimy. Trzeba zatem stwierdzić, że w kwestii czynienia zapasów amunicji i rakiet Polska nie przygotowuje się do żadnej wojny. Przygotowuje się do nadchodzących wakacji.

Także w zakresie produkcji sprzętu jesteśmy tymczasem zależni od dostawców. Nie produkujemy przecież czołgów ani samolotów. To może znacznie utrudnić prowadzenie działań wojennych poprzez niemożliwość odtworzenia zniszczonego sprzętu. Nie mówiąc o odtwarzaniu zasobów ludzkich. Jak wiadomo, powszechna służba wojskowa nie jest odwieszana w obawie o konsekwencje polityczne.

3. WOJNA W CYBERPRZESTRZENI

Polska już jest przedmiotem nieustannych ataków cybernetycznych na dużą skalę, a w przypadku realnych działań wojennych będziemy mieli do czynienia z atakami na skalę olbrzymią. To szalenie niebezpieczna rzeczywistość. Ataki cybernetyczne na naszą infrastrukturę krytyczną oraz sieci komunikacji i łączności mogą wprowadzić niewyobrażalny chaos i dezorientację. Nie mówiąc o zdalnym wyłączeniu instalacji energetycznych.

Czy mamy poczucie, że nasz kraj robi naprawdę wszystko, by się przed tym uchronić? Polska nawet nie przygotowała wdrożenia dyrektywy NIS2 Unii Europejskiej dotyczącej cyberbezpieczeństwa, a projekt ustawy o cyberbezpieczeństwie leży odłogiem w biurach ministerialnych i KPRM. Jak wiadomo, mamy pilniejsze sprawy do załatwienia, jak np. regulacje o tzw. mowie nienawiści.

4. NADCHODZI SZTUCZNA INTELIGENCJA

Sztuczna inteligencja w procesie prowadzenia wojny to przyspieszenie analizy danych i decyzji w czasie rzeczywistym. Współczesny teatr wojny nie będzie mógł się obyć bez wykorzystania sztucznej inteligencji na dużą skalę. Chodzi o wykorzystanie SI dla udoskonalenia działania systemów wojskowych. Sztuczna inteligencja może kontrolować flotylle dronów i systemy walki elektronicznej. Nie można dopuścić do zaniechania w tej kwestii.

Czy mamy poczucie, że Wojsko Polskie przygotowuje na ogromną skalę systemy

eprasa.pl 5f87de27ee

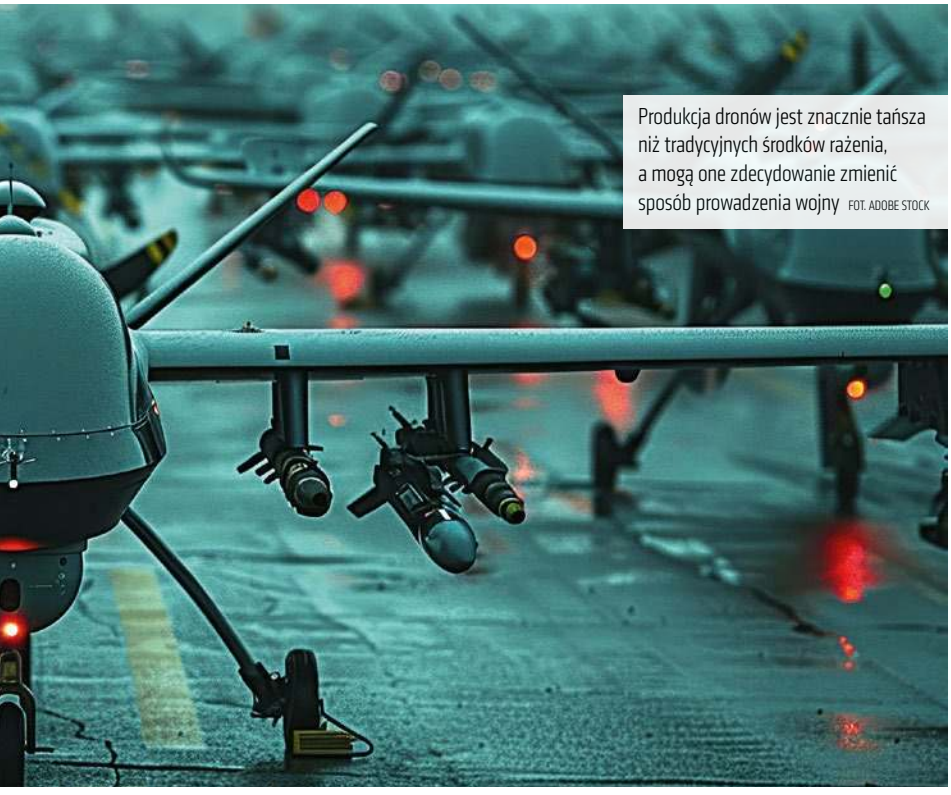

Produkcja dronów jest znacznie tańsza niż tradycyjnych środków rażenia, a mogą one zdecydowanie zmienić sposób prowadzenia wojny FOT. ADOBE STOCK

Bez dominacji w powietrzu możemy nie przetrzymać potencjalnego ataku, nie mówiąc o możliwości wykonania kroków odwetowych

i specjalistów od sztucznej inteligencji, a nasze szkoły wojskowe prześcigają się w wynikach pracy wydziałów sztucznej inteligencji? Przejrzyjcie proszę spis wydziałów tych szkół oraz naszej perły akademickiej – Akademii Sztuki Wojennej.

A CO ROBIĄ INNI?

Na początku 2025 r. prezydent USA Donald Trump ogłosił zamiar stworzenia tarczy antyrakietowej nowej generacji, wzorowany na Żelaznej Kopule strzegącej Izrael. Amerykańska Żelazna Kopuła ma chronić Stany Zjednoczone przed pociskami balistycznymi, hipersonicznymi, zaawansowanymi pociskami manewrującymi oraz innymi zagrożeniami z powietrza. Ponadto Donald Trump zapowiedział kontynuację prac nad pierwszym na świecie myśliwcem szóstej generacji, zdolnym do podejmowania decyzji bojowych.

Stany Zjednoczone i Wielka Brytania pracują także nad bronią laserową potrafiącą skutecznie strącać bezzałogowe statki powietrzne. USA już użyły tej broni, która wkrótce może zdominować pole walki. To bardzo istotne, że Stany Zjednoczone wciąż prowadzą prace nad systemami wojennymi, które mogą zapewnić przewagę nad przeciwnikiem. Waszyngton oficjalnie przyznał, że wysłał już za granicę broń laserową, by chroniła żołnierzy przed dronami. Mówi się o „wysokiej skuteczności" tej broni. To było pierwsze w historii wojskowości rozmieszczenie systemu wykorzystującego energię ukierunkowaną do obrony powietrznej. Nowa broń, czyli Palletized High Energy Laser (P-HEL), opracowana została przez amerykańskiego producenta z sektora obronnego – BlueHalo.

Alternatywą lub uzupełnieniem jest opracowany właśnie teraz brytyjski system broni laserowej Dragon Fire. Dragon Fire może strącać drony za pomocą wiązki światła, która jest tysiące razy tańsza od rakiety. Dziesięć sekund emisji lasera to koszt mniej więcej 10 funtów.

W 2024 r. Niemcy przyjęły narodową strategię dla swojego przemysłu obronnego. Chcą zbudować największy dron w Europie. Miałby być alternatywą dla amerykańskich dużych bezzałogowców. Niemcy podkreślają w ten sposób, że duże drony o odpowiednich zasięgach i strategicznym uzbrojeniu powinny odgrywać coraz większą rolę na współczesnym teatrze wojennym. Niemiecka strategia zakłada także, wzorem USA, pracę nad supernowoczesnym myśliwcem przyszłości.

Istotnymi elementami niemieckiej strategii przemysłu obronnego są postawienie na terenie Niemiec własnej fabryki pocisków do systemu Patriot oraz budowa w Niemczech elementów składowych samego systemu. Nasi zachodni sąsiedzi stawiają zetem na obronę powietrzną na dużą skalę.

WOJNA PRZYSZŁOŚCI

Zwycięstwo zapewni nie tylko liczba czołgów, nowoczesnych samolotów, systemów antyrakietowych. Przyczynią się do niego także liczba dronów, możliwości wykorzystania sztucznej inteligencji, systemy walki elektronicznej, zdolność do ich szybkiej produkcji i odtwarzania. Tak będzie wyglądała wojna i tak już się dzieje.

Nie ma w tym nic złego, że Polska przygotowuje najliczniejszą w Europie armię lądową, stając się europejską potęgą czołgową z silnym nowoczesnym tradycyjnym lotnictwem w postaci samolotów F-16 i F-35 oraz atakującymi śmigłowcami Apache. Zapowiedzi USA odnośnie do inwestowania w samolot bojowy szóstej generacji oraz Niemiec inwestujących w samolot bojowy przyszłości potwierdzają ten istotny element prowadzenia wojny. Problem jest w tym, że wyraźnie nie dotrzymujemy kroku w proporcjonalnym tworzeniu systemów antyrakietowych, dronowych, wykorzystania sztucznej inteligencji, zdolności do odtwarzania sprzętu i amunicji, co może zaburzyć naszą możliwość dominacji w powietrzu. A bez dominacji w powietrzu możemy nie przetrzymać potencjalnego ataku, nie mówiąc o możliwości wykonania kroków odwetowych.

Zasadne jest pytanie, czy Polska przygotowuje się do wygrania potencjalnej nowoczesnej wojny przyszłości czy do absorpcji środków finansowych przeznaczanych na obronność – co nie jest tym samym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

Świat schodzi na psy

FOT. ADOBE STOCK

Radosław Wojtas

Z psem można wyjść na kolację, do kina albo napić się wieczorem piwa. Niektórzy twierdzą, że uczynienie z czworonoga drużby na ślubie to kapitalny pomysł, a na ludzi sprzeciwiających się wprowadzaniu psów do kościoła patrzą wilkiem. Polska jest w czołówce krajów pod względem liczby psów w przeliczeniu na gospodarstwa domowe i goni Zachód w awangardowym podejściu do zwierząt

Kurczę pieczone: Kompozycja delikatnego mięsa z kurczaka, jabłka, batatów, dyni oraz zielonego groszku.

Wołowe love: Połączenie krwistej wołowiny, czerwonego buraka, batatów, jabłka, soczewicy, marchewki oraz szpinaku.

Liznę dziczyznę: Połączenie sarniny z kaczką, z dodatkiem jabłek, żurawiny i szczypty tymianku.

Jagnię wcina: Pyszna jagnięcina, słodka dynia, bataty, krucha marchew, soczewica, a także zielony groszek.

Kaczka para z kurczakiem: Unikalna, wyrazista kompozycja smakowa. Połączenie świeżej kaczki, kurczaka z dynią piżmową, marchewką, fasolką szparagową, kalafiorem, czerwoną soczewicą".

To krótkie menu modnej warszawskiej restauracji nie jest przeznaczone dla ludzi. To oferta dla „czworonożnych towarzyszy" przyprowadzanych przez gości lokalu, w którym „psy traktuje się jak członków rodziny, gdzie od wejścia czeka na nich miska z wodą". Ale co tam miska z wodą! To już od lat standard w restauracjach (ciekawe, że woda w psiej misce jest za darmo, ale po wlaniu do karafki większość stołecznych restauracji wycenia ją co najmniej na kilkanaście złotych), sklepach, lokalach usługowych. Czasy karygodnej segregacji, kiedy to naklejki z przekreślonym wizerunkiem czworonoga informujące o tym, że psy są gdzieś niemile widziane, naklejane były na tak wielu drzwiach sklepów, lokali gastronomicznych, urzędów etc., to już prehistoria. Dziś, w dobie rodzącej się mody na psie bary, doprawdy nie wypada takich nalepiać.

KUCHNIE ŚWIATA

Restauracji z psim menu nie ma w Polsce jeszcze zbyt wiele, ale myli się ten, kto pomyśli, że to wyłącznie domena stołecznych lokali, które mogą błysnąć w społecznościówkach zdjęciem Anji Rubik wpadającej do nich z psiakiem pod pachą. Ofertą dla czworonogów chwaliła się już kilka lat temu nadmorska sieć pierogarni, osobnymi menu dla dorosłych, dla dzieci i dla psów (z gęsimi żołądkami, kurczakiem lub polędwicą wołową)

eprasa.pl 5f87de27ee

– restauracja z Bydgoszczy, dania dla czworonogów serwuje uroczy dworek pod Krakowem... Restauratorom spieszy z pomocą firma, która wprowadza psie menu w lokalach gastronomicznych. „W stałej ofercie psie menu od marki PsiBufet można spotkać w kilkunastu lokalizacjach w całej Polsce. Pierwszą knajpą, która zdecydowała się na wprowadzenie takiego menu, było klimatyczne miejsce na mapie Łodzi" – czytamy.

Choć Polska pod względem liczby psów w przeliczeniu na gospodarstwo domowe jest europejską potęgą – według raportu Europejskiej Federacji Przemysłu Karmy dla Zwierząt Domowych (FEDIAF) w 2024 r. psy żyły w 49 proc. polskich gospodarstw domowych (łącznie psów było ponad 8,1 mln), wyprzedzają nas tylko Węgrzy (50 proc.), a na drugim biegunie są Turcy (5 proc.), Szwajcarzy (12 proc.) czy Grecy (14 proc.) – to pod względem rozmachu oferty dla psów w branżach gastronomicznej, hotelarskiej czy rozrywkowej jeszcze gonimy Zachód. Katie Glass opisała w „Sunday Times" swoje podróże po świecie w towarzystwie psa. „W hotelu Lucknam Park w hrabstwie Wiltshire zaserwowano nam kiełbaski pod dużą srebrną pokrywą – prosto do łóżka. W wykwintnym, pięciogwiazdkowym Hotel de Toiras na wyspie Île de Ré we Francji podzieliliśmy się côte de boeuf za 125 funtów. Zauważyłam, że podczas podróży psie jedzenie odzwierciedla lokalną kuchnię. We Francji Bear [labrador autorki – przyp. R.W.] pochłonął psie makaroniki. W Brighton zajadał się wegańskimi przysmakami z brokułów. Kiedy byłam w Montecito w Kalifornii, kupiłam mu roślinną kostkę z mąki ryżowej (za 7 funtów) z działu superfoodów w butikowym sklepie dla psów" – pisze dziennikarka.

PIWKO W SZLAFROKU

Domowe menu czworonogów też jest coraz ciekawsze. Katie Glass opisuje, że zawstydzona opowieściami innych psich „rodziców" zmieniła nawyki żywieniowe swojego labradora. „Podczas spaceru, wymieniając się uwagami na temat jedzenia naszych psów, dowiedziałam się, że jeden z nich korzysta z subskrypcji Butternut Box (2–4 funty dziennie za świeżo dostarczane jedzenie), a drugi je liofilizowane, »spożywczej jakości« mięso marki James & Ella. (Produkowane przez brata księżnej Walii, Jamesa – to praktycznie jak królewski certyfikat). Wstydziłam się przyznać, że Bear żyje na karmie suchej" – wyznała.

W Polsce o królewski certyfikat trudno, ale coś na kształt diety pudełkowej dla psa ze świeżym jedzeniem dostarczanym prosto do domu jest w zasięgu ręki. Na jednej ze stron oferujących taką dietę (ze świeżych, nieprzetworzonych składników) wypełniam ankietę, która pomaga w ułożeniu menu odpowiedniego do potrzeb mojego hipotetycznego zwierzęcia. Odtwarzam w pamięci mojego psa z dzieciństwa, którego z nostalgią wspominam do dziś. Bokser, samiec, waga 30 kg. Pytają, czego nie jada. Jadał w zasadzie wszystko (i dożył sędziwego, jak na tę rasę, wieku), przepadał za kaszanką i resztkami wędlin, rozgryzał orzechy i nie gardził pozostałościami obiadu, ale tu oczywiście nie ma takich opcji, są za to m.in. dziczyzna, perliczka, przepiórka, kaczka, królik, ryba i jagnięcina. Wykluczam z diety kości, dorzucam jakieś suplementy i otrzymuję ofertę: 750 g dziennej porcji w cenie 1513,05 zł za 28 dni, czyli 54,04 zł dziennie.

Skoro mamy już kolację z dostawą, to poszukajmy czegoś do picia. „Szampan dla psa lub kota Xmas SPECIAL CUVÉE" to oferta zdecydowanie na „xmasowe" święta. Ale może psie piwo? A może psi drink, np. aperidog spritz? Wszystko oczywiście bez grama alkoholu. Na specjalne psie okazje dostaniemy psie torty – smaczne, zdrowe i wcale niebrzydsze niż te na urodziny dziecka. Pieska możemy też odpowiednio ubrać. Albo wzorem pewnej znanej blondynki jedynie w kilka kropel (psich) perfum, albo w całkiem wyszukany strój. Wybór jest ogromny: bluzy, kurtki, kamizelki, majteczki, sukieneczki, smokingi. A gdy nie mamy ochoty nigdzie wychodzić, są także psie szlafroki. Takie z gatunku premium, Royal Puppy, można dostać za 249 zł.

Z psem można już iść na film, ale – niestety albo stety – tylko na wybrane seanse w wybranych i niewielu jeszcze kinach. Bardziej otwarte bywają inne instytucje kultury. Na przykład Łódź szczyci się dużą otwartością w tym zakresie. „Do większości instytucji kultury będzie można od dzisiaj wchodzić z naszymi pupilami" – deklaruje Hanna Zdanowska w artykule z 2022 r., zamieszczonym na oficjalnej stronie Urzędu Miasta Łodzi. Tekst zilustrowany jest zdjęciem pani prezydent zwiedzającej muzealną wystawę z psem na ręce. Jako że psów jest w Polsce dużo, to sporo jest ich też w sklepach, w komunikacji publicznej czy na lotniskach. Nie są to łatwe czasy dla osób uczulonych czy panicznie bojących się psów.

SACRUM DLA PSÓW

Niektórzy właściciele czworonogów chcą, by towarzyszyły im one w najważniejszych momentach życia. Nawet jeśli odłożymy na bok dewiacje ze świata, kiedy to zwierzęta stają się w sensie dosłownym częścią tych wydarzeń, jak np. „małżeństwa międzygatunkowe" (w Holandii załatwia się takie rzeczy przez Internet), i zostaniemy na polskim podwórku, to czytając niektóre porady, warto przytrzymać się ściany. Popularna „Party & Wedding Expert" Izabela Janachowska podpowiada: „Obecność psa na ślubie może dodać niepowtarzalnego charakteru do ceremonii. Możesz rozważyć uczynienie swojego czworonoga »świadkiem« lub »drużbą« swoim albo pana młodego. To symboliczna rola, która z pewnością przyciągnie uwagę gości i stworzy wyjątkowe wspomnienia. Pies może towarzyszyć panu młodemu podczas wejścia do kościoła lub na miejsce ceremonii, a nawet nosić obrączki na specjalnie przygotowanej poduszeczce przyczepionej do obroży".

Niektóre media, także w Polsce, z oburzeniem opisywały przypadek z Turynu, gdzie ksiądz nie wpuścił psa na mszę pogrzebową jego właściciela. Oburzenie to wywołał oczywiście ksiądz swoim zakazem, a nie pomysł wprowadzania psa do kościoła. Te same media z entuzjazmem piszą o psie z Brazylii, który został „ministrantem", albo o historii z Belgii, gdzie ksiądz odprawił nabożeństwo przy trumnie psa. Kapłana w obronę wziął nawet biskup, który – jak donosi „Niedziela" – tłumaczył, że „nie był to katolicki pogrzeb, a duchowny modlił się jedynie w intencji właścicieli czworonoga, którzy opłakiwali jego stratę, gdyż byli ze swym psem emocjonalnie związani i chciał im okazać współczucie".

I pomyśleć, że kiedyś oryginalny wydawał się koncept, że pies mógłby jeździć koleją.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

Niestrudzenie służyła prawdzie

FOT. FOTON/PAP

Tomasz Zbigniew Zapert

8 czerwca 2025 r. odeszła Ewa Dałkowska. Wybitna postać polskiego teatru, filmu oraz kabaretu. Miała 78 lat

Jej pierwszy wybór zawodowy stanowiła polonistyka, ale gdy kończyła filologię polską, studiowała już także na wydziale aktorskim stołecznej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Bakcyl tego rzemiosła połknęła jeszcze we Wrocławiu. Mieście, w którym 10 kwietnia 1947 r. przyszła na świat. W przeciwieństwie do wielu koleżanek po fachu daty tej nigdy nie ukrywała. Tyle że od katastrofy smoleńskiej przestawała urodziny celebrować.

Z dzieciństwa spędzonego w stolicy Dolnego Śląska zapamiętała niebieskie tramwaje, opiewane w szlagierze Marii Koterbskiej, rozbiórkę zrujnowanych przez wojnę domów oraz stosy cegieł zwożonych furmankami i ciężarówkami na dworzec kolejowy. Stamtąd transportowano je wagonami celem odbudowy Warszawy. Na dużą liczebność wrocławian o lwowskich czy – szerzej – kresowych korzeniach zwróciła uwagę podczas odwiedzin wyścigów konnych na Partynicach, słysząc konwersacje rozemocjonowanych bywalców, nierzadko operujących bałakiem. W czasach licealnych zetknęła się z kabaretem Wojciecha Dzieduszyckiego „Dymek z papierosa", chociaż bardziej ceniła humor Andrzeja Waligórskiego prezentowany na antenie lokalnej rozgłośni radiowej. Z tego też okresu utkwiła w pamięci epidemia czarnej ospy, skutkująca wielodniowym otoczeniem Wrocławia kordonem sanitarnym. Zaledwie kilka tygodni później rozgrywano tam koszykarskie mistrzostwa Europy. Razem z kibicami przeżywała zaprawioną nutą dziegciu euforię, kiedy reprezentacja Biało-Czerwonych uległa w finale drużynie narodowej Związku Sowieckiego.

Debiut teatralny Dałkowskiej miał miejsce w Studenckim Teatrze Kalambur. Pojawiła się w obsadzie „Szewców", adaptacji dramatu Stanisława Ignacego Witkiewicza w reżyserii Włodzimierza Hermana. Reżysera, który opuścił Polskę w następstwie antysemickiej nagonki schyłku lat 60. Kilkanaście lat później aktorka matkowała – dosłownie i w przenośni – jego nastoletniemu krewnemu, Olafowi Lubaszence. Zdarzyło się to na planie filmowym serialu „Życie Kamila Kuranta", ekranizacji prozy Zbigniewa Uniłowskiego.

POTAJEMNA MELPOMENA

Obroty koła historii wielokrotnie rzutowały na curriculum vitae artystki.

Najsilniej po 13 grudnia 1981 r., kiedy wspólnie z Emilianem Kamińskim, Andrzejem Piszczatowskim i Maciejem Szarym powołała do życia Teatr Domowy. Tak zaprotestowali przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego oraz delegalizacji Solidarności.

Startowali widowiskiem zatytułowanym „Wszystkie spektakle zarezerwowane nr 2 – Przywracanie porządku" w reżyserii Elżbiety Bukowińskiej, wykorzystującym współczesną poezję polską, m.in.: Stanisława Barańczaka, Wiktora Woroszylskiego, Anny Kamieńskiej, Ernesta Brylla, Piotra Matywieckiego, Leszka Szarugi, oraz piosenki Jacka Kaczmarskiego i Jana Krzysztofa Kelusa. Była to niejako kontynuacja przedstawienia warszawskiego Teatru Powszechnego pt. „Wszystkie spektakle zarezerwowane", zdjętego z afisza w następstwie decyzji towarzysza generała i jego umundurowanej kamaryli.

„Do działania zmotywowało nas ograniczenie wolności. Aktywność twórcza pomogła poskromić przytłaczającą bezradność wobec zła. Znaleźliśmy możliwość artykułowania Polakom nieocenzurowanych treści" – wspominała ten ponury czas aktorka.

Premiera Teatru Domowego odbyła się w jej mieszkaniu. Do lokum usytuowanego na ósmym piętrze ursynowskiego wieżowca niepostrzeżenie, windą i schodami, dotarło 40 osób. Zalegli na… podłodze. Jedynie prof. Bohdan Korzeniewski zasiadł w fotelu. Skądinąd repertuar tej nieformalnej placówki sztuki widziały też inne osobistości teatralne. Choćby Zygmunt Hübner czy Aleksander Bardini. Ten ostatni doradzał występującym używanie kostiumów, ponieważ grali w ubraniach używanych na co dzień.

eprasa.pl 5f87de27ee

Aby zachować dyskrecję, stosowano kamuflaż. Spektaklom towarzyszył zastawiony stół. Mistyfikacja miała na celu wprowadzenie w błąd tropiących potajemną Melpomenę.

„Udawaliśmy, że hucznie obchodzimy uroczystości rodzinne. Publiczność zamiast oklasków, śpiewała nam »Sto lat«, datki wrzucano zaś – podczas antraktu – do kapelusza" – przypominała Dałkowska.

Druga odsłona Teatru Domowego przybrała formę satyryczną. Zagwarantowały ją zdyskontowane scenicznie nagrania rozmów zomowców patrolujących ulice. Zwieńczone sławnym „Bluzgiem", wierszowanym pamfletem na Wojciecha Jaruzelskiego, brawurowo interpretowanym przez Emiliana Kamińskiego.

Podczas siedmioletniej aktywności dali ok. 200 przedstawień. W rozmaitych regionach kraju, mieszkaniach, salach parafialnych, plenerze. Wystawiali głównie teksty współczesne, choćby „Degrengoladę" Pavla Kohouta, „Largo desolato" Václava Havla i „Brata naszego Boga" Karola Wojtyły. Inicjatywę z czasem wparli również: Piotr Machalica, Andrzej S. Jagodziński, Jerzy Zelnik, Krzysztof Popowicz, Maria (Majka) Dłużewska, Zygmunt Sierakowski, Włodzimierz Nahorny, Kazimierz Wysota, Joanna Ładyńska, Magdalena Kuta, Maria Robaszkiewicz i Daria Trafankowska.

SCENA POLITYCZNA

Pokaz „Degrengolady" we Wrocławiu przerwała interwencja Służby Bezpieczeństwa. Zarówno artyści, jak i widzowie trafili do aresztu. Tych pierwszych zwolniono znacznie prędzej. Pomogły interwencja adwokatów i presja opinii publicznej.

Działalność w Teatrze Domowym spowodowała, że aktorka stała się obiektem rozpracowania S prowadzonego w ramach operacji „Teatr II". W raportach akcentowano, że „brała udział w organizowanych nielegalnie na terenie Warszawy przedstawieniach tzw. Teatru Podziemnego, które miały wydźwięk antypaństwowy, i pozostawała w kontakcie z figurantami prowadzonych przez SB Spraw Operacyjnego Rozpracowania, zaangażowanymi czynnie w opozycyjną działalność podziemia".

Z odważnej postawy obywatelskiej Dałkowska dała się poznać już w karnawale Solidarności. Jan Pietrzak zaprosił ją wtedy do kabaretu Pod Egidą. Współpracownicy SB donosili, że „dn. 8.10.1981 wystąpiła podczas programu kabaretowego w hotelu »Forum«, a w trakcie swojego występu wykonywała piosenki o treści antypaństwowej nawiązujące do wydarzeń z lat 1956, 1968, 1970, 1980, a także krytyczne wobec działań władz PRL i funkcjonariuszy MO".

Polityka nie była jej obca i w III Rzeczypospolitej. „Zaufałam Prawu i Sprawiedliwości i jak dotąd nigdy się nie zawiodłam […], potrafię być krytyczna, nie jestem »pisiorem«". Tego typu deklaracje znaczna część mainstreamu przyjęła z dezaprobatą. Podobnie udział artystki w filmie Antoniego Krauzego „Smoleńsk", gdzie wcieliła się w Marię Kaczyńską. „Moje dzieci i mąż zbierali pieniądze, by ta ważna i potrzebna produkcja mogła zaistnieć […]. Tymczasem Andrzej Wajda, z którym zrobiłam dwa filmy, traktował mnie jak powietrze… Z Januszem Majewskim jest podobnie. Ale to nie mój problem" – komentowała z przykrością i niesmakiem.

Właśnie pod okiem tych dwóch reżyserów stworzyła kreacje ponadczasowe. Przy okazji realizacji „Bez znieczulenia" – dramatu ukazującego zależność mediów od władzy w dobie raju na kredyt – ujrzałem ją przed kamerą. Kilka sekwencji „kręcono" w redakcji „Expressu Wieczornego", a zatrudniony tam tata przekonał ekipę, by pozwolili uczniowi czwartej klasy podstawówki przyjrzeć się pracy filmowców. Dzięki temu z bliska przyglądałem się ujęciu, w którym Dałkowskiej towarzyszyli Zbigniew Zapasiewicz wraz z Andrzejem Sewerynem – już wtedy nieprzebierającym w słowach. A „Bez znieczulenia" – w którym, jak mawiają złośliwcy, życiową rolę, bo niemą, stworzyła Krystyna Janda – obejrzałem dopiero w latach licealnych.

Wówczas zobaczyłem także „Sprawę Gorgonowej". W tej pieczołowitej rekonstrukcji bodaj najbardziej spektakularnego procesu II Rzeczypospolitej Dałkowska doskonale uosabiała postać tytułową. Nie usiłowała niczego sugerować, nie odwoływała się do sentymentalnych uczuć, wspaniale łączyła w sobie tajemnicę, rozpacz, szaleństwo i współczucie. Ale do kanonu kinematografii trafiła i za sprawą innych wcieleń ekranowych – choćby w „Cyndze" Leszka Wosiewicza, pierwszym rozliczeniu naszej kinematografii z tematyką sowieckich łagrów. Z tej okazji urządzono media day na planie w Bieszczadach, udających tajgę. Grała w tym dramacie więźniarkę pielęgniarkę, kurującą schorowanego bohatera (w tej roli Tomasz Łysiak), ale – prawdę mówiąc – moją uwagę w tym filmie zwróciła inna aktorka – Sylwia Wysocka. Pionierski projekt nie zyskał należnego uznania – być może dlatego, że nad Polską majaczyło już hasło „Wybierzmy przyszłość!"

Wszechstronny oraz olbrzymi talent Dałkowska zaprezentowała w „Lekcji martwego języka", „Głosach", „Nadzorze", „Medium", „Roku spokojnego słońca", „Kobiecie z prowincji", „Korczaku", „Skazanym na bluesa", „Mistyfikacji", „Przedwiośniu" i „Body/ciało" – tu wprawiając widownię w osłupienie śmiałym tańcem topless. Przy okazji serialu „Noce i dnie" poznała swego przyszłego męża, Tomasza Miernowskiego – filmowego kierownika produkcji. Od lat mieszkali w Zalesiu Górnym, troszcząc się o pokaźną liczbę kotów. Przygarniętych i bezdomnych.

PONAD PODZIAŁAMI

Przez niemal ćwierćwiecze należała do zespołu stołecznego Teatru Powszechnego. Na jego deskach oklaskiwano ją w klasyce. A kiedy praska placówka zaczęła dryfować ku mieliznom, by nie rzec rynsztokowi, nawiązała współpracę z Krzysztofem Warlikowskim. W prowadzonym przez tego kontrowersyjnego twórcę Nowym Teatrze spędziła kilkanaście lat. Na niwie sztuki potrafiła się porozumieć z osobami o biegunowo odmiennych światopoglądach. Przykuwała uwagę w obsadzie takich spektakli jak: „Oczyszczeni", „(A)polonia", „Koniec", „Opowieści afrykańskie wg Szekspira", „Kabaret warszawski"…

Listę jej osiągnięć dopełnia wieloletnia i bardzo owocna współpraca z Teatrem Telewizji oraz Teatrem Polskiego Radia. W dowód uznania za zasługi dla kultury polskiej została uhonorowana Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Złotym Medalem Gloria Artis.

„Niestrudzenie służyła prawdzie, uczciwości i sprawiedliwości. Łączę się w modlitwie z Rodziną i Bliskimi Zmarłej. Wieczne odpoczywanie racz Jej dać, Panie" – pożegnał ją prezydent, Andrzej Duda. Spoczęła w mogile na cmentarzu w Zalesiu Górnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

Na bogato

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Wbrew pozorom miniseria „Syreny" nie jest opowieścią o walce klas i o patologiach ludzi zamożnych, lecz opowieścią o wyborach, których musimy w życiu dokonać

„Lato w tej okolicy nie daje się we znaki tak jak w mieście" – opisywał w powieści „Ciemnooka blondynka" Benjamin Black nadmorską okolicę, gdzie w wystawnych rezydencjach mieszkali ludzie tak bogaci, że „mają własną porę roku". W takiej właśnie rezydencji mieszka bohaterka znakomitej miniserii „Syreny", Michaela „Kiki" Kell.

Gigantyczny dwór stoi na malowniczym, wysokim klifie wyspy Port Haven, otoczony lasem, który także należy do państwa Kell. Porządku strzegą kamery, nawet w lesie dojrzą nieszczęśnika, który zamiast pucować talerze lub strzyc trawnik jaśnie pani, wymknął się, by sobie zapalić. Więcej troski w „Kiki" budzą rzadkie dzikie ptaki. Leczy je w sanktuarium dzikiej natury, a potem wypuszcza na wolność. Państwa Kell odwiedzają jedynie ludzie równie bogaci. Perfekcyjnie ubrane panie, wyglądające jakby uciekły z planu filmu „Żony ze Stepford", oraz panowie, którzy przy nazwisku mają zwykle liczby „III" lub „IV", oznaczające z którego pokolenia bogatego rodu pochodzą.

To bez wątpienia kraina właścicieli starych amerykańskich pieniędzy. Tych, o których Francis Scott Fitzgerald pisał w eseju „The Rich Boy" (1926): „Są inni niż ty i ja. Posiadają i cieszą się tym wcześnie, to posiadanie ich zmienia w sposób, który – chyba że sam urodziłeś się bogaty – jest bardzo trudny do zrozumienia". Bogactwo – tłumaczy pisarz – czyni ich miękkimi – podczas gdy my (znaczy ubodzy) jesteśmy twardzi – oraz cynicznymi – podczas gdy my jesteśmy ufni. „Myślą, głęboko w swoich sercach, że są lepsi od nas". Tak, pani Kell doskonale odnalazłaby się w powieści „Wielki Gatsby" wśród takich jak rodzina Daisy: którzy przenosili się „zawsze tylko tam, gdzie gra się w polo i gdzie wszyscy są bogaci".

DZIEJE DWÓCH SIÓSTR

Panią Kell fenomenalnie zagrała Julianne Moore, to jedna z jej najlepszych ról w ostatnich latach. W rolę pana Kella wcielił się Kevin Bacon, którego niedawno widzieliśmy w roli pogromcy demonów w serialu Amazona. Jednak choć oko

eprasa.pl 5f87de27ee

kamery pieści w miniserialu Netflixa całe to bogate piękno, które otacza Kellów, to nie jest to opowieść o ludziach bogatych, lecz o ludziach biednych. „Biedni ludzie są bardziej chciwi niż bogaci" – zapisał finansista Robert Kiyosaki w swoim głośnym poradniku „Bogaty ojciec, biedny ojciec". No właśnie.

Z pozoru „Syreny" to kolejna historia piętnująca bezduszność i duchową pustkę bogatych, w dodatku przyjęcia charytatywne organizowane przez panią Kell wyglądają jak spotkania jakiejś sekty, a ona zachowuje się niczym wtajemniczona mistrzyni ceremonii. Jednak tak naprawdę w sercu tej historii mamy dzieje dwóch sióstr pochodzących z prowincjonalnego miasta Buffalo przy granicy z Kanadą. Simone i Devon DeWitt wybrały jednak zupełnie różne życiowe strategie.

Starsza Devon (świetna Meghann Fahy, którą pamiętamy z serialu „Biały lotos") została w rodzinnym mieście, gdzie haruje za grosze w lokalnej restauracji, romansując jednocześnie z jej żonatym właścicielem. Poza tym jej życie wypełnia opieka nad chorym ojcem. Pan DeWitt (doskonały Bill Camp) nie tylko jest coraz bardziej zniedołężniały, lecz także zaczyna być coraz bardziej ogarnięty demencją. Młodsza siostra, Simone, wyfrunęła w świat i ma w nosie alarmujące SMS-y o tym, że potrzebne są i pomoc, i pieniądze. W reakcji na wieści o chorobie ojca wysyła do domu kosz… owoców. Wściekła Devon rusza w podróż, by osobiście powiedzieć wyrodnej siostrze, co o niej myśli. Dociera do Port Haven, gdzie odnajduje Simone w znakomitej formie – piękną, zdrową, po operacji plastycznej, żyjącą w rezydencji Kellów jako osobista asystentka pani Kell.

To spotkanie wprawia w ruch wypadki, które śledzić będziemy w pięciu odcinkach miniserii, która zdecydowanie przewyższa ostatnie propozycje Netflixa. Nic dziwnego – w odróżnieniu od rutynowych strzelanek i łzawych obyczajówek serwisu ma porządny scenariusz. A ten zaś nie wziął się znikąd, tylko z teatralnego oryginału, którym była sztuka „Elemeno Pea" autorstwa Molly Smith Metzler. Autorka sama rozbudowała literacki oryginał do rozmiarów miniserii i jest też główną siłą kreatywną stojącą za ekranizacją. Więcej Metzler – chciałoby się zawołać – a mniej Harlana Cobena, drogi Netflixie!

Dlaczego „Syreny" to opowieść dużo mądrzejsza niż zalewające nas obecnie seriale i filmy o wstrętnych bogaczach? Ano dlatego, że żadna z postaci na ekranie nie jest karykaturą. Państwo Kell niby mają wszystko, ale nie doczekali się dziecka i ten kłopot kładzie się cieniem na ich związek. Upływ czasu także nikogo nie oszczędza; jest w pierwszym odcinku scena, kiedy przed położeniem się spać „Kiki" Kell ogląda się w lustrze, już pozbawiona luksusowych fatałaszków i makijażu: widzimy wtedy starą, samotną i – jak możemy założyć – nieszczęśliwą kobietę. Inny bogacz – sąsiad Kellów, który podkochuje się w młodej Simone – to emocjonalny nastolatek w ciele dorosłego faceta, jakby rodzinna fortuna odcięła go od procesu dojrzewania.

Najważniejsze są jednak siostry, Devon i Simone, kiedyś nierozłączne, a teraz nie dość, że żyjące w diametralnie innych warunkach, to jeszcze wybierające zupełnie inne życiowe strategie. Devon, czyli starsza siostra, jest postacią, której najbardziej kibicujemy i najbardziej poruszającą. Mimo że uwikłana we własne osobiste piekiełko (zmaga się z rozmaitymi uzależnieniami), poświęciłaby wszystko dla rodziny (tak zresztą czyniła już w przeszłości), jest jedną z tych niezauważanych przez nikogo i nieopiewanych w żadnych pieśniach codziennych bohaterek, na których wspiera się świat. Jest człowiekiem po prostu. Jedni powiedzą: najbardziej ludzka, inni odpowiedzą: głupia, bo przecież świat dziś idzie naprzód pod hasłami „możesz wszystko" „samorealizuj się", „tylko ty jesteś ważna" itd.

Pięć odcinków „Syren" to uczta dla oka i dla myśli. Warto oglądać tę produkcję bardzo uważnie

KONSERWATYWNE PRZESŁANIE

Te ostatnie hasła to z kolei niewypowiedziane życiowe motto młodszej siostry. Simone zrobi wszystko, absolutnie wszystko, by przypodobać się pani Kell. (W roli Simone znakomita jest Milly Alcock, obsadzona dużo trafniej niż w serialu „Ród Smoka"). Stanowisko asystentki zastępuje jej osobowość. Spełnia się w byciu niezbędną, docenianą – być może imaginuje sobie, że kochaną – no i przede wszystkim przynależącą do innego, lepszego świata. Przeszłość wyrzuciła do kosza, na potrzeby kariery wymyśliła sobie nową karierę, studia, nową tożsamość po prostu. W opowieściach, które snuje o sobie przed „Kiki" i przed bogatym kochankiem, nie ma miejsca na biedę w Buffalo, na chorego ojca ani na starszą siostrę. Niczym Don Draper w serialu „Mad Men" przychodzi znikąd i próbuje dorównać tym, którym zazdrości i których podziwia. Próbuje być tak bardzo nieodzowna, aż stanie się nieodłączną częścią bogatego świata. Ta strategia imitacji przypominać nam musi słynną powieść Patricii Higsmith „Utalentowany pan Ripley". Podobnie jak Ripley, Simone uważa, że jej należy się to wszystko, czym cieszą się Kellowie. No bo dlaczego nie? Dlaczego ma być gorsza tylko dlatego, że urodziła się w niewłaściwej rodzinie?

Nie mamy w „Syrenach" wcale walki klas, konfliktu między biednymi a bogatymi, jak głoszą slogany promujące miniserię. Mamy natomiast konflikt między obowiązkiem a egoizmem, między zakorzenieniem i wykorzenieniem, między odpowiedzialnością a porzuceniem. Droga, którą prowadzi nas Molly Smith Metzler, zawiedzie widzów do konserwatywnego przesłania. Pięć odcinków „Syren" to uczta dla oka i dla myśli, warto oglądać tę produkcję bardzo uważnie, aż do zaskakującego finału.

Na koniec dwa słowa o dwuznaczności tytułu, która wielu chyba umyka. Idzie nie tylko o wyjętą z mitologii greckiej figurę pięknej i uwodzicielskiej syreny. Emoji zwane syrenami, symbol karetki pogotowia, wysyłane są na początku serialu SMS-ami przez starszą siostrę do młodszej. To rozpaczliwe wołanie o pomoc. Wszyscy potrzebujemy pomocy, przypomina nam serial „Syreny", ale tylko niektórzy decydują się jej udzielić.

★★★★★☆
MINISERIA „SYRENY" („SIRENS")
USA 2025
N
wyst. Julianne Moore, Meghann Fahy, Milly Alcock

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wolny robot

★★★☆☆☆

SEZON 1
„PAMIĘTNIKI MORDBOTA" („MURDERBOT")
USA 2025

wyst. Alexander Skarsgård, Noma Dumezweni

Główny bohater serialu „Pamiętniki mordbota" często kłamie. Pcha go do tego instynkt samozachowawczy. Oto cyborg strażniczy, który znalazł sposób, by obejść moduł nakazujący mu posłuszeństwo wobec ludzi. Teoretycznie może robić, co chce; w praktyce sytuacja jest nieciekawa. Jeśli ucieknie, to korporacja, która go wyprodukowała, będzie wiedziała, że jest z nim coś nie w porządku, więc go zlikwiduje. Jeśli zdradzi się ze świeżo nabytą wolną wolą, to zostanie zlikwidowany tym pewniej. Mordbot postanawia więc pozostać wśród ludzi i wieść podwójne życie. Zwłaszcza że jest wielkim fanem dostępnych w streamingu serialu fantastycznych, szczególnie tych o ludziach i robotach.

Serial duetu Paul Weitz i Chris Weitz (twórcy m.in. „American Pie" i „Był sobie chłopiec") ma wielki potencjał, którego nie jest w stanie wykorzystać. Winę za to ponoszą literacki oryginał i brak odwagi obu Weitzów. Powieści Marthy Wells o Mordbocie (znamy je i w Polsce) zdobywały prestiżowe nagrody Hugo i Nebula, ale nie były ich warte. Cykl jest bowiem dość rutynową fantastyką akcyjną, opartą na jednym chwycie: robot komentuje sarkastycznie to, co się dzieje dookoła, bo ludzi uważa za głupków. Z niektórymi się jednak zaprzyjaźnia i zostaje ich tajemnym przyjacielem. Gdy przypomnimy sobie, jak przezabawne i złośliwe komentarze pod adresem istot białkowych (bladawców) wygłaszały choćby roboty u Lema, szybko dostrzeżemy, jak jałową rozrywkę oferuje Martha Wells.

Można było wziąć pomysł i pojechać po bandzie (Hollywood często tak robi), ale wyszło inaczej, czyli dość bezpiecznie. Szkoda, bo „Pamiętniki Mordbota" najlepsze są tam, gdzie zamieniają się w czarną komedię. Jednak streamingowa rozrywka – i ta w naszym świecie, i ta w świecie Mordbota – jest krainą średniactwa, więc panowie Weitz idą ścieżką bezpieczną: ma być umiarkowanie sentymentalnie i umiarkowanie złośliwie. Alexander Skarsgård w roli głównej robi, co może, ale mógłby więcej, gdyby dostał lepszy scenariusz. Ciekaw jestem, czy Apple TV+ wystarczy cierpliwości, by zekranizować także kolejne książki. Niewiele się w nich zmienia poza scenografią (oraz faktem, że wśród nielicznych przyjaciół Mordbota oprócz ludzi znajdziemy też sztuczną inteligencję). ©℗

GRA TYGODNIA: „TAINTED GRAIL: THE FALL OF AVALON"

Fabuła osadzona w mrocznym świecie fantasy inspirowanym legendami arturiańskimi jest jednym z największych atutów gry, którą niektórzy na wyrost okrzyknęli „polskim Skyrimem". To gra z mniejszym budżetem, lecz podchodząc do niej z tą świadomością, można się pozytywnie zaskoczyć. Klimat, kreacja postaci, dialogi, ścieżka dźwiękowa – to wszystko na duży plus. Technologicznie jest nieco słabiej, ale jeśli przymkniemy oko na kiepską grafikę, pewne gameplayowe niedogodności i (nie tak znowu liczne) błędy, to czeka nas kilkadziesiąt godzin solidnej zabawy. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Questline; Awaken Realms*

eprasa.pl 5f87de27ee

Ich prawda

KINO

Festiwal w Wenecji hołubi artystów, Cannes kocha sławnych i bogatych, a Berlin – kino zaangażowane (cokolwiek to znaczy). Film Baiera nie porwał jednak amatorów ekranowej publicystyki. Może zaszkodził mu nadmiar złotych myśli, którymi jest nafaszerowany jak pieczony kapłon kaszą? Francuskiego reżysera można pochwalić za konsekwencję. Dziewiętnaście lat temu szukał polskich przodków w komediodramacie „Na wschód". Nawet Alicja Bachleda-Curuś w roli nauczycielki języka nie poruszyła widzów, ale Baier pozostał wierny tematyce „korzennej". Pretekstu dostarczyły wspomnienia Christopha Boltanskiego, a ściślej rzecz biorąc – pół akapitu dotyczącego gorącego maja 1968 r. Autor był wtedy dzieciakiem, mieszkał kątem u stryjostwa, podczas gdy rodzice, wykorzystując całą moc powielacza, „zmieniali przyszłość". Spojrzenie na historyczny przełom oczami rezolutnego dziewięciolatka odkrywczym pomysłem nie jest. Nawet jeśli do bohaterów dołącza prezydent gen. de Gaulle (mało do siebie podobny).

★★☆☆☆

REŻ. LIONEL BAIER
„W UKRYCIU" („LA CACHE")
FRANCJA 2025

wyst. Dominique Reymond, Michel Blanc, Liliane Rovère

Bunt studentów Sorbony próbujących namówić proletariuszy do obalenia burżujskiej republiki szybko się wypalił. Męczeńskie i kombatanckie pozy przyjmowane po latach przez zadymiarzy ośmieszyły ten epizod do imentu. Reżyser trochę pokpiwa z rewolucyjnych sloganów, na czele ze sławetnym „zabrania się zabraniać", ale dystansuje się też od rządowej propagandy. Może sobie na to pozwolić, gdyż familię Boltanskich od innych mieszkańców prestiżowej 7. dzielnicy, obserwujących zamieszki z okien i balkonów solidnie ogrodzonych kamienic, różniło żydowsko-rosyjskie pochodzenie. Dramatyczna przeszłość sprawiła, że paroksyzmy obrastającej tłuszczem Francji wydają im się operetkowe. Baier robi, co może, byśmy polubili skromnego lekarza, jego niepełnosprawną żonę, a zwłaszcza prababcię, która miała przyjemność bliżej poznać Prokofiewa, Jauresa i marszałka Petaina. Fanów motoryzacji z pewnością uraduje widok citroëna Ami 6.

Nie zmienia to faktu, że rozrachunki z majową rebelią są już passé, rytualne piętnowanie antysemityzmu przestaje zaś robić wrażenie na publiczności obserwującej, co Izrael wyczynia w Palestynie. ©℗

Wiesław Chełminiak

COŚ NA ZĄB

Spielberg po kasowej porażce „Sugarland Express" pragnął odzyskać zaufanie producentów. Udało się. „Szczęki" zarobiły fortunę, lecz realizacja była drogą przez mękę. Nijaki i bez końca przerabiany scenariusz, konflikty w ekipie, zmagania z aurą, lokalsami, wytwórnią tudzież ciągle psującym się mechanicznym rekinem – niezły materiał na komedię lub psychodramę. Dodatkowych cierpień przysporzyła reżyserowi ceremonia rozdania Oscarów. Nagrodzono jedynie montaż, dźwięk i muzykę. Akademicy fetowali Felliniego. W ich oczach „Szczęki" były popłuczynami po „Moby Dicku". Spielberg się wściekł, ale po latach przepraszał, że nakręcił film „brutalny, odrażający i surowy". Tymczasem pół wieku po premierze historia ludojada nadal straszy, skutecznie zniechęcając plażowiczów do kąpieli w oceanie. Czyli jednak majstersztyk. ©℗

★★★★★☆

REŻ. STEVEN SPIELBERG
„SZCZĘKI" („THE JAWS")
USA 1975

wyst. Roy Scheider, Robert Shaw, Richard Dreyfuss

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Anatomia antyku

Kiedy zrodzony we Włoszech klasycyzm dotarł na ziemie polskie, rozgościł się na dobre w Zamku Królewskim w Warszawie, który stał się głównym lokalnym ośrodkiem nowego stylu. Rozmiłowany w antyku Stanisław August, śniący niespełniony sen o utworzeniu w Warszawie Akademii Sztuk Pięknych, zgromadził jeden z największych w Europie zbiorów gipsowych kopii antycznych dzieł.

Większość z ponad 500 figur została zniszczona w czasie drugiej wojny światowej. Część, która szczęśliwie ocalała, można oglądać na wystawie „Anatomia antyku. Ciało i ruch w rzeźbie". A oprócz niej są także oryginalne starożytne rzeźby oraz dzieła inspirowane antykiem. Wystawa „pokazuje, jak wzorce antyczne kształtowały kulturę polską i edukację artystyczną w XVIII i XIX w. – piszą autorzy. – Ekspozycja pozwala oczyma wyobraźni zajrzeć do warsztatu rzeźbiarza sprzed stuleci i przybliża charakter jego pracy. Pokazuje zmagania z materią w dążeniu do doskonałości. Dobór eksponatów stwarza też okazję, by prześledzić, jak zmieniały się antyczne przedstawienia ciała". ©℗

GDZIE? ***Zamek Królewski w Warszawie***
KIEDY? ***do 21 września***

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

eprasa.pl 5f87de27ee

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Biografia z tezą

Sylwia Góra, autorka książki o Annie Iwaszkiewicz, jest jedną z najbardziej znanych polskich herstoryczek. Gdyby ktoś nie wiedział, co kryje się za tym językowym dziwolągiem, spieszę donieść, że chodzi o snucie opowieści o kobietach przez kobiety, które uznały, że już wystarczająco długo mężczyźni objaśniają im świat, by w nieskończoność ciągnąć historię pisaną pod męskie dyktando.

„Herstoria jest tematem, którym zajmuję się od kilku lat – powiada Góra, doktor nauk humanistycznych, podpora „Kultury Liberalnej" i fundacji Kosmos dla Dziewczynek. – Wreszcie mamy dobry czas do opowiadania w Polsce herstorii, kiedy zarówno wydawcy, jak i czytelniczki oraz czytelnicy chętnie zapoznają się z pominiętymi, zapomnianymi, niekiedy zupełnie nieznanym kobietami". W związku z tym napisała książkę o Annie Iwaszkiewicz, tytułując ją czytelnym odniesieniem do Marcela Prousta, a żeby nie było wątpliwości, nazywając ją w podtytule biografią.

Zarazem już w pierwszym zdaniu informuje autorka czytelników, że nie jest to „klasyczna biografia". Niech będzie, że nieklasyczna, że tworzą ją ułomki, fragmenty, zdania rozrzucone po listach, dziennikach, wspomnieniach. Świadectw tych, którzy znali Annę Iwaszkiewicz, jest zresztą niewiele, a niektóre są raczej kuriozalne. Jak to np.:

„– Pod koniec lat siedemdziesiątych stałem się właścicielem działki z weekendowym domkiem w Podkowie Leśnej. Tej zachodniej, około stu metrów od Stawiska – opowiedział autorce Daniel Olbrychski. – Wieczorami, spacerując po zalesionych uliczkach, spotykałem idącą energicznie siwą, szczupłą kobietę. To była pani Ania. Na moje pozdrowienia nie odpowiadała. Mówiła coś do siebie. Nie zwracała na mnie uwagi. Nic dziwnego. Rozmawiała pewnie z Baczyńskim, Tuwimem, Lechoniem, Słonimskim, Ireną Krzywicką… Uśmiechała się. Pewnie była szczęśliwa". Zaiste, bezcenne to świadectwo.

Obecne są na kartach książki wnuki Iwaszkiewiczów, nie ma córek. Cóż, Sylwia Góra zabrała się do pisania tej biografii późno. To nie zarzut; zdążyła np. porozmawiać z przybranym synem Iwaszkiewicza Wiesławem Kępińskim, dziś byłoby i na to za późno. To, co najważniejsze, zawiera się zresztą głównie w dokumentach, bo najciekawsze części „W stronę Anny" dotyczą choroby psychicznej bohaterki dzieła. Skądinąd, przynajmniej od czasu wydania w 2000 r. książki Piotra Mitznera o małżeństwie Iwaszkiewiczów niebędącej tajemnicą. I tak zdaniem dr. Tadeusza Nasierowskiego, psychiatry, „ten konkretny stan, w którym była w 1935 roku w Tworkach, to była depresja psychotyczna. Może ona występować zarówno w przebiegu choroby afektywnej jednobiegunowej, kiedy obecne są tylko epizody depresyjne, jak i dwubiegunowej. Nie mamy takiego rozpoznania, bo nie ma na to jednoznacznych dowodów, co jednak nie znaczy, że tak nie mogło być". Aha, aha.

Jest faktem, że w 1935 r. choroba Anny znalazła się w fazie wymagającej natychmiastowej interwencji medycznej. Chorą umieszczono w Batowicach koło Krakowa, gdzie poddano – na wniosek lekarzy – aborcji. Po sześciu tygodniach przeniesiono ją do zakładu w Tworkach, gdzie leczył ją znany i ceniony psychiatra Jan Gallus. Może też należy choć wspomnieć, że w tym czasie została Anna Iwaszkiewicz ubezwłasnowolniona. A w końcu życia uważała, że opętał ją diabeł. W „Dziennikach" we wrześniu 1955 r. Jarosław Iwaszkiewicz zapisze: „To wielomiesięczne wyciąganie jej za rękę z potwornej przepaści, gdzie samo przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu było już męką, to wyprowadzanie Eurydyki z piekieł i jej bezustanne oglądanie się, lubowanie się jej w przepaści szaleństwa – to wydaje mi się koszmarnym snem, czymś niewyobrażalnym, że było naprawdę".

Niewątpliwie Jarosław użalał się nad sobą, niemniej przeszedł wraz z chorą żoną przez piekło. Faktem jest też, że – niezależnie od oceny jego życia – stworzył arcydzieła XX-wiecznej literatury polskiej, cudowne opowiadania jak „Panny z Wilka", znakomite wiersze z „Lata 1932" czy „Mapy pogody", a i niewolną od mankamentów, ale porywającą swoim rozmachem epicką „Sławę i chwałę". Anna Iwaszkiewicz, o które zasługi literackie upomina się teraz Sylwia Góra, w końcu życia wydała uroczą książeczkę „Nasze zwierzęta", napisała kilka artykułów, co nieco przetłumaczyła, włącznie z fragmentami „W poszukiwaniu straconego czasu" Prousta, jednak odmówiła propozycji dokonania przekładu siódmego tomu tego dzieła, czego nie zdążył zrobić Tadeusz Boy-Żeleński. Nie wierzyła w swoje siły i możliwości – wyrokuje autorka „W stronę Anny", a to dlatego, że wiarę tę nadwątliły w niej lektury takich książek jak „Płeć i charakter" Ottona Weiningera.

Wniosek? Gdyby nie czytała takich mizoginów jak Weininger czy Wilde, mielibyśmy pisarkę, że ho, ho… Możliwe. Tak się jednak nie stało. Anna Iwaszkiewicz zmarła 23 grudnia 1979 r., Jarosław 2 marca 1980 r. Nie potrafił żyć bez niej. Niezwykły to był związek. I tylko to wiemy na pewno. ©℗

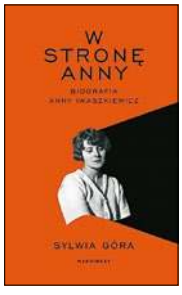

★★★☆☆☆
SYLWIA GÓRA „W STRONĘ ANNY. BIOGRAFIA ANNY IWASZKIEWICZ"
MARGINESY, WARSZAWA 2025

eprasa.pl 5f87de27ee

PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Genialny outsider

Dopiero co rekomendowałem czytelnikom „Do Rzeczy" jego pasjonującą autobiografię „Outsider", a już przyszedł czas się żegnać. Zmarł Frederick Forsyth, a wraz z nim umarła epoka. Za czasów Forsytha być pisarzem znaczyło wiedzieć więcej oraz być głęboko nieufnym wobec dominujących narracji. Dziś rozmaici autorzy ścigają się głównie, by dotrzymywać kroku modom. Kilka dni temu gościłem na zlocie autorów fantastyki w Waplewie. Na panelu poświęconym młodym pisarzom nikt nie zastanawiał się nad tym, po co i o czym warto pisać. Wszyscy rozmawiali jedynie o marketingowych strategiach i zasięgach w Internecie.

Forsyth pochodził z tej ostatniej generacji, która zdążyła jeszcze po prostu przeżyć to, o czym pisze. Podobną rolę w dziejach Hollywood odegrali tacy reżyserzy jak Howard Hawks, Frank Capra czy George Stevens: kręcili wielkie filmy, bo życie znali nie tylko z filmów innych reżyserów. Niestrudzenie podróżował właściwie przez całe życie, zbierając do swoich książek informacje z pierwszej ręki. Kilka lat temu, po premierze powieści „Fox", mówił mi przy okazji wywiadu (część rozmowy ukazała się w „Do Rzeczy" 28/2019), że zawiesza podróże i pisanie. „Zdrowie?" – dopytywałem? „Żona" – odpowiadał z uśmiechem. Ale to właśnie o zdrowie 81-letniego wówczas pisarza obawiała się małżonka.

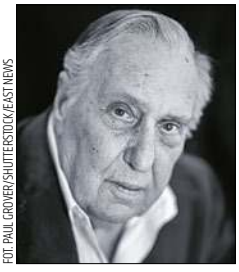

FOT. PAUL GROVER/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Pozostaną po nim znakomite książki, którymi utworzył właściwie nowy gatunek – fikcję sensacyjną, ale pisaną z tak dużą dbałością o szczegóły i tak wielkim prawdopodobieństwem, że zdaje się reportażem. „Dzień szakala" jest powieścią perfekcyjną. Nowela „Pasterz" weszła do kanonu brytyjskich opowieści świątecznych niczym „Opowieść wigilijna". „Słowo białego człowieka" jest wstrząsającym reportażem o rebelii Biafry i o tym, jak cynizm, kłamstwo i wąskie interesy polityków wygrywają z prawdą i walką o wolność. Tylko te trzy dzieła wystarczyłyby, aby uznać Forsytha za pisarza ważnego. A przecież pozostawił po sobie o wiele więcej.

Będziemy wracać do jego książek dopóty, dopóki będą istniały książki, gdyż są zbyt dobre, by o nich zapomnieć, mocno zmuszające do myślenia, a w dodatku – co rzadkość w dzisiejszym świecie – są to książki moralne. Forsyth wierzył, że istnieją dobro i zło i że trzeba opowiadać się po stronie tego pierwszego. Będziemy też wspominać jego niezwykłe życie, które tak barwnie opisuje w książce „Outsider". ©℗

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kurs filozofii tomistycznej w dwóch tomach: „Historia filozofii nowożytnej" i „Historia filozofii współczesnej". Odtrutka na bełkot z uczelni przejętych przez lewicę. Autor był wykładowcą Instytutu Katolickiego w Paryżu.

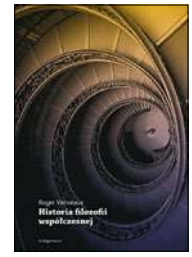

KS. ROGER VERNEAUX „HISTORIA FILOZOFII WSPÓŁCZESNEJ"

Piąta wizyta w kameralnym uniwersum znanym z powieści „Mam na imię Lucy". Wnikliwa proza obyczajowa, w której centrum są historie ludzi, którym nie przydarza się nic ciekawego – czyli przydarza się wszystko.

ELIZABETH STROUT „OPOWIEDZ MI WSZYSTKO" WIELKA LITERA

Debiutancka, autobiograficzna powieść jednego z ważniejszych pisarzy afroamerykańskich. Świadectwo lat 30. XX w. w Harlemie, wiarygodna opowieść o dorastaniu, intrygujący portret duchowości czarnej mniejszości.

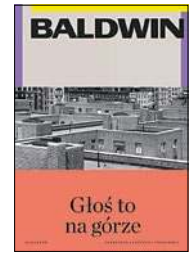

JAMES BALDWIN „GŁOŚ TO NA GÓRZE" KARAKTER

Cztery krótkie powieści mistrza fantastyki. Pierwsze dwie najciekawsze: „Nieśmiertelny" ukazuje Ziemię jako park archeologiczny w odległej przyszłości, „Istoty światła i mroku" to fantasy oparta na mitologii indyjskiej.

recenzuje Piotr Gociek

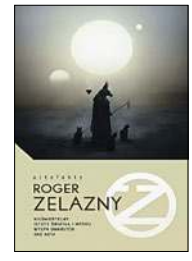

ROGER ZELAZNY „NIEŚMIERTELNY" MAG

KOMIKS TYGODNIA: BAŚŃ OKRUTNA

Nie tyle komiks, ile opowieść malowana zachwycającymi obrazami. Skromny tekst obok ilustracji to łamigłówka, z której trzeba ułożyć obraz przyszłości, w której wirtualna rzeczywistość zniszczyła tkankę społeczną i spustoszyła ludzkie mózgi. Na podstawie albumu powstał film Netflixa „The Electric State". Omijajcie go z daleka, czytajcie za to graficzną opowieść.

Piotr Gociek

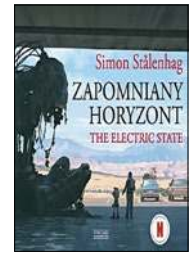

SIMON STÅLENHAG „ZAPOMNIANY HORYZONT. THE ELECTRIC STATE" ZYSK I S-KA 2025

eprasa.pl 5f87de27ee

Wielka Polska Nawrockiego

Rafał A. Ziemkiewicz

Do znudzenia powtarzają wszyscy, że „trzeba skończyć z duopolem PO-PiS" albo że „szczęśliwie PO-PiS wreszcie się kończy". To chybione podejście. Tym, czego Polska w istocie potrzebuje, jest właśnie odbudowa PO-PiS – tego sprzed roku 2005. Z Konfederacją zamiast do cna już dziś zepsutej i zdegenerowanej PO oraz nieco „poprawionym" PiS

Ujmując to sławną metaforą z „Wesela" Wyspiańskiego, Polacy po raz kolejny dostali złoty róg. Tym razem trzyma go Karol Nawrocki, którego wynik wyborów czyni naturalnym przywódcą szerokiego obozu partii opozycyjnych wobec rządów Donalda Tuska. Ale odpowiedzialność za to, by tym razem okazja do wielkiej zmiany nie została zaprzepaszczona, jak stało się to po roku 2005, spoczywa nie tylko na nim, lecz także na partiach obóz ten tworzących: Prawie i Sprawiedliwości, Konfederacji, w mniejszym stopniu na Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna, a także na partii Razem Adriana Zandberga, która, o ile zachowa odmienność od lewicy postkomunistycznej i „tęczowej", o tyle prawdopodobnie je zastąpi.

Co powinni zrobić?

NOWA POLARYZACJA

Zacznijmy od tego, że wybory pokazały, jak zmieniło się polskie społeczeństwo. Polaryzacja „tożsamościowa", która określiła los kraju po roku 2005 („Europejczycy" vs. „patrioci"), wygasa, nabiera siły polaryzacja nowa: „dół" vs. „góra". Jest to tendencja światowa, której nie zatrzyma żaden krzyk o „populizmie" i „zagrożeniu demokracji": społeczne „doły" wymawiają posłuszeństwo zasiedziałym, liberalno-lewicowym elitom.

Z dwóch prostych powodów. Po pierwsze – te elity „nie dowożą". Sprowadziły na społeczeństwa Zachodu wiele kryzysów (na czele z migracyjnym) i żadnego nie potrafią rozwiązać, skupiają się na celach wyznaczanych przez ideologię (klimat, inkluzywność), a nie na tym, co jest istotne dla obywateli, przez co ci tracą poczucie bezpieczeństwa i wiarę, że ktokolwiek „ogarnia", do czego świat idzie.

Po drugie – elity „demokracji liberalnej" zablokowały masom drogi awansu, zastrzegając go tylko dla spokrewnionych i zaprzyjaźnionych (to problem szczególnie u nas ważny). Zatrzymanie „krążenia elit" zawsze prowadzi do tego samego skutku: na dole zbierają się gniew i frustracja zdolnych, energicznych ludzi, którzy nie mogą zrobić karier na miarę swych marzeń, a góra kostnieje i głupieje. Klasa panująca „demokracji liberalnej" jest już tak niskiej jakości, że nie umie nie tylko rozwiązywać proble-

eprasa.pl 5f87de27ee

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

mów swych poddanych, lecz także nawet zaproponować im w wyborach lepszych kandydatów niż Kamala Harris czy Rafał Trzaskowski. Nie ma też własnej opowieści dla wyborców – jedynym jej przekazem stało się zohydzanie przeciwników i straszenie „zagrożeniem dla demokracji". Czasem towarzyszą temu próby przechwycenia „populistycznych" haseł: w Niemczech Merz obiecuje realizację antyimigranckich postulatów AfD, nie przestając piętnować jej jako partii „faszystowskiej", w Polsce Tusk i Trzaskowski chowają flagi tęczowe oraz europejskie i przebierają się za „patriotów", nie rezygnując z epatowania swą wyższością „oświeconych europejczyków", z natury górujących nad „polskim zaściankiem".

Polski przypadek jest o tyle szczególny, że przez 35 lat, od „wojny na górze", cała walka polityczna zdominowana była tu przez walkę o szacunek (opisywałem tę wojnę o „czapkowanie" już tyle razy, że dla zwięzłości pominę to, co czytelnicy „Do Rzeczy" doskonale już wiedzą). Rok 2015 był przełomem, bo w PiS zobaczyli swą reprezentację nie tylko przedstawiciele patriotycznej kontrelity, kontestującej wyższościowy dyskurs liberalno-lewicowego salonu z pozycji patriotyzmu (w sensie, który nadał temu słowu polski romantyzm), lecz także poruszający się w tym samym paradygmacie. Zobaczyli ją również ludzie pozbawiani w tym dyskursie godności, ci, którzy zdaniem establishmentu „nie poradzili sobie w transformacji", „starsi, niewykształceni i ze wsi". PiS nie zrozumiał wtedy przyczyn własnego sukcesu, nie przedstawił tym „nietożsamościowym" wyborcom atrakcyjnej, długofalowej oferty, uznał, że wystarczającym sposobem trwałego przywiązania ich do siebie jest rozdawanie im gotówki. PO też nic nie zrozumiała, uznała całą sytuację za swoistą „cafkę" na jedynej i nieuchronnej drodze modernizacji – incydent niepodważający przekonania klasy panującej, że całe społeczeństwo, a w każdym razie jego zdecydowana większość, podziwia swoje elity, słucha ich i naśladuje, więc po tej odosobnionej wpadce „opamięta się" i znowu zacznie głosować comme il faut, jak należy. Fakt, że siła imponowania elit, która niosła ich kolejne polityczne emanacje przed rokiem 2015, nieodwracalnie zanika, został ze świadomości tychże elit skutecznie wyparty.

eprasa.pl 5f87de27ee

Obie partie przegapiły nową, rosnącą siłę: tych, których zadawniony spór o wyższość zwyczajnie już nie interesuje. To oni odsunęli w 2023 r. od władzy PiS i wynieśli do znaczenia Trzecią Drogę, a gdy ta okazała się tylko „przystawką" Tuska, niczego niewnoszącą do coraz bardziej rytualnego tańca „Europejczyków" z „patriotami", zagłosowała na Mentzena, a w drugiej turze na Nawrockiego. To oni sprawili, że po 1 czerwca żyjemy już w innej Polsce niż przez ostatnie 35 lat. Łukasz Pawłowski, szef Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, nazwał ich „Latynosami platformy" przez analogię do USA, gdzie Partia Demokratyczna uważała Latynosów za swój elektorat, równie pewny i „niewyjęty", jak PO młodych, a ci dali zwycięstwo Trumpowi.

Kim są i czego oczekują ci polscy „Latynosi", nazywani też czasem w mediach, mocno na wyrost, „klasą średnią"? To oczywiście „pytanie za milion dolarów", ale sądzę, że znam na nie odpowiedź – choć naturalnie moja intuicja wymaga sprawdzenia.

NOWI LUDZIE

Pawłowski w ciekawym wywiadzie udzielonym Grzegorzowi Sroczyńskiemu zwraca uwagę na złamanie obietnicy, którą dały „klasie średniej" III RP i jej poczęta w willi Kiszczaka w Magdalence klasa panująca. Obietnicy: przenieś się do miasta, zrób studia, weź kredyt, ciężko pracuj na jego spłacenie, a odniesiesz sukces. Tymczasem okazało się, że po latach pracy w mieście, mimo dyplomu i starań, awans cię omija, bo dostaje go krewny prezesa albo fagas partyjnego układu. Zarówno w wielkich, jak i małych miastach, w administracji państwowej i samorządowej, w dużych koncernach czy mniejszych polskich firmach, zblatowanych z władzą różnych szczebli, sukces jest dobrem zastrzeżonym dla spokrewnionych, spowinowaconych i zaprzyjaźnionych. Pozostali muszą pozostać pod szklanym sufitem, chyba że znajdą protektora, który załatwi im dokooptowanie do nieformalnej nomenklatury III RP.

Zgadzam się całkowicie z tym opisem frustracji i buntu „Latynosów", zresztą wynika on z badań socjologicznych, nie z przeczuć. Taka jest logika państwa pomagdalenkowego, w którym odżył, mocą „pamięci materiału", wzorzec funkcjonowania niedobitego PRL. To, co tworzy „obóz demokratyczny", za każdym razem idzie w stronę „jakby-PRL", tylko bez ideologii „realnego socjalizmu" i deklarowanego w niej egalitaryzmu. Z PRL odtwarzana jest tu tylko struktura społeczna – z jedynie słuszną partią, monopolizującą dyskurs publiczny i medialny, z uzależnieniem wszystkich oraz wszystkiego od władzy, z gęstą tkanką nieformalnych „podwieszeń" i powiązań. W atmosferze „przywracania demokracji", usprawiedliwiającego w oczach władzy i jej mediów każde nadużycie, całe to paskudztwo rozrosło się bardziej niż kiedykolwiek w ostatnim 35-leciu.

Oparcie sporu o Polskę na podziale tożsamościowym, czego uosobieniem stali się Tusk i Kaczyński, tak naprawdę uniemożliwiło wszelką racjonalną politykę

Oczywiste jest, że, jak zauważają co przytomniejsi komentatorzy, głosowanie „zablokowanych" na Mentzena, Brauna i Nawrockiego, a także na Zandberga było „pokazaniem środkowego palca" liberalno-lewicowym elitom, tyleż przemądrzałym, co nieudolnym i blokującym możliwości rozwoju. Ale sprowadzanie wszystkiego tylko do odruchu emocjonalnego byłoby moim zdaniem analogicznym błędem, jak po 2015 r. sprowadzenie znaczenia „500+" wyłącznie do kilku stówek w portfelu wyborcy – gdy w istocie program ten był symbolem oddania godności ludziom przez pomagdalenkowe elity III RP wykluczonym i piętnowanym jako „nieradzący sobie w transformacji", „roszczeniowi" i niezaradni, a więc niepotrzebni.

Chodziło w tym głosowaniu nie tylko o pokazanie elitom „czerwonej kartki", chodziło o tęsknotę za elitami nowymi. Takimi, które będą w stanie rozwiązać problemy obywateli. Nie wiedzą oni, jakie by to mogły być elity – ale wiedzą na pewno, że z jałowego sporu „wy jesteście zło, my dobro, nie, to my dobro, wy zło" nic dla nich nie wynika i wyniknąć nie może. Wiedzą to zresztą także ci, którzy wciąż kierują się emocjami generowanymi przez ten spór i zagryzają zęby, po raz kolejny głosując w końcu na „naszych" tylko po to, żeby nie wygrali „oni".

NOWA KONWERSACJA

Bohater mojego ulubionego serialu, geniusz reklamy Don Draper, mówił: „Jeśli nie podoba ci się to, co jest mówione – to zmień konwersację". Tego właśnie oczekuje rosnąca część Polaków: nowej debaty publicznej. Nie w kategoriach etyki i estetyki, nie o słuszności moralnej – jak nauczyli wszystkich Michnik i „wojna na górze" – ale o konkretach. O tym, jak zbudować CPK i jak podnieść z gruzów wymiar sprawiedliwości, jak uchronić się przed losem pustoszonego przez migrantów z Zachodu, jak nie dać się okraść i wyzyskać Unii Europejskiej, jak zyskać na wojnie na Wschodzie, zamiast ponosić koszty dla cudzych korzyści.

Rozmowa o konkretach jest wielką szansą. Z dwóch powodów.

Po pierwsze, oparcie sporu o Polskę na podziale tożsamościowym, czego uosobieniem stali się Tusk i Kaczyński, tak naprawdę wszelką racjonalną politykę uniemożliwiło. Spór o konkrety jest rozstrzygalny i prowadzi do kompromisu: ty chcesz wysokich podatków, ja niskich, zgódźmy się obaj na średnie. Natomiast spór o moralną słuszność może prowadzić tylko do jednego wniosku: ty musisz zniknąć (nie, to ty musisz zniknąć). Cała historia zmagań PiS z PO nacechowana była wiarą strony w danym momencie zwycięskiej, że przeciwnik już się nie podniesie, zniknie jak „skorupa plugawa" rozsadzona przez polską „lawę", „wymrze jak dinozaury". Ale ponieważ zarówno PO, jak i PiS wyrosły z realnych społecznych emocji generowanych przez realne tożsamościowe podziały, nie będąc w stanie ze sobą negocjować, nie były też w stanie się nawzajem zniszczyć. Były jak jelenie, które tak splotą się w walce porożami, że w końcu oba zdychają, nie rozstrzygnąwszy jej.

Po drugie, w kraju podzielonym wojną o imponderabilia, porozumienia szukać można nie, jak w stereotypie, „ponad podziałami", a wyłącznie – „pod podziałami". Myślę nie tylko o stopniowym uspokajaniu nastrojów „wojny polsko-polskiej", o czym wszyscy Polacy marzą, ale nie potrafią sobie wyobrazić, jakby

eprasa.pl 5f87de27ee

owo marzenie mogło się ziścić – lecz także o modelu współpracy pomiędzy PiS, Konfederacją, i być może, jeśli jej sukces okaże się trwały, Konfederacją Korony Polskiej.

Nie chodzi o to, żeby partie „obozu Nawrockiego" rzucały się sobie w ramiona ani żeby się jednoczyły. Niech się kłócą – byle o konkrety. I niech proponują konkrety. Język michnikowego moralizowania i mądrzenia się, przyrównywanie przeciwników do morderców Narutowicza czy podpalaczy stodoły w Jedwabnem pozostawmy Platformie i postkomunistycznej części lewicy. Oni zakleszczyli się w tamtej „konwersacji" i, jak udowodniły te wybory, wyjść poza nią nie są w stanie – i dobrze, niech stopniowo czezną wraz z nią. Natomiast obóz zwycięski musi się wchodzenia w język pojęciowy dotychczasowego sporu wystrzegać jak ognia. Dla Konfederacji oznaczałoby to wejście na ścieżkę Petru, Palikota czy Kukiza – nieuchronną marginalizację przy jednym z właścicieli starej konwersacji. Dla PiS – stopniowy uwiąd, równolegle z antagonistą. Dla prezydenta – utratę szans na inne, nowe przywództwo.

NOWA OPOWIEŚĆ

Polacy chcą rozwiązania ich problemów i dadzą władzę temu obozowi, który je rozwiąże – to oczywiste. Lista konkretnych „topics" jest znana z badań socjologicznych (nieodmiennie hierarchię spraw ważnych rozpoczynają służba zdrowia i pewność zatrudnienia, a zamykają aborcja, „rozliczenia" i związki partnerskie – zlekceważenie tych badań należy do głównych przyczyn klęski PO). Ale wszystkie one zbiegają się w jednym punkcie: naprawy państwa. Dopóty pozostaje ono „państwem z dykty", zarazem niesprawnym i wrogim obywatelowi, dopóki nie będzie ani lepszej służby zdrowia, ani sprawiedliwych sądów, ani innych oczekiwanych pożytków.

Od tego trzeba zacząć wszelkie działania, a zanim zacznie się działać – od tego trzeba zacząć opowieść. Żeby Polska przestała być „państwem z dykty", trzeba zmienić konstytucję. Prezydent Nawrocki musi rzucić takie właśnie hasło: reset państwa, reset konstytucyjny. Obóz, na którego czele naturalną koleją staje, musi wyznaczyć sobie właśnie taki cel w najbliższych wyborach: zdobycie większości konstytucyjnej. Jeśli już obecne sondaże dają łącznie PiS i Konfederacji 260 mandatów (IBRiS z 8 czerwca), to 45 dodatkowych i Senat są naprawdę w granicach możliwości.

Wymaga to od PiS i Konfederacji porzucenia pewnych złudzeń – i to właśnie musi im narzucić prezydent Nawrocki, jako lider obozu „resetu państwa". W wypadku PiS – złudzenia, że jest w stanie wrócić do samodzielnych rządów. Po pierwsze, nawet gdyby PiS znowu uzyskał samodzielną większość rządową, bez zmiany konstytucji nie wyniknie z tego nic więcej niż z ośmioletnich rządów 2015–2023. Po drugie, w chwili obecnej PiS nie jest w stanie przyciągnąć żadnego nowego wyborcy, a apele partyjnej „pierwszej brygady" do Jarosława Kaczyńskiego, żeby wbrew wszystkiemu nie rezygnował z prezesowania, pokazują, że się to w najbliższym czasie nie zmieni. PiS może utrzymać do wyborów parlamentarnych swój żelazny elektorat – to wszystko.

Konfederacja natomiast musi wyleczyć się z przekonania, że może odebrać tych wyborców PiS i zastąpić partię Kaczyńskiego jako wiodąca siła prawicy. Partia Bosaka i Mentzena obsługuje zupełnie inne emocje, elektorat dla niej, po skonsumowaniu do reszty Trzeciej Drogi, leży po stronie KO. PiS tego elektoratu nie pozyska, tak samo jak Konfederacja nie pozyska tożsamościowych wyborców PiS. Część obecnych wyborców obozu władzy zdobędzie zapewne partia Razem i na nią także Karol Nawrocki powinien być otwarty oraz starać się ją włączyć do konwersacji i nowej konstytucji – tak długo, jak długo będzie to lewica Pauliny Matysiak, a nie Czarzastych i Biedroniów.

NOWY PO-PIS

Idziemy do powtórki pamiętnego roku 2005, kiedy to, po szoku „afery Rywina", niemal 80 proc. głosów zdobyły partie głoszące konieczność odejścia od pomagdalenkowej PRL-bis. Pojęcie PO-PiS nabrało od tego czasu pejoratywnego wydźwięku, ale wówczas, kto pamięta, taka koalicja wydawała się oczywista. Rząd dwóch partii z jednego, solidarnościowego pnia, dążących do tego samego (pamiętajmy, że PO ówczesna miała się do obecnej tak, jak ówczesny lider LPR do dzisiejszego dyrygenta antyprawicowego hejtu), ale reprezentujących dwie odmienne wrażliwości. Jedna tradycjonalistyczna, kultywująca patriotyzm w romantycznym stylu i „wrażliwość społeczną", druga skupiona bardziej na „ciepłej wodzie w kranie", liberalna i kierująca się do wyborców politycznie indyferentnych.

Szansa przepadła. Zadecydowała o tym małość zaangażowanych wtedy w sprawę polityków, a szczególnie zdrada Donalda Tuska, który – wyeliminowawszy mniej lub bardziej po gangstersku pozostałych liderów PO – szybko doszedł do wniosku, że jego osobistej karierze bardziej niż zwalczanie „układu" posłuży zblatowanie się z nim i rozpętanie totalnej wojny przeciwko Kaczyńskim oraz „polskiemu zaściankowi". Teraz, zamiast mówić o końcu PO-PiS, czas mówić o powrocie tej idei. Oczywiście nie ze zdegenerowaną i schyłkową, jak SLD po Rywinie, PO Tuska czy jej „przystawkami". Tę konstrukcję trzeba odtworzyć z Konfederacją, która nie powinna się starać być „lepszym PiS", tylko „lepszą PO" – i z PiS, który albo zdoła się wyrwać ze skostnienia, albo sam skaże się na bycie w przyszłej koalicji partnerem coraz bardziej słabnącym. I z otwarciem na partie Brauna i Zandberga, jeśli zechcą one do obozu „resetu konstytucyjnego" przystąpić i wziąć aktywny udział w jego przygotowywaniu, tak by wyborcy, głosujący za nową konstytucją wiedzieli, dążenie do jakich konkretnych zmian mogą wesprzeć.

Jedno jest dla mnie pewne: nowa konstytucja powinna iść zdecydowanie w stronę systemu prezydenckiego, na wzór amerykański

Szczegóły wymagają więcej miejsca, ale jedno jest dla mnie pewne: nowa konstytucja powinna iść zdecydowanie w stronę systemu prezydenckiego, na wzór amerykański – władza wykonawcza w ręce prezydenta, władza ustawodawcza wyłącznie dla parlamentu. Karol Nawrocki ma potencjał, by w obecnych warunkach z istniejącego politycznego materiału zbudować taki obóz i poprowadzić go do sukcesu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

Wystąpić z Unii czy ją zlikwidować?

Jarosław Lindenberg

Coraz więcej obywateli państw europejskich chce się czuć gospodarzami we własnym kraju, a przy tym mają oni dosyć lewackich szaleństw i eksperymentów na żywym organizmie społecznym oraz nieustannego prania mózgów w imię ideologicznej poprawności

Gdyby zdecydowana większość głosujących, która w czerwcu 2003 r. poparła w referendum członkostwo Polski w Unii Europejskiej, wiedziała, w jakie monstrum ta organizacja przekształci się w ciągu najbliższych dekad, zapewne wynik tego głosowania byłby inny. Nie chodzi jednak o to, że zbyt mało Polaków miało wówczas ducha prorockiego. Dla większości z nas członkostwo w UE oznaczało symboliczny powrót Polski do Europy – w rozumieniu historycznie ukształtowanej wspólnoty cywilizacyjnej, od której zostaliśmy brutalnie oddzieleni żelazną kurtyną w latach 1944–1945. Unia, którą po prostu utożsamialiśmy z Zachodem (czy z Europą właśnie), była wcieleniem tego, o czym marzyliśmy w systemie komunistycznym: wolności obywatelskiej, narodowej, kulturowej i gospodarczej. Ta ostatnia miała oznaczać szybki rozwój społeczny, prowadzący nas do wyśnionej krainy zachodniego dobrobytu. Liczyliśmy przy tym na dopływ ogromnych środków z funduszy pomocowych oraz nowych technologii, żeby jak najszybciej nadrobić dystans spowodowany dziesięcioleciami obowiązywania „gospodarki planowej". A wisienką na torcie miały być otwarte granice i swoboda przemieszczania się – także w poszukiwaniu dobrze płatnej pracy. W dodatku unijni politycy wydawali nam się elitą elit i klubem europejskich dżentelmenów (chociaż w istocie bardziej pasowałoby tu określenie „klub gangsterów", tylko że elegancko ubranych i z dobrymi manierami).

WSZYSTKO NA ODWRÓT

Po ponad 20 latach od tamtych wydarzeń jesteśmy w sytuacji pewnego rycerza z baśni, który miał zabić smoka i ożenić się z księżniczką. Zadanie wykonał, ale po latach małżeństwa zaczął podejrzewać, że chyba się pomylił i wszystko zrobił na odwrót. Wyraźnie widać, że to, o czym marzyliśmy, stopniowo się zmienia (albo już się zmieniło) w swoje przeciwieństwo lub karykaturę. Wolny rynek w Unii istnieje tylko w teorii, gdyż poziom regulacji narzucony przez Brukselę spowodował, że praktycznie cała gospodarka unijna jest już niekonkurencyjna – przynajmniej w odniesieniu do takich potęg jak USA czy Chiny. Największe szkody wyrządza Europejski Zielony Ład, którego trzonem jest pakiet legislacyjny pod nazwą „Fit for 55", oparty na ideologii (czy może bardziej: religii) wojującego klimatyzmu. Zakaz produkcji kotłów gazowych po roku 2040, podobnie jak zakaz produkcji samochodów spalinowych od roku 2030, to najlepsze przykłady absurdalnych i wyjątkowo szkodliwych regulacji wprowadzonych przez Unię Europejską, których skutki już zaczynamy odczuwać. Nałożone przez UE specjalne podatki (ETS) na produkcję energii ze źródeł konwencjonalnych, na transport lotniczy i morski, a wkrótce także na transport drogowy i budownictwo zniszczą konkurencyjność tych sektorów i doprowadzą obywateli do ubóstwa (już w 2022 r. 60 proc. ceny energii elektrycznej w Polsce stanowił koszt ETS i ten udział stale wzrasta). Dodajmy, że w ubiegłym roku Parlament Europejski przyjął tzw. Dyrektywę budynkową (EPBD), która narzuca m.in. obowiązek przeprowadzenia kosztownej termomodernizacji już istniejących budynków – zarówno publicznych, jak i prywatnych – oraz stopniową likwidację

eprasa.pl 5f87de27ee

FOT. ADOBE STOCK

ogrzewania opartego na paliwach kopalnych, czyli też gazowego (uznawanego dotąd za czyste i nieszkodliwe dla środowiska). Również rolnictwo ma być objęte Zielonym Ładem, co oznacza, że w imię „ochrony środowiska" i „bioróżnorodności" zostanie ograniczona dotychczasowa produkcja rolna, a zwłaszcza hodowla, a rosnące szybko ceny żywności uzależnią Europę od importu tańszych produktów rolnych z innych kontynentów. Podpisana przez Ursulę von der Leyen w grudniu 2024 r. umowa UE ze Wspólnym Rynkiem Południa (Mercosur), gdy wejdzie w życie, dodatkowo przyspieszy niszczenie całych sektorów europejskiego rolnictwa i przemysłu spożywczego. W perspektywie czekają nas nieuchronna stagnacja gospodarcza (vide: gospodarka niemiecka), postępujące zubożenie większości obywateli, rosnące bezrobocie, niedobór energii i żywności.

Z wolnością obywatelską, naukową i kulturową sytuacja wygląda podobnie. Od lat w UE postępuje ekspansja agresywnych lewicowych, neomarksistowskich ideologii (spod znaku „przebudzenia", czyli „woke"). Ich celem jest zniszczenie istniejącej cywilizacji europejskiej opartej na greckiej filozofii racjonalistycznej, rzymskiej koncepcji prawa oraz na etyce i aksjologii chrześcijańskiej, a następnie zbudowanie na jej gruzach Nowego Wspaniałego Świata. Te głęboko destrukcyjne zmiany dotykają podstaw życia społecznego, zwłaszcza jeśli chodzi o tradycyjny model rodziny, zdrowie (psychiczne i moralne) młodego pokolenia oraz nienaruszalność życia ludzkiego (aborcja i eutanazja). Ideologie te dominują w polityce, na uczelniach i w mediach publicznych, korzystają ze szczególnej ochrony prawnej, która pod pozorem walki z „mową nienawiści" lub „walki z dezinformacją" próbuje wyeliminować jakiekolwiek poglądy przeciwne, narzucając wszechogarniającą cenzurę. Komisja Europejska i Parlament Europejski już od końca 2021 r. pracują nad wprowadzeniem przepisów, które uznają „mowę nienawiści" za przestępstwo europejskie (takie jak np. terroryzm). W ramach „walki z dezinformacją" od 2022 r. obowiązuje w UE tzw. Akt o usługach cyfrowych (DSA), który ma zapewnić regulację (czytaj: kontrolę) rynków internetowych i platform oraz sieci społecznościowych. Twórczym rozwinięciem tego rozporządzenia jest przygotowana przez KE i PE tzw. Europejska tarcza demokracji, która ma chronić „europejską demokrację" poprzez ustanowienie cenzury prewencyjnej w Internecie. W wielu krajach UE (a zapewne niedługo i u nas) za publiczne wygłaszanie zdań typu: „Istnieją tylko dwie płcie" lub: „Małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny" można stracić pracę lub nawet trafić do więzienia.

„STRATEGIA SALAMI"

Unia odbiera nam wolność gospodarczą i indywidualną nie jednorazowym aktem, bo to wzbudziłoby masowe i gwałtowne protesty, lecz stopniowo, po kawałku, realizując konsekwentnie politykę, którą przywódca węgierskich komunistów po drugiej wojnie światowej, Mátyás Rákosi, nazwał „strategią salami", a którą można też nazwać sposobem gotowania żaby. Podobnie wygląda odbieranie suwerenności narodowej. Wszystkie zmiany traktatów, od czasów traktatów rzymskich (1957) aż do traktatu lizbońskiego (2007), prowadziły w jednym kierunku, który nazywa się „federalizacja Europy". Jest to realizacja idei włoskiego komunisty Altiera Spinellego, którą wyraził w „Manifeście z Ventotene" (1941), zakładającym połączenie państw narodowych w jeden wielki, socjalistyczny organizm nazwany przez niego „Federacją Europejską" lub „Stanami Zjednoczonymi Europy". Nad tym projektem Spinelli pracował przez długie lata, głównie jako poseł do Parlamentu Europejskiego. To on wymyślił, by Wspólnoty przekształcić w Unię Europejską, co PE zaakceptował już w 1984 r. Wprawdzie kolejne postulaty Spinellego – utworzenie wspólnego rządu europejskiego i jednej armii europejskiej – nie zostały jeszcze zrealizowane, ale powoli idziemy w tym kierunku. Nad dalszym postępem federalizacji europejskiej czuwa w PE tzw. Grupa Spinellego utworzona w 2010 r. z inicjatywy znanego przyjaciela Polski i obrońcy praworządności, Guya Verhofstadta. W rezultacie tych prac w listopadzie 2023 r. Parlament Europejski uchwalił rezolucję uruchamiającą procedurę zmiany traktatów. Przyjęcie nowych zmian oznaczać będzie nie tylko dalsze ograniczenie zasady jednomyślności przy podejmowaniu decyzji przez Radę Europejską, lecz także odebranie suwerenności państw członkowskich w takich dziedzinach jak polityka zagraniczna, obronność, ochrona granic, zdrowie, edukacja, prawo rodzinne, a także gospodarka. Dodajmy, że głównym promotorem tych reform traktatowych był kanclerz Olaf Scholz, a ich założenia opracowała latem 2023 r. niemiecko-francuska grupa „ekspertów".

Do stopniowej likwidacji państw narodowych Unia Europejska zmierza także poprzez swoją politykę migracyjną, której szczególnym przykładem było otwarcie przez kanclerz Angelę Merkel granic „dla wszystkich chętnych" w 2015 r. Od tego czasu do UE przybyło blisko 3 mln nielegalnych imigrantów, zwanych w Unii oficjalnie „uchodźcami" lub „nieprawidłowymi migrantami" („irregular migrants"). Polityka ściągania imigrantów – z Afryki, Azji i Bliskiego Wschodu – trwa jednak w UE od dekad i oczywiście nie chodzi wcale o wypełnienie dziury demograficznej na rynku pracy, bo imigranci z wyżej wymienionych obszarów są wielkim obciążeniem dla systemów socjalnych państw europejskich, a nie źródłem ich wzrostu gospodarczego. Za tą polityką stoi lewicowa ideologia multikulturalizmu,

eprasa.pl 5f87de27ee

zakładająca, że cała zachodnia cywilizacja jest zdegenerowana (w domyśle: z powodu chrześcijańskich korzeni), skostniała i oparta na szkodliwym przekonaniu o wyższości białej rasy. Trzeba ją więc odrodzić, odcinając się od tych korzeni i od całej tradycji, a także dokładnie wymieszać stare narody z przybyszami z zupełnie odmiennych kręgów kulturowych w celu „wzbogacenia" Europy o ich zwyczaje, prawa i systemy wartości. Efekty tej polityki są już od dawna widoczne w wielkich miastach Zachodu, a niedługo zobaczymy je też w Polsce, gdy zacznie obowiązywać unijny pakt migracyjny.

TRZY MOŻLIWOŚCI DZIAŁANIA

Co więc możemy zrobić, by się obronić, zanim unijny walec ostatecznie nas rozjedzie? Przede wszystkim nie należy załamywać rąk, tylko działać. Możliwości takiego działania widzę trzy i zacznę – jak w konkursie piękności – od tego wariantu, który uważam za najmniej godny rekomendacji.

Po pierwsze: opuszczenie Unii, czyli polexit. To rozwiązanie, nawet gdyby udało się do jego słuszności przekonać większość Polaków (i uzyskać poparcie w referendum), wymagałoby zawarcia z UE umowy o wystąpieniu – zgodnie z art. 50 Traktatu o Unii Europejskiej. Umowa, określająca warunki wystąpienia i regulująca przyszłe relacje z UE, musiałaby zostać zatwierdzona przez Radę Europejską większością kwalifikowaną i po uzyskaniu zgody PE. W przypadku Wielkiej Brytanii negocjacje takiej umowy trwały długo, bo od 17 czerwca 2017 r. do 17 października 2019 r. Jednak dopiero po wyjściu Zjednoczonego Królestwa z Unii przez cały rok 2020 – w tzw. okresie przejściowym – negocjowano umowę o handlu i współpracy. Negocjacje obu tych umów były nie tylko mozolne, lecz także trudne, a przecież Wielka Brytania jest krajem większym i znacznie silniejszym gospodarczo od Polski. Można sobie więc wyobrazić, że w przypadku polexitu UE będzie starała się narzucić nam jak najbardziej niekorzystne warunki wyjścia choćby po to, by nas ukarać za „nieposłuszeństwo" i zniechęcić innych do podążania tą samą drogą. Konsekwencje gospodarcze wyjścia z UE byłyby też zapewne przez pierwsze lata dla nas niekorzystne, chociaż dokładny rachunek strat i zysków zmieniałby się z czasem w zależności od tego, jak szybko stalibyśmy się płatnikiem netto w Unii i jak szybko nasza gospodarka (i każdy obywatel) zaczęłaby odczuwać efekty absurdów regulacyjno-ekologiczno-klimatycznych unijnych ideologów.

W przypadku polexitu UE starałaby się narzucić nam jak najbardziej niekorzystne warunki wyjścia

Po drugie: głęboka reforma traktatów, poparta przez większość państw członkowskich. Reforma taka musiałaby oznaczać kierunek przeciwny do tego, w którym Unia zmierza, co najmniej od czasów traktatu z Maastricht. Taka reforma polegałaby m.in. na poważnym ograniczeniu kompetencji organów niedemokratycznych, czyli Komisji Europejskiej i TSUE, przywróceniu zasady jednomyślności w Radzie Europejskiej (głosowanie większością kwalifikowaną byłoby wyjątkiem, a nie regułą), wyraźnym uznaniu w traktatach prymatu konstytucji państw członkowskich nad prawem unijnym, wzmocnieniu zasady pomocniczości UE wobec państw członkowskich, ograniczeniu obszarów kompetencji dzielonych na rzecz kompetencji narodowych oraz likwidacji zbędnych, szkodliwych lub ideologicznie motywowanych regulacji gospodarczych. Warunkiem realizacji tego scenariusza byłoby stworzenie „masy krytycznej" państw, które chciałyby takie reformy przeprowadzić.

Po trzecie: „wariant zerowy" lub radykalny, polegający na rozwiązaniu Unii Europejskiej i przekształceniu jej w swobodną organizację współpracy gospodarczej, naukowej i technologicznej. Podstawą działania nowej organizacji powinna być zasada jednolitego rynku ze swobodą (choć dopuszczającą uzasadnione wyjątki) przepływu towarów, usług, osób i kapitału, ale z całkowitą suwerennością banków narodowych państw członkowskich (tj. bez wspólnej waluty). Nowa organizacja nie powinna posiadać osobowości prawnej ani żadnych symboli quasi-państwowych (jak hymn czy flaga), nie mogłaby też prowadzić polityki zagranicznej ani ingerować w wewnętrzne sprawy swoich członków. Państwa członkowskie same powinny określać, z kim, w jakich obszarach i w jakim zakresie będą współpracować, a wszystkie wspólne decyzje powinny być podejmowane jednomyślnie przez szefów państw/rządów.

Ten ostatni wariant opiera się na założeniu, że UE, jak wszystkie zrealizowane ideologiczne projekty lewicowe od czasów Karola Marksa, jest niereformowalna i musi nieuchronnie dążyć do przejęcia całkowitej kontroli nad gospodarką, życiem społecznym i politycznym oraz suwerennością państw członkowskich, a także nad umysłami ich obywateli. A zatem trzeba ją zlikwidować, zanim ona ostatecznie zniszczy Europę, przekształcając ją w Związek Socjalistycznych Republik Europejskich (lub w IV Rzeszę Europejską). Dlatego zamiast lewicowej utopii przyjmujemy jako punkt wyjścia empiryczny fakt, że historycznie ukształtowane państwa narodowe w Europie nie tylko różnią się pod względem tradycji, kultury i zwyczajów, lecz także mają różne interesy. Celem nowej organizacji powinno być zatem zapewnienie współpracy tam, gdzie interesy te są zbieżne, i łagodzenie napięć oraz poszukiwanie kompromisów tam, gdzie są one przeciwstawne. Jednak to nie dobro nowej organizacji powinno być celem nadrzędnym, lecz dobro suwerennych państw i ich obywateli.

Czy do takiego pomysłu da się przekonać większość Europejczyków? Jeśli nie spróbujemy, to nie będziemy wiedzieli. Widzimy przecież, że coraz więcej obywateli państw europejskich chce czuć się gospodarzami we własnym kraju, a przy tym mają oni dosyć lewackich szaleństw i eksperymentów na żywym organizmie społecznym oraz nieustannego prania mózgów w imię ideologicznej poprawności. Przed partiami prawicowymi, konserwatywnymi, patriotycznymi stoją obecnie ogromne wyzwania i potrzeba współpracy dla osiągnięcia wspólnego celu. Nie będzie łatwo, ale jeśli udało się już w USA, to może udać się też w Europie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem filozofii. W latach 1980–1990 był nauczycielem akademickim, a w latach 1990–2023 pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, głównie na stanowiskach kierowniczych. Sprawował funkcję ambasadora RP na Łotwie, w Bułgarii oraz w Bośni i Hercegowinie. Zakończył karierę zawodową w randze podsekretarza stanu.

eprasa.pl 5f87de27ee

Z Bjørnem Lomborgiem, duńskim politologiem i ekonomistą, krytykiem polityk klimatycznych
rozmawia Łukasz Warzecha

Fałszywy alarm klimatyczny

ŁUKASZ WARZECHA: Pana książka „Fałszywy alarm" jest w Polsce często przywoływana w dyskusjach o polityce klimatycznej. Czym jest tytułowy alarm i dlaczego jest fałszywy?

BJØRN LOMBORG: Globalne ocieplenie ma miejsce, powoduje je człowiek, powinniśmy się tym zajmować. Zatem nie to jest fałszywe. Fałszywe jest mniemanie, że to koniec świata, jak twierdzi wiele osób na Zachodzie. Niedawny sondaż OECD pokazał, że 60 proc. ludzi w bogatej części globu uważa, że niezajmowanie się globalnym ociepleniem doprowadzi do końca rodzaju ludzkiego. Tylko że takiej tezy nie znajdziemy w liczących 4 tys. stron raportach Międzyrządowego Panelu do spraw Zmian Klimatu (IPCC). Przeczytamy tam, że, owszem, jest problem, ale nie nadchodzi armagedon. To zasadnicza różnica, bo jeśli uważamy, że dany problem może doprowadzić do końca świata, to będziemy gotowi zrobić absolutnie wszystko i wydać każde pieniądze na jego rozwiązanie. Jeśli natomiast jest to jeden problem z wielu, to, owszem, należy go rozwiązać, ale w przemyślany i rozsądny sposób. A przecież na świecie jest wiele innych wyzwań – o tym jest moja nowa książka: „Naprawa świata w 12 krokach". Jeżeli skupimy się wyłącznie na klimacie, to stworzymy złą politykę klimatyczną, a na dodatek stracimy z oczu inne ważne zagadnienia. Wydamy dziesiątki czy nawet setki bilionów dolarów na walkę o klimat, a na pozostałe kwestie nic nam już nie zostanie.

Jakie jest źródło alarmizmu klimatycznego?

Każde polityczne zagadnienie zawsze walczy o jak największą uwagę i skupienie się tylko na nim. To nie jest zaskakujące. Jeśli będziemy rozmawiać z nauczycielami, to usłyszymy, że szkoły są absolutnie najważniejsze i trzeba wydawać jak najwięcej na edukację. Lekarze powiedzą, że bezapelacyjnie kluczowa jest służba zdrowia itd. Każda grupa będzie opowiadać o tym, jak straszliwe rzeczy się wydarzą, jeżeli nie przeznaczy się na nią jak największych pieniędzy. Gdy słyszymy takie rzeczy od przedstawicieli danego środowiska, wiemy, że pewnie jest w tym trochę racji, ale wiemy też, że jest w tym dużo przesady. Jesteśmy uodpornieni. Z klimatem jest inaczej, bo to problem w pewien sposób odległy. Nie ma tu bezpośredniego, oczywistego beneficjenta. Wiele osób nie rozumie nawet, czym jest klimat i że aby wychwycić jego zmiany, trzeba patrzeć w perspektywie dekad. Media, jak wiadomo, żyją ze złych wiadomości. Jak jest krew, to się sprzedaje. Z tego wynika, że właściwie każda katastrofa naturalna na świecie jest przedstawiana jako dowód na zmianę klimatyczną. Oczywiście w niektórych przypadkach jest w tym pewna racja. Ale nie każdy huragan może być dowodem na zmianę klimatu, przecież huragany były zawsze.

W przypadku grup interesu zwykle możemy łatwo zidentyfikować je same i ich interes. Ale niekoniecznie tak jest w przypadku alarmistów klimatycznych. Kto ich napędza?

W ogromnej mierze to kwestia mediów i ich skłonności do pokazywania złych wiadomości. Przypomnijmy sobie, jakie zagadnienia i problemy były w agendzie dawniej, w latach 70. Martwiliśmy się m.in. o to, że nie będzie dość jedzenia dla wszystkich, dość zasobów naturalnych, że będzie za dużo ludzi na świecie. Dzisiaj widać, że te obawy były potężnie przesadzone. Mamy raczej problem ze zbyt niskim przyrostem naturalnym, nie kończą nam się zasoby naturalne. Już wtedy można było dostrzec, że to wcale nie są problemy prowadzące do końca świata. Zatem obecnie należy się starać powstrzymać kampanię strachu.

Małą Szwedkę z warkoczykami, dzisiaj trochę zapomnianą, wiele osób – w tym ja – uznawało za projekt PR-owski. Podobnie można by podejść do ekscesów różnych emanacji Ostatniego Pokolenia. Podejrzewa pan, czyim oni mogą być projektem?

Nie mam pojęcia. Ale muszę przyznać, że Greta Thunberg w jakimś sensie mi zaimponowała. Miała odwagę powiedzieć głośno coś, co powinno było paść: politycy lamentują, że nadchodzi koniec świata, po czym nic z tym nie robią. To się nie skleja. Prawda jest bowiem taka, że to nie jest żaden koniec świata i dlatego nie robią zbyt wiele. Oczywiście znam teorie, że Thunberg ukształtowano specjalnie w określony sposób, żeby jej przekaz należycie wybrzmiał. Ale problemem jest przede wszystkim to, że wciąż opowiada się nam, że nadchodzi koniec świata. W „Fałszywym alarmie" jest wykres, który najlepiej ilustruje ten paradoks, pokazujący liczbę ofiar katastrof powiązanych z klimatem na przestrzeni lat. Można by sobie wyobrażać, że ta liczba radykalnie ostatnio rośnie – ale nic takiego nie ma miejsca! Jest wręcz przeciwnie: ta liczba radykalnie spadła – o 98 proc.! Sto lat temu było to 500 tys. osób rocznie, dzisiaj – 10 tys. osób. To oczywiście nadal problem, ale o ileż mniejszy niż wiek temu. Zawdzięczamy to wzrostowi bogactwa, wiedzy i technologii. Dzięki temu jesteśmy odporniejsi. O tym jest

eprasa.pl 5f87de27ee

„Fałszywy alarm": rzeczy mają się coraz lepiej, może z powodu zmian klimatu tempo tej poprawy trochę spadło, ale ona nadal ma miejsce.

W swojej książce podkreśla pan, jak różne wnioski można wyciągnąć z całości raportów IPCC w porównaniu z przygotowywanym dla mediów i polityków krótkim ich podsumowaniem, często zawierającym alarmistyczne przesłanie. Przecież od polityków moglibyśmy jednak oczekiwać, że będą sobie zdawać sprawę z tej rozbieżności. Co nimi w takim razie kieruje?

Proszę spojrzeć na Ala Gore'a. Zrobił na klimatycznym alarmizmie udaną karierę. Nie został wprawdzie prezydentem, ale jego majątek wart jest 300 mln dol. Szacunek dla niego, świetnie o siebie zadbał. Większość polityków rozumie, jak znakomitym przekazem dla wyborców jest stwierdzenie: „Świat się kończy, ale ja wiem, jak temu zapobiec – głosuj na mnie!". Problem w tym, że to podwójnie nieprawda: ani świat się nie kończy, ani głosowanie na tych ludzi niczego nie zmieni. Natomiast oni zaproponują nieprawdopodobnie kosztowne rozwiązania, które będą miały znikomy wpływ.

Poza tym można zapytać: Skoro CO_2 ma być problemem, to dlaczego po prostu nie przestać go emitować? Ale przecież nikt nie emituje CO_2, żeby zrobić na złość Grecie Thunberg czy Alowi Gore'owi. CO_2 to produkt uboczny niemal wszystkich działań, które czynią świat lepszym miejscem. To skutek dostarczania nam taniej energii. Wykorzystanie naturalnego gazu wykarmia zapewne połowę ludności na świecie poprzez produkcję nawozów sztucznych. Dlatego doradzanie, żeby pozbyć się CO_2, jest faktycznie doradzaniem, żeby pozbyć się tych wszystkich rzeczy, które przyniosły ludzkości wielkie korzyści. Oczywiście co do zasady i w długim okresie transformacja energetyczna jest potrzebna, ale nie da się budować domu od komina.

Politycy zawsze zachowywali się w ten sposób – domagali się pieniędzy w zamian za obietnicę ocalenia przed jakąś koszmarną katastrofą i w tym kontekście zmiana klimatu jest po prostu kolejnym straszakiem. To niestety działa – ale z korzyścią dla polityków, nie dla społeczeństw.

Kiedy pisał pan „Fałszywy alarm", europejska polityka klimatyczna była znacznie mniej zaawansowana. Od tego czasu doszło wiele jej niesamowicie kosztownych elementów, a zgodnie z wyliczeniami francuskiego Instytutu Rousseau każdy pracujący Polak będzie musiał zapłacić za implementację Zielonego Ładu ok. 30 tys. zł rocznie do 2050 r. Jak ocenia pan obecną europejską politykę klimatyczną?

Ta polityka jest nierealistyczna. Gdy wynikające z niej rozwiązania zaczną być w pełni wprowadzane, ludzie nie będą sobie mogli na nią pozwolić, a politycy ją wspierający nie będą wybierani. Mechanizm napędzania sobie wyborców sprawdza się, jeśli polityk powie: „Zbliża się koniec świata i ja was przed nim ocalę, powodując, że inni politycy w przyszłości wydadzą na to mnóstwo pieniędzy". Ale jeśli polityk powie, że musi wydać przeogromne pieniądze podatników w tym momencie, to już nie będzie dawało poparcia w wyborach. W tej chwili UE zmierza do ograniczenia emisji o 55 proc. do 2030 r., potem o 90 proc. do roku 2040 – i gdzieś między tymi punktami nastąpi załamanie. Mówimy bowiem o kosztach wręcz kosmicznych. Oszacowałem je na 10 proc. europejskiego PKB [to ok. 1,8 bln euro – przyp. Ł.W.]. Można poświęcić 1 czy 2 proc. i uznać, że dzięki temu poczuliśmy się lepiej. Ale nie da się wydać na to 10 proc. PKB, bo to suma, którą łącznie wydajemy na wiele innych ważnych dziedzin, jak edukacja czy służba zdrowia. To się w długim okresie po prostu nie uda i Europejczycy zaczynają to rozumieć. Wybór Donalda Trumpa w USA miał m.in. właśnie takie przyczyny. Podobnie w Europie polityka klimatyczna może się skończyć wyborem kolejnych europejskich Trumpów.

Europejska polityka klimatyczna do 2050 r. oznaczałaby, jak policzyłem, redukcję globalnej temperatury o 0,02 st. C. Natomiast do roku 2100 redukcja sięgnęłaby 0,08 st. C. Te wyliczenia opieram na modelach klimatycznych stosowanych przez IPCC. Czyli cały ten gigantyczny wysiłek aż do końca stulecia praktycznie nie przyniósłby żadnego efektu, a kosztowałby dobrze ponad 100 bln euro.

Jakiś czas temu przeprowadzałem wywiad z wiceministrem klimatu Mikołajem Dorożałą. Zadałem mu pytanie, o ile spadnie temperatura na ziemi wskutek wprowadzenia zakazu rejestracji nowych aut spalinowych od 2035 r. Nie był w stanie odpowiedzieć.

Odpowiedź brzmi, że byłby to ułamek ułamka tej wielkości, którą podałem przed momentem. To zresztą bardzo potrzebne pytanie, którego się nie zadaje: Jaki konkretnie będzie skutek wydania tych wszystkich pieniędzy? Nie można na to pytanie odpowiadać machnięciem ręką i stwierdzeniem, że

eprasa.pl 5f87de27ee

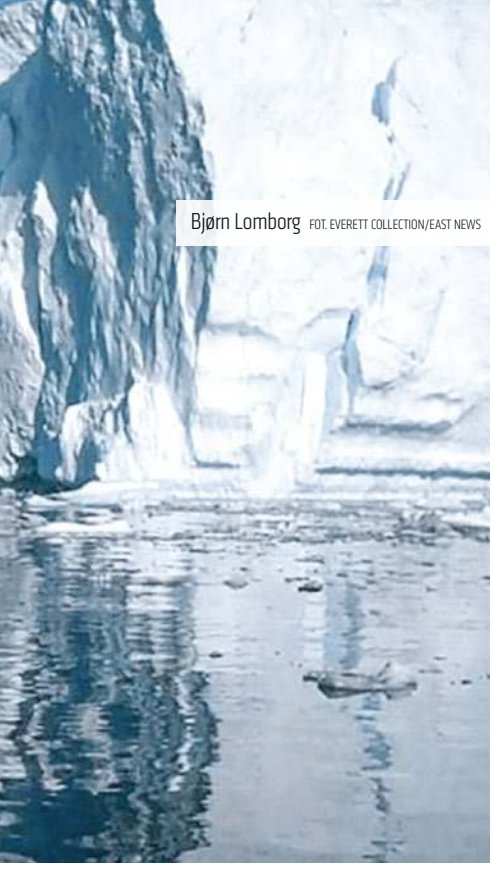

Bjørn Lomborg FOT. EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

na pewno nastąpi redukcja CO_2. Jasne, że nastąpi, ale pytanie, o ile i czy to jest w jakikolwiek sposób opłacalne.

Mówi pan o mądrym wydawaniu pieniędzy w związku ze zmianami klimatu. Co to oznacza w praktyce?

Przede wszystkim trzeba przyjąć, że zmiana klimatu ma bardzo niewiele wspólnego z Polską, Unią Europejską czy w ogóle bogatymi krajami. Na początku XXII w. USA będą odpowiedzialne za 5,4 proc. światowych emisji CO_2. Cała reszta rozwiniętego świata łącznie – za 7,7 proc. Reszta, czyli prawie 87 proc. emisji, będzie pochodzić z Chin, Indii, Afryki, Brazylii, Azji, czyli z krajów, które przede wszystkim chcą wydobyć się z biedy, a nie redukować emisje. Dlatego jeśli chcemy redukować CO_2, to jedynym na to sposobem jest inwestowanie w technologie, które sprawią, że energia ze źródeł alternatywnych będzie realnie tańsza od tej z paliw kopalnych. Jestem raczej sceptyczny, jeśli chodzi o tradycyjne OZE – wiatr czy słońce, ale może będzie to energia jądrowa, może fuzja jądrowa, a może jeszcze coś, czego dzisiaj nie znamy. Niestety, z powodu fiksacji na punkcie natychmiastowej redukcji CO_2 mniej wydajemy na badania zmierzające do takiego dobrego finału.

Co z przystosowywaniem się do zmian i zabezpieczaniem się przed ich skutkami?

Adaptacja to kolejne możliwe rozwiązanie. Wielu aktywistów klimatycznych niechętnie o tym wspomina, bo to odciąga uwagę od tego, co jest dla nich najważniejsze – paneli fotowoltaicznych czy wiatraków. Ale chcę zwrócić uwagę na trzecie możliwe rozwiązanie: zasobność. Ludziom biednym trudniej sobie poradzić z problemami, ludziom bogatym przychodzi to znacznie łatwiej. Dlatego podstawowym zadaniem powinno być wzbogacenie biedniejszej części świata, która zresztą jest najbardziej poszkodowana przez zmiany klimatu. To pomoże tym ludziom w uodpornieniu się na skutki nie tylko tego jednego problemu, lecz także wielu innych.

Pana nowa książka jest o naprawianiu świata. W jaki sposób?

W moim think tanku Copenhagen Consensus pracujemy ze światowej sławy ekonomistami i siedmioma laureatami Nagrody Nobla nad ustaleniem, gdzie najlepiej wydać kolejnego dolara, euro czy złotówkę, żeby jak najbardziej poprawić świat. Problem polega obecnie na tym, że obiecuje się, iż zrobi się wszystko dla wszystkich. Jeśli ktoś kojarzy Agendę Zrównoważonego Rozwoju, to znajdzie tam właśnie takie plany: wszystko dla wszystkich. Skończymy z głodem, biedą, chorobami, poprawimy edukację, a także zrobimy porządek ze zmianą klimatu i zakończymy wojny. Rzecz jasna, jeśli wszystkim obieca się wszystko, to skończy się to gigantycznym rozczarowaniem, bo nie da się naprawić wszystkiego. Nie ma na świecie dość pieniędzy, aby to zrobić. Żeby osiągnąć postawione w agendzie cele, trzeba by wydawać, jak policzyliśmy – uwaga – od 15 do 20 bln dol. rocznie! To od 15 do 20 proc. globalnego PKB. Moja książka pokazuje zatem, gdzie można wydać znacznie mniej i zrobić za to bardzo dużo. Wytypowaliśmy 12 obszarów, gdzie na każdą wydaną złotówkę przypada 15 zł korzyści.

BJØRN LOMBORG „FAŁSZYWY ALARM" WYDAWNICTWO WEI 2024

BJØRN LOMBORG „NAPRAWA ŚWIATA W 12 KROKACH" WYDAWNICTWO WEI 2024

Proszę podać przykład takiej dziedziny.

Kilka z nich jest związanych z ochroną zdrowia. Gruźlica zabija 1,25 mln ludzi rocznie. To najgorsza choroba zakaźna na świecie. Nie słyszmy o tym jednak, bo gruźlica nie zabija w bogatym świecie. A jednak w ciągu ostatnich 200 lat doprowadziła do śmierci miliarda ludzi! Gruźlicę udało się wyeliminować w naszej części świata dzięki antybiotykom, ale nie udało się tego zrobić w świecie ubogim. Otóż gdybyśmy na walkę z gruźlicą wydali ok. 6 mld dol. rocznie – to nie jest nic, ale w skali świata to naprawdę bardzo drobne pieniądze – moglibyśmy uratować ok. miliona ludzi na rok. Inny podobny przykład to malaria, na którą rocznie umiera ok. 600 tys. ludzi. Tutaj wystarczy wydać pieniądze na odpowiednią liczbę siatek przeciwko insektom. Kosztowałoby to raptem 1,7 mld dol. Moglibyśmy w ten sposób ocalić ok. 200 tys. istnień co 12 miesięcy. I ważna rzecz: w żadnym z tych przypadków nie zakładamy, że uratujemy wszystkich, bo to niemożliwe.

Ile kosztowałaby całość waszych pomysłów?

35 mld dol. rocznie. Nie mówię, że to suma mikroskopijna, ale naprawdę znikoma w porównaniu z innymi globalnymi wydatkami. W zamian ratowalibyśmy 4,5 mln ludzi. To niemal 10 proc. światowych zgonów. Na dodatek uboższa część świata zyskiwałaby na tym co rok 1,1 bln dol. W pewnym sensie moja nowa książka jest odwrotnością „Fałszywego alarmu". W tej ostatniej opisywałem, jak wydać ogromne pieniądze i nie osiągnąć niemal nic; w „Naprawie świata w 12 krokach" opisuję, jak wydać bardzo niewiele i osiągnąć znakomity efekt.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bjørn Lomborg (1965) *– duński politolog i ekonomista, założyciel think tanku Copenhagen Consensus, jeden z najbardziej rozpoznawalnych krytyków polityki klimatycznej. Jego najbardziej znane książki to „The Sceptical Environmentalist" (2001), „Fałszywy alarm" (2020, polskie wydanie wydawnictwo WEI) i „Naprawa świata w 12 krokach" (2023, polskie wydanie wydawnictwo WEI).*

eprasa.pl 5f87de27ee

Radosław Sikorski w rozmowie z Krzysztofem Stanowskim w Kanale Zero, 26 maja 2025 r. FOT. KANAŁ ZERO/YOUTUBE

Polska i „okrojone Niemcy"

Maciej Korkuć

Nikt się nie spodziewał, że władze Niemiec nagle się zwiną w kłębek, przeproszą i zasypią Polskę należnymi nam pieniędzmi. Skoro problem moralny jest oczywisty dla obu stron, to wystarczy konsekwentnie go przekuwać w realne postulaty polityczne. Wszak w stosunkach partnerskich konkret drąży kamień

My na drugiej wojnie światowej zyskaliśmy" – to głośne słowa szefa MSZ Radosława Sikorskiego z wywiadu z 26 maja 2025 r. dla Kanału Zero. Jednak są one wycięte z kontekstu. Sikorski mówił o terytorium na Zachodzie. Dodawał wyraźnie, że wojna dla Polski była klęską. Wspomniał, że to „straszliwa hekatomba i straszliwe straty". Przyznawał, że „Niemcy zachowywali się jak bestie" i że „zrujnowali nam kraj". Mimo to możemy zapytać, czy w tej rozmowie nie mieszała się zbytnio perspektywa polska z echem tego, co słyszymy od władz w Berlinie.

Sikorski w kontekście strat wojennych mówił bowiem, że Polska to kraj, który „dostał największą proporcję terytorium niemieckiego po drugiej wojnie światowej". Podkreślał, że „Niemcy realnie stracili". Stanowski odruchowo zauważał: „Mogli nie wywoływać wojny, ich sprawa". Na to Sikorski znowu tłumaczył, że to „Niemcy stracili na rzecz Polski 20 proc. terytorium", a my, Polacy, „od Niemców żeśmy zyskali 20 proc. ich terytorium". Stanowski reagował przytomnie: „To może jeszcze jesteśmy winni coś Niemcom?" – pytał. „Nie" – odpowiadał Sikorski. Jednak… od razu zaraz dodawał: „Ale realnie zyskaliśmy".

Dziwna była ta część rozmowy. Minister nawet jeśli przedstawiał polski punkt widzenia, to od razu wskazywał straty Niemców. O reparacjach wprawdzie mówił, że „one się nam moralnie należą". Jednak od razu dodawał, że „prawnie są nie do załatwienia".

W dyplomacji słowo – zarówno pisane, jak i mówione – jest orężem, narzędziem osiągania celów. Skoro problem jest pod względem moralnym oczywisty – to tym bardziej trzeba go stawiać na forum dyplomacji. I szukać dróg egzekucji niespłaconych powinności. Przecież niemieccy przywódcy w czasie wizyt w Polsce podkreślają świadomość, że ich państwo dokonywało tu straszliwych zbrodni i zniszczeń. Werbalna ekspiacja nie kosztuje. Logika jednak obowiązuje: brak spłaty tego, co się „moralnie należy", jest niemoralny. To także zadanie dyplomacji. Temat realnych odszkodowań Niemcy próbują ucinać. Odpowiadają, że pod względem prawnym uważają sprawę za zamkniętą. Poprośmy ich o wyjaśnienie: Jaką drogą Niemcy ją zamknęli? Co uczynili? Kiedy?

Tego nie mówią. Dokumentów o mocy prawnej nie pokazują, bo ich nie mają. Odwołania do oświadczeń mętnych, jedynie medialnych, pochodzących ze zniewolonej sowieckiej kolonii z czasów Bolesława Bieruta, mogą wzbudzać politowanie. W samych Niemczech dostrzegana jest miałkość takiej narracji. Ostatnio pisał o tym „Der Spiegel", cytowany również przez Deutsche Welle. Tytuł w DW brzmi: „Der Spiegel: czas na finansową odpowiedzialność za wojnę". Niemiecki autor wprost ocenił, że PRL-owski rząd w Warszawie „nie miał demokratycznej legitymizacji i był zależny od Moskwy. Argument historyczny przedstawiony również przez niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wydaje się zatem, mówiąc dyplomatycznie, nieco naciągany". I stwierdził: „W rzeczywistości strona niemiecka obawia się, że nie będzie w stanie wyplątać się ze spłacania swoich długów, gdy już zacznie".

KONKRET NA STOLE

W kwestii strat wojennych był potrzebny konkret jako punkt wyjścia. Wcześniej nikt nigdy nie położył na stole dyplomatycznym realnych wyliczeń. 1 września 2022 r. został w imieniu rządu RP zaprezentowany „Raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej". To potężne opracowanie naukowe oparte na metodologii ostrożnej, wyważonej. Z detalami można polemizo-

eprasa.pl 5f87de27ee

wać – tak jest w każdej pracy naukowej. Jednak w sensie naukowym powagi tego dzieła nikt nie podważył. Detaliczne uwagi nie zmieniają skali wyliczeń. To powinno być w Polsce doceniane niezależnie od tego, czy rządzi PiS czy Koalicja Obywatelska z sojusznikami.

Niemcy wiedzą, że pojawienie się państwowego raportu jest istotnym wydarzeniem. Powinien on być nadal punktem wyjścia dla dyplomatycznego nacisku. To normalne również między współpracującymi państwami. Potrzeba uczciwego stawiania sprawy, skoro reparacje „się nam moralnie należą". A droga prawna to zadanie do wypracowania. Można wspaniałomyślnie zgodzić się na rozłożenie spłat na kilka dekad. Przecież jeszcze w XXI w. Niemcy spłacali aliantom kwoty należne za pierwszą wojnę światową.

Sikorski krytykuje poprzedni rząd za to, że „niczego nie osiągnął", bo przez rok nie otrzymał z Berlina żadnych przelewów. Przecież nikt się nie spodziewał, że władze Niemiec nagle się zwiną w kłębek, przeproszą i zasypią Polskę należnymi nam pieniędzmi. Skoro problem moralny jest oczywisty dla obu stron, to wystarczy konsekwentnie go przekuwać w realne postulaty polityczne. Wszak w stosunkach partnerskich konkret drąży kamień.

Tym bardziej że mamy do czynienia z państwem, które już od lat buduje swój kapitał moralny na fałszywym micie rozliczenia się za wojnę. RFN odgrywa rolę wzorcowego winowajcy. Celebruje rocznice lądowania aliantów w Normandii. Dziękuje „za wyzwolenie" 8 maja. Stawia siebie jako przykład do naśladowania: dojrzała demokracja, która potrafiła zmierzyć się z upiorami przeszłości. To ma wzmacniać siłę i polityczną skuteczność przekazu płynącego z Berlina.

Właśnie z pozycji moralnych dzisiaj Niemcy oceniają rosyjską odpowiedzialność finansową za zbrodnie i zniszczenia na Ukrainie. Opowiadają się za szukaniem ścieżek wymuszenia na Rosji reparacji dla Ukrainy. Również w sprawie wykorzystania zamrożonych w bankach rosyjskich aktywów. RFN wsparła w listopadzie roku 2022 rezolucję ONZ w sprawie rejestru szkód wojennych wyrządzonych na Ukrainie oraz pomysł ustanowienia mechanizmu w sprawie ściągnięcia z Rosji reparacji. Czyli: szukanie rozwiązań prawnych jest możliwe.

Tymczasem kataklizm, który w 1939 r. Niemcy sprowadziły na Polskę, był nieporównanie większy niż wszystko, co dotychczas Rosja zdołała wyrządzić Ukrainie. Czyż Niemcy nie powinny pokazać, że żądają od innych tego, co same potrafią zrobić wobec kwestii tak oczywistych?

PODGRYZANIE

Co Berlinowi jest w tej sytuacji potrzebne? Podgryzanie naszych argumentów od wewnątrz. Bierność polskiego rządu w tej sprawie zadziwia. Działania obniżające powagę polskich roszczeń powinny szokować. Polski raport jest wyśmiewany. Mówi się o nim, że to nie materiał państwowy, ale zaledwie partyjny. Kpiny. Padają stwierdzenia, że się nie da. To niestety również już słyszeliśmy. Kilka miesięcy wcześniej w tym samym Kanale Zero wiceminister spraw zagranicznych Andrzej Szejna, skądinąd obrońca stalinowskich obiektów propagandy, równie ostentacyjnie wykpiwał raport, określając go z ironią i lekceważeniem mianem jakiejś „książeczki".

Inna rzecz, że rachunki strat terytorialnych Niemiec z reguły odnoszone są do granic z 1937 r. Jednak nie chodzi przecież o biedną ofiarę agresji, tylko o żarłocznego potwora, który, zanim został pokonany, tuczył się kosztem innych bez miary. Od 1938 r. do lat wojny Rzesza powiększyła terytorium prawie dwukrotnie. W czasie wojny „Wielkoniemiecka Rzesza" wliczała w „swoje" granice obszar 874,8 tys. km kw. Ta liczba nie obejmuje Komisariatów Rzeszy na wschodzie i przyszłego Lebensraumu. Czy naprawdę mamy użalać się nad ludobójczym państwem, któremu na rzecz Polski odcięto 101 tys. km kw.? Polski, która była ofiarą ich napaści, Polski w wyniku tej wojny wciąż zniewolonej, pomniejszonej, wyludnionej i zrujnowanej?

Warto przypomnieć, że przejęliśmy te ziemie w ruinie, po zniszczeniach wojny oraz po kataklizmie rosyjskiego demontażu i wywozu do ZSRS wszystkiego, co cenne: infrastruktury, zakładów przemysłowych, a nawet trakcji kolejowych. Przemysł tych ziem był zniszczony w ponad 73 proc.; trasy kolejowe – niezdatne do wykorzystania w 77 proc. Do tego bilansu doszły trzy czwarte zniszczonych mostów, zrujnowane miasta, ogołocone wioski itd. „Polska objęła pustynię – opisywał prof. Jerzy Eisler. – Ziemie nie tylko zniszczone przez wojnę, ale w praktyce wyludnione. Trzeba wyraźnie podkreślić, że gros Niemców mieszkających na tamtych terenach wyjechało dobrowolnie lub pod przymusem, ale niemieckich władz administracyjnych".

Jeszcze w XXI w. Niemcy spłacali aliantom kwoty należne za pierwszą wojnę światową

W Niemczech wciąż odzywają się i tacy, którzy nie tylko nie biją się w piersi, lecz także przechodzą do ataku. Oto Erika Steinbach z AfD, była przewodnicząca Związku Wypędzonych, niemal w tym samym czasie straszy w serwisie X: „Dla Polski może to być kosztowne, jeśli Niemcy zażądają odszkodowania za wywłaszczenie niemieckich wypędzonych, które było niezgodne z prawem międzynarodowym. Do dziś kwestia ta nie została uregulowana!". Warto byłoby pani Erice powiedzieć, że popieramy wzięcie przez rząd RFN – jako spadkobiercę Rzeszy i dysponenta jej zasobów – pełnej odpowiedzialności za wojnę. Niech za kataklizm przez Niemcy wywołany RFN – jeśli chce – płaci również potomkom obywateli Rzeszy. To ich wewnętrzna sprawa. Nam nic do tego. I tak pozostaje pytanie, ilu tzw. zwyczajnych Niemców wielbiło Hitlera i jego zwycięstwa. I ilu z nich dziedziczy dzisiaj „pamiątki rodzinne" zrabowane – także indywidualnie – w tysiącach domów okupowanej Polski przez ich przodków w niemieckich mundurach?

Sikorski operuje stwierdzeniami typu: „A ja nie wiem, dlaczego PiS nie wystąpił z roszczeniami wobec Rosji Sowieckiej, która zabrała nam terytoria i zabrała nam nasze reparacje". To metoda rozmywania problemu. Czyżby bezczynność wobec Niemiec miała być przykryta bezczynnością w sprawie Rosji? Czy ktokolwiek zabrania dzisiejszym władzom podjąć czynne działania w tej sprawie? Poprzedni rząd nie negował potrzeby roszczeń wobec Rosji. Od czegoś zaczął. Przygotował i wysłał Niemcom ważny raport. Wciąż można zlecić podobny na temat ZSRS.

Przecież morał powinien być oczywisty: każdy agresor powinien wiedzieć, że napaść i zbrodnie na dłuższą metę są kosztowne. Lepiej żyć w pokoju.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

FOT. POOL/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

Bunt i skrucha Muska

Wojciech Golonka

Główną osią obecnej niezgody było, teoretycznie, podejście do kwestii zrównoważenia amerykańskiego budżetu. Elon Musk twierdzi, że największym bezpośrednim zagrożeniem dla Ameryki jest widmo jej bankructwa na skutek astronomicznego długu publicznego. Z kolei Donald Trump widzi je w zjawisku nielegalnej imigracji, deindustrializacji kraju i pauperyzacji Amerykanów

Kiedy 30 maja, po czterech miesiącach ciężkiej pracy w administracji Donalda Trumpa, Elon Musk żegnał się z Białym Domem w atmosferze serdeczności i przyjaźni, nic nie wskazywało na to, że kilka dni później przypuści frontalny atak na prezydenta Stanów Zjednoczonych i jego obóz polityczny, oskarży go o bycie zamieszanym w pedofilskie orgie Jeffreya Epsteina i publicznie poprze odezwę o jego natychmiastowy impeachment. Wprawdzie o ile docierające doń liczne apele o pogodzenie się z Trumpem spowodowały pewne wyciszenie sporu, skasowanie przez Muska najbardziej antagonizujących tweetów i wyrażenie za nich żalu, o tyle sam Donald Trump, mimo silnie tonujących sygnałów ze strony jego najbliższych współpracowników, oznajmił, że swoją relację z Muskiem postrzega na dziś jako zakończoną, a Muska, jeśli podejmie on działania wspierające demokratów przeciw republikanom, spotkają poważne konsekwencje.

O możliwych niekompatybilnościach między ruchem MAGA Donalda Trumpa a libertariańską filozofią polityczną Elona Muska mówiło się w zasadzie od początku ich oficjalnej współpracy, po niedoszłym zamachu na Trumpa w Butler w Pensylwanii, choć wyobraźnię i dyskurs dominowały wówczas gesty oraz słowa świadczące o coraz bardziej partnerskiej i w sumie przyjacielskiej relacji obu mężczyzn. Medialne próby ich poróżnienia były z kolei ewidentnie motywowanymi politycznie atakami, sztucznie kreowanymi na przekór twardej rzeczywistości, w której Musk stawał się po prostu bliskim, zaufanym współpracownikiem Trumpa, nieszczędzącym mu zresztą najznakomitszych elegii. Nie chodzi jednak o to, że ta współpraca była wolna od sporów, w tym zażartych – bo nie była; że nie było w niej nieporozumień lub nawet decyzji Trumpa dyscyplinujących Muska w administracji Białego Domu – bo takowe najwyraźniej też były. Rzecz w tym, że szeroki i hojny wkład Elona Muska w zwycięską kampanię prezydencką Donalda Trumpa, następnie w formowanie jego administracji, a przede wszystkim jego osobiste autorstwo jednego z największych sukcesów pierwszych 100 dni rządów, osławionego DOGE, czyli departamentu do spraw wydajności rządu – wkład ten był autentycznie historyczny i poniekąd decydujący. Innymi słowy: choć niewolna od ścierania się, a nawet pewnej niespójności współpraca ta okazała się możliwa i spektakularna, aczkolwiek Musk przypłacił ją niezwykle silnymi atakami na swoją osobę i przedsiębiorstwa, aktami wręcz terroru wymierzonymi w jego biznes motoryzacyjny, zwłaszcza wtedy, gdy jego zespół zaczął drążyć kwestie gigantycznej niegospodarności pieniędzy publicznych na rzecz lewackiej agendy woke i jej beneficjentów.

Główną osią obecnej niezgody było, teoretycznie, podejście do kwestii zrównoważenia amerykańskiego budżetu. Musk twierdzi, że największym bezpośrednim zagrożeniem dla Ameryki jest widmo jej bankructwa na skutek astronomicznego długu publicznego, z kolei Trump, nie negując imperatywu racjonalizacji wydatków publicznych, widzi je w zjawisku nielegalnej imigracji, deindustrializacji kraju i pauperyzacji Amerykanów. Stąd też inna, niebagatelna różnica: Trump tradycyjnie uznaje cła jako pożądane narzędzia suwerenności gospodarczej, podczas gdy Musk, producent (a zarazem importer) o zasięgu międzynarodowym wyznaje świat bez ekonomicznych barier. Nie były to jednak różnice, które wyszłyby na jaw nagle, w ostatnim czasie, a wręcz przeciwnie: Musk korzystał ze statusu „specjalnego pracownika rządowego", który może pracować w administracji maksymalnie 130 dni w okresie rocznym bez zatwierdzenia przez Kongres (którego nie chciał uzyskiwać), a najserdeczniejsze uprzejmości przy oficjalnym pożegnaniu Muska w Białym Domu, które w zasadzie

eprasa.pl 5f87de27ee

było bardziej formalnym niż rzeczywistym rozstaniem, świadczyły, że te różnice nie były aż tak istotne.

„Elon tak naprawdę nie odchodzi, sądzę, że będzie pojawiał się z powrotem. Takie mam przeczucie" – mówił 30 maja Donald Trump, dodając: „Jego służba na rzecz Ameryki nie ma w sobie równej w historii współczesnej Ameryki […]. Jest całkowicie oddany USA, a Amerykanie są mu winni wielki dług wdzięczności". Prezydent wręczył przy tym Muskowi w imieniu narodu amerykańskiego symboliczny złoty klucz do Białego Domu. Ten z kolei podsumował swoją pracę i dalsze perspektywy współpracy: „Myślę, że ludzie z DOGE zrobili niesamowitą robotę i ją kontynuują. Będę powracał do tego miejsca i pozostanę przyjacielem i doradcą prezydenta. Do zobaczenia z powrotem w tym wspaniałym gabinecie […]. Gabinet Owalny w końcu cieszy się majestatem, na który zasługuje, dzięki prezydentowi".

ODPALENIE BOMBY

Jak wytłumaczyć zatem tę gwałtowną przemianę z „przyjaciela i doradcy" do wroga numer jeden prezydenta? Otóż ostrzejsze publiczne niesnaski Muska rozpoczęły się 3 czerwca krytyką ustawy budżetowej, by osiągnąć apogeum dwa dni później, kiedy to najpierw przywołał on liczne przeszłe wypowiedzi republikanów, z Trumpem na czele, krytykujących niezrównoważony budżet, następnie zapowiedział utworzenie partii, w której odnajdzie się 80 proc. zwykłych Amerykanów, a w końcu „odpalił prawdziwą bombę", czyli stwierdził, że Donald Trump nie ujawnia niesławnej listy gości Epsteina na jego wyspie, gdzie dochodziło do pedofilskich orgii, bo sam na niej figuruje, i poparł apel jednego z internautów o destytucję prezydenta i jego zastąpienie wiceprezydentem J.D. Vance'em… Obok totalnego osłupienia zwolenników tego wyjątkowego sojuszu i duetu, popularnie określanego po angielsku bromance (zażyłej relacji dwóch mężczyzn bez konotacji seksualnej), zaczęły stopniowo pojawiać się kontrataki. Trump, raczej powściągliwy jak na spięcie tego kalibru ze swymi wrogami, ripostował, że Musk „zwariował", przestawszy być członkiem rządu, i nie może znieść tego, że projekt ustawy budżetowej nie zakłada dopłat do zakupu (jego) samochodów elektrycznych. Licznie wybrzmiewały głosy o potrzebie dalszej współpracy obu panów na rzecz Ameryki, a w konsekwencji apele o deeskalację ze strony Muska. J.D. Vance, potwierdzając swe pełne poparcie dla prezydenta i doń zaufanie, przypisał ten nuklearny wybuch emocjonalnemu temperamentowi Muska i całemu spektrum ataków, których był przedmiotem, wyrażając jednocześnie nadzieję, że jeśli „nieco ochłonie, to wszystko będzie w porządku". Z kolei beton MAGA pokroju Steve'a Bannona, jednak poza sferą decyzyjności, na gorąco apelował o natychmiastowe przejęcie przez państwo firmy rakietowej Muska (agenta Chin!), jego deportację oraz aresztowanie i ściganie jego ludzi…

Musk rzeczywiście zrobił krok wstecz, skasował najbardziej oskarżycielskie tweety (rzeczona bitwa rozegrała się głównie na jego portalu X, przy światowym medialnym rozgłosie), popierał nawet głosy apelujące o zgodę między obu panami, jednak w wywiadzie dla NBC News Trump stwierdził, że ich partnerstwo jest skończone, a jeśli Musk będzie próbował zablokować przyjęcie ustawy budżetowej (która, co ważne, w końcu dałaby Trumpowi właściwe narzędzia do realizacji jego obietnic wyborczych, coś, czego nie miał za swej pierwszej kadencji), grożąc republikańskim kongresmenom, że poprze ich oponentów w przyszłych wyborach w ich okręgach wyborczych, to spotkają go dotkliwe konsekwencje. Jakie? Owego feralnego 5 czerwca Trump sugerował, że rząd USA mógłby skasować kontrakty rządowe dla firm Muska, bez wątpienia dlań intratne. Zastanawiające były z kolei zupełnie rozjemcze deklaracje popularnej rzeczniczki Białego Domu Karoline Leavitt, podkreślającej, że jest zrozumiałe, iż Musk musi w pierwszej mierze dbać o swoje firmy, a Trump o dobro całego kraju.

DRAMAT CZY KOMEDIA?

Czy to oznacza, że brutalna kłótnia ustawiająca Muska w radykalnej opozycji do Trumpa miała przede wszystkim przełamać bojkot jego samochodów, który był motywowany czysto politycznie? W najróżniejszych domysłach posuwano się dalej: cała wojna na tweety była jedynie spektaklem (na wzór walk na niby w „wolnoamerykance"), mającym wiele domniemanych zalet: sprowokowanie publikacji listy Epsteina, wykupienie po rabacie przez Muska akcji swoich firm, które utraciły nagle na wartości, sprawdzenie lojalności w obozie Trumpa – ale wszystko to stanowi na razie mniej lub bardziej (nie)spójne hipotezy próbujące racjonalizować to, co w innym razie po prostu wydawałoby się aberracją. Aberracją niezrozumiałą, choć być może nie dla wszystkich: w wywiadzie dla telewizji Newsmax lekarz dr Drew Pinsky, skądinąd zafascynowany osobą Muska, analizował jego nagły wyskok w kontekście przejawów hipomanii, niezwykle drażliwego tematu ustawy budżetowej oraz trudnego okresu przejściowego w związku z opuszczeniem wpływowej pozycji w rządzie. Jeśli to wytłumaczenie byłoby właściwe, to trudno zakładać, aby Trump chciał w przyszłości podejmować ryzyko ponownych ataków na siebie niesamowitego kalibru – w końcu insynuacje o czyjejś pedofilii i nawoływanie o usunięcie z urzędu to uderzenia atomowe, palące de facto wszystkie pomosty sensownej współpracy.

Jakiekolwiek było prawdziwe podłoże, dramat ten, przynajmniej dla licznych zwolenników tego dotychczas przebojowego antylewackiego sojuszu najpotężniejszego człowieka na ziemi z najbogatszym przedsiębiorcą, stopniowo nabiera akcentów komedii. Musk ogłasza, że wszyscy będą rozbawieni zakończeniem tego sporu i rzeczywiście memy oraz kreowane za pomocą sztucznej inteligencji filmiki na ten temat kipią humorem zakrywającym wcześniejsze poczucie głębokiego niesmaku. Z kolei Trump pytany przez media o kontakt z Muskiem droczy się nieco na pokaz, że w sumie nie wie on, czy Musk do niego dzwonił, że jego trzeba o to pytać, bo zapewne chce do niego zadzwonić, a w ogóle to życzy mu najlepiej, swej Tesli zaś nie sprzeda – jedynie zabierze ją z Białego Domu. Musk po pięciu dniach wyraził nawet skruchę za najostrzejsze ataki na Trumpa – kwestią otwartą pozostaje, jak ten drugi na nią zareaguje. To przygasające starcie i tak szybko spowiły dymy płonącego w imigranckich zamieszkach Miasta Aniołów, odwracając uwagę publiki także od kwestii, jakie to względy bezpieczeństwa narodowego uniemożliwiają na razie opublikowanie akt szeregowego obywatela Epsteina, a ściślej rzecz biorąc: dla kogo i na kogo człowiek ten zbierał, najwyraźniej, cenne, choć makabryczne kwity do szantażu i jak zostały one rzeczywiście spożytkowane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

Mojżesz polskiego liberalizmu

Piotr Śliwiński

W roku 1979 Mirosław Dzielski opublikował w nielegalnym wydawnictwie tekst „Jak zachować władzę w PRL?". Była to napisana w formie listu do ówczesnego telewizyjnego idola, bohatera serialu „07 zgłoś się", porucznika Borewicza, śmiała jak na owe czasy propozycja złożona władzy, aby rozstać się ze skompromitowaną ideologią marksistowską na rzecz prawdziwej wolności i kapitalizmu z jednoczesnym pozostawieniem u władzy dotychczasowego politbiura

Od roku 1989 przez polską scenę polityczną przewinęło się wielu mężów i mężyków stanu. Każdy z nich przypisuje sobie wielką rolę w walce z komunistycznym reżimem i lansuje na twórcę „nowej" rzeczywistości. Trudno oprzeć się wrażeniu, że owa nowa rzeczywistość coraz bardziej przypomina starą, która dawno miała odejść w niebyt. Uwłaszczenie dawnej nomenklatury i misterna sieć korupcyjnych powiązań wypaczyły sens prawdziwej wolności, sprawiedliwości i wolnego rynku. Na ich miejscu pojawiły się, niczym upiory, takie dziwolągi jak „sprawiedliwość społeczna" i „społeczna gospodarka rynkowa", stanowiące powtórkę z czasów „świetlanej przyszłości", a co gorsza – zostały zapisane w Konstytucji III RP. U progu przemian mogło być inaczej…

Zanim runął sowiecki blok, na polskiej scenie pojawiło się wielu ludzi, którzy całe swe życie poświęcili szeroko rozumianej idei wolnościowej. Nurt liberalny, bo o nim tu mowa, reprezentowali m.in.: Stefan Kisielewski – współtwórca (razem z Januszem Korwin-Mikkem i Mirosławem Dzielskim) Ruchu Polityki Realnej, późniejszej Unii Polityki Realnej, a także

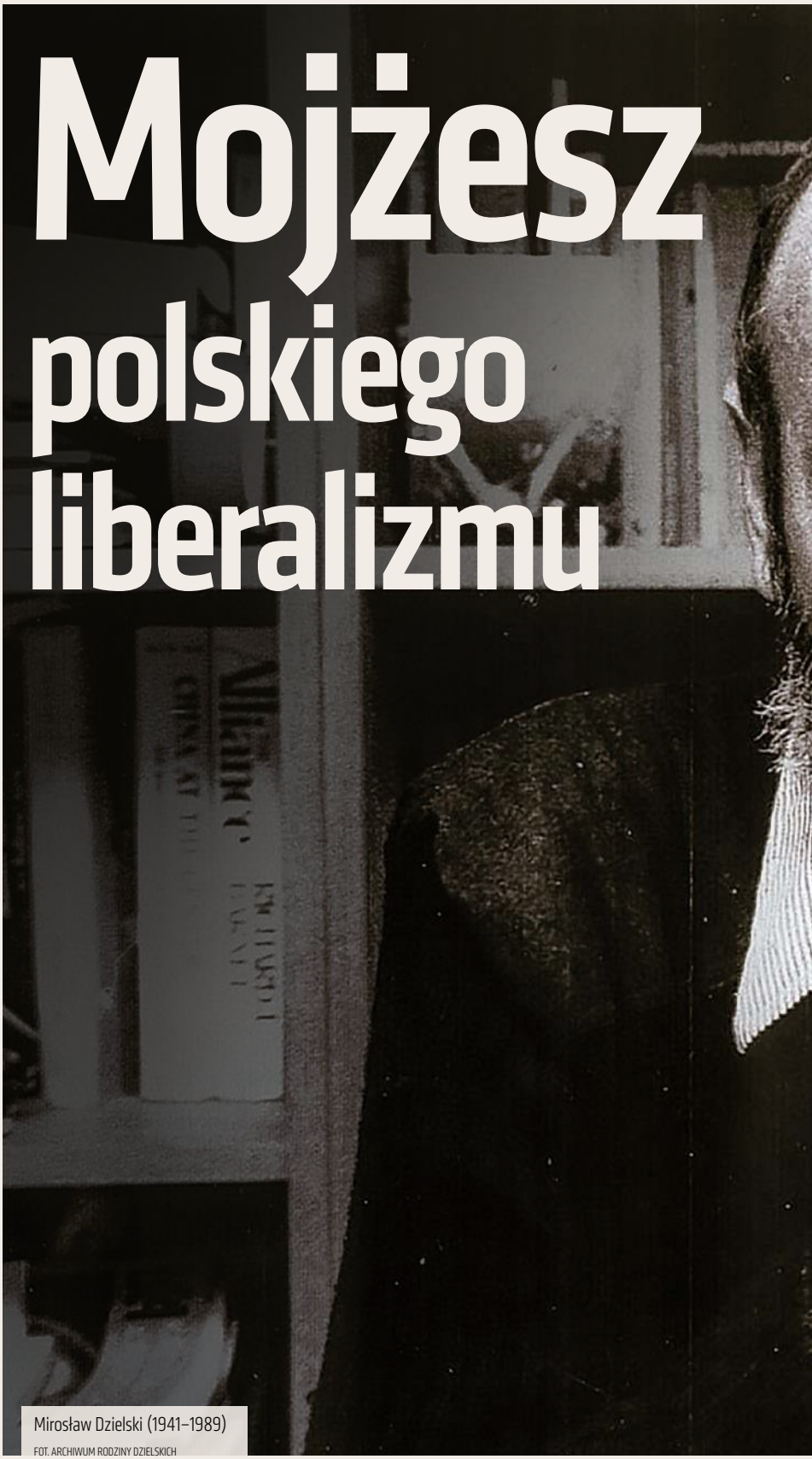

Mirosław Dzielski (1941–1989)

FOT. ARCHIWUM RODZINY DZIELSKICH

eprasa.pl 5f87de27ee

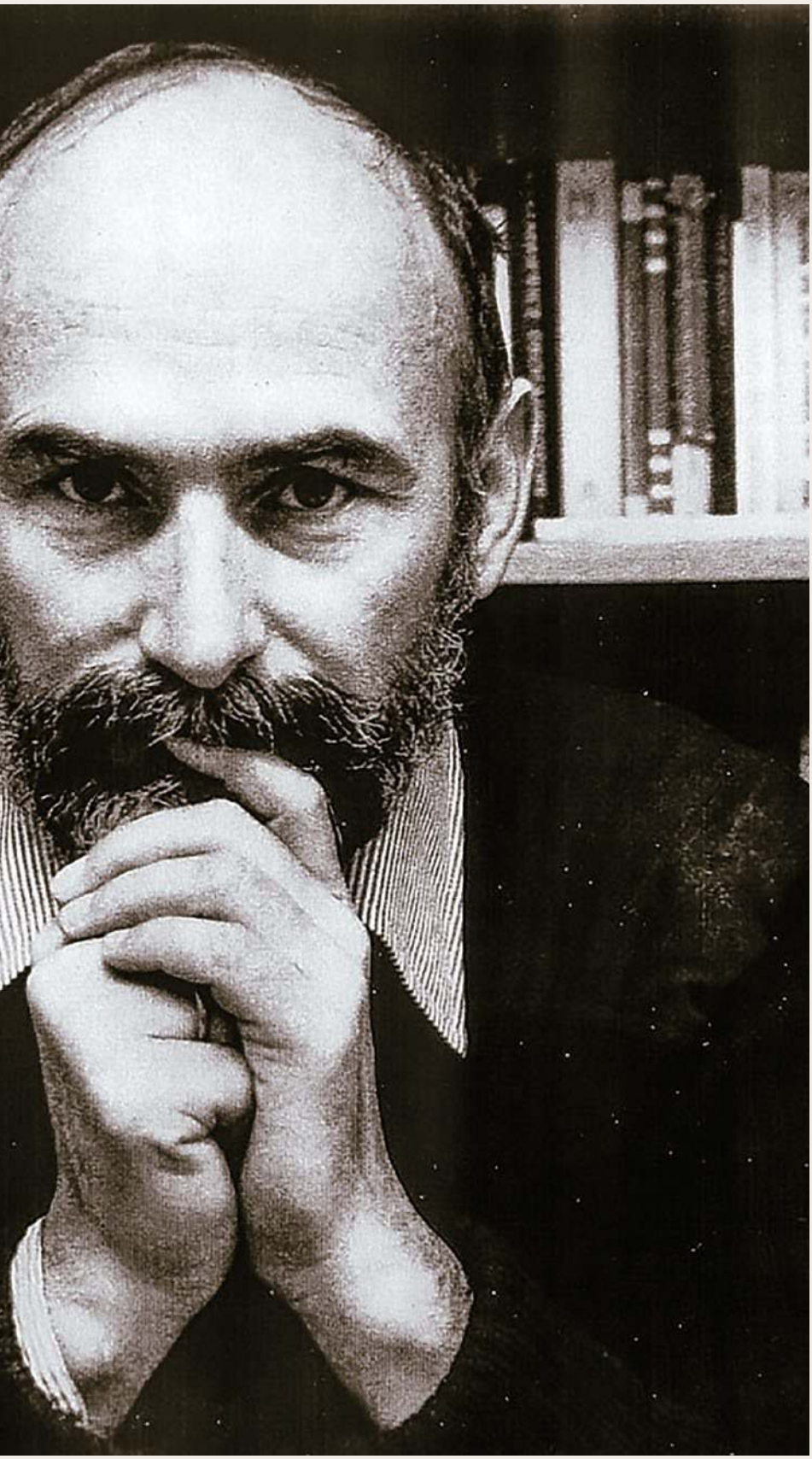

ówczesne środowisko „Przeglądu Politycznego".

Z wymienionych tu postaci na szczególną uwagę zasługuje Mirosław Dzielski – osobowość niezwykła zarówno pod względem teorii, jak i praktyki wyznawanych idei. Jak wielki wpływ wywierał na ówczesnych piewców wolności i jak wielką estymą cieszył się wśród opozycji antykomunistycznej, świadczą niepotwierdzone do końca informacje, że był brany pod uwagę jako kandydat na pierwszego niekomunistycznego premiera rządu. Niestety, ciężka choroba i przedwczesna śmierć zniweczyły piękne plany.

Pomimo wielkiego zaangażowania w przywracanie wolności i normalności w zdewastowanym przez komunizm kraju dla większości pozostaje nadal postacią prawie nieznaną. Dlaczego tak się dzieje?

Podstawową różnicą, która dzieliła Dzielskiego od przedstawicieli innych ruchów wolnościowych, był kapitalizm, stanowiący ukoronowanie wielowiekowej tradycji cywilizacji łacińskiej. Organizacje opozycyjne, które nie miały realnych pomysłów na pokomunistyczną gospodarkę Polski, marzące o „socjalizmie z ludzką twarzą", nie podzielały tak daleko idących poglądów i nie przyjmowały do wiadomości istnienia szans na wielki przewrót – zarówno w działaniu, jak i w myśleniu. Jak trudno wykorzenić z ludzkiego umysłu socjalistyczne ciągoty, ukazuje nam codzienne życie, pełne roszczeniowych postaw zawartych w popularnym haśle: „Nam się należy!".

WOLNOŚĆ I RELIGIJNOŚĆ

Mirosław Dzielski urodził się 14 listopada 1941 r. w Bochni. Od 1955 r. mieszkał na stałe w Krakowie, gdzie w latach 1955–1959 uczęszczał do V Liceum Ogólnokształcącego im. Augusta Witkowskiego. Ukończył je jako jeden z najlepszych absolwentów. Nagrodą dla prymusów była pomaturalna wycieczka do Austrii.

W 1959 r. rozpoczął studia na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, choć jego skrywanym marzeniem były filozofia i polonistyka. Przerwy w studiach, spowodowane kłopotami zdrowotnymi, wykorzystał na pilne samokształcenie, w tym przede wszystkim doskonalenie znajomości języka

eprasa.pl 5f87de27ee

angielskiego. Jednocześnie uczył matematyki w Szkole Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącym nr 2 (obecne XIV LO) w Krakowie. Czynnie uczestniczył także w życiu sportowym – w krakowskim AZS uprawiając biegi i żeglarstwo.

28 października 1966 r. Mirosław Dzielski złożył egzamin magisterski i obronił pracę „Rozwiązywanie równań Einsteina dla pól statycznych" (promotor: prof. Jerzy Rayski) w Katedrze Fizyki Teoretycznej UJ, a w 1975 r. otrzymał stopień doktora nauk filozoficznych na podstawie rozprawy „Newtona i Leibniza koncepcje czasu i przestrzeni" opracowanej pod kierunkiem prof. Zdzisława Augustynka z Zakładu Filozofii Nauk Przyrodniczych UJ. Jednocześnie pracował naukowo i dydaktycznie, w zajęciach ze studentami odchodząc daleko od narzucanych odgórnie marksistowsko-leninowskich formuł. Interesujące spostrzeżenia opublikował m.in. w „Studencie" („Pan Einstein i biografia pewnego Europejczyka"), „Studiach Filozoficznych", „Magazynie Kulturalnym", „Zeszytach Naukowych" i w „Znaku". W 1977 r. ukazała się pierwsza większa praca pt. „Wiara Sokratesa", poruszająca problematykę wolności i religijności jednostki.

W tym czasie pozostawał pod silnym wpływem ówczesnego metropolity krakowskiego, kard. Karola Wojtyły, organizatora wielu dysput i prelekcji filozoficznych, w których uczestniczyli m.in. myśliciele zakonni – dominikanie: ojcowie Jacek Salij i Jan Andrzej Kłoczowski, a także poeta i satyryk Janusz Szpotański. Spotkania odbywały się w duchu lektury filozofów, tej miary co Fryderyk August von Hayek, Ludwig von Mises, Karl Popper, Milton Friedman, Feliks Koneczny, Alexis de Tocqueville, Benjamin Constant czy Adam Smith, i zaowocowały stworzeniem pierwszych grup o chrześcijańsko-liberalnym podłożu.

Kontynuacją zebrań stały się bankiety, czyli organizowane w prywatnych mieszkaniach spotkania. Uczestniczyli w nich najbliżsi współpracownicy, przemysłowcy i ludzie nauki – wszyscy, którym bliska była idea wolnego rynku. Na kanwie owych spotkań powstał w 1996 r. film w reżyserii Jerzego Sztwiertni zatytułowany „Dzielski: bankietem do kapitalizmu".

Szeroko zakrojona działalność naukowa, społeczna i publicystyczna szła w parze z niebywałą odwagą cywilną. 7 stycznia 1973 r. Dzielski wysłał na ręce ówczesnego przewodniczącego Rady Państwa, Henryka Jabłońskiego, znamienny list z prośbą o ułaskawienie Jerzego Kowalczyka, skazanego na karę śmierci za wysadzenie auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.

W czerwcu 1974 r. poznał Marię Dąbrowską (późniejszą profesor nauk humanistycznych), którą poślubił 25 września. Pod jej patronatem ukazywały się wydawnictwa promujące dorobek ideowy męża, w tym: „Odrodzenie ducha – budowa wolności. Pisma zebrane" (Krakowskie Towarzystwo Przemysłowe i „Znak", Kraków 1995) – sztandarowa pozycja prezentująca prace filozoficzne i polityczne z całego okresu działalności – oraz „Bóg, wolność, własność" (Ośrodek Myśli Politycznej Centrum im. Adama Smitha i Księgarnia Akademicka, Kraków 2001) – wybór stanowiący kompendium każdego chrześcijańskiego liberała.

Rok 1979 stanowi datę szczególną. W Krakowie zaczyna ukazywać się nielegalne pismo „Merkuryusz Krakowski i Światowy", w którym Dzielski publikuje artykuł manifest „Kim są liberałowie", zawierający podstawy i założenia ruchu liberalnego, oraz „Jak zachować władzę w PRL?" – napisaną w formie listu do ówczesnego telewizyjnego idola, bohatera serialu „07 zgłoś się", porucznika Borewicza, śmiałą jak na owe czasy propozycję złożoną władzy, aby rozstać się ze skompromitowaną ideologią marksistowską na rzecz prawdziwej wolności i kapitalizmu z jednoczesnym pozostawieniem u władzy dotychczasowego politbiura. Była to swoista karta przetargowa pomiędzy bezwzględnym reżimem a słabymi jeszcze pierwiosnkami wolności.

Dzielski uważał, że w imię wolności i odpowiedzialności jednostki warto czasem zawiesić demokrację, która – jak pokazuje życie – łatwo przeradza się w dyktat większości, a większość nie oznacza od razu słuszności

SOCJALISTYCZNA MENTALNOŚĆ SOLIDARNOŚCI

Po powstaniu krakowskiej Solidarności Dzielski został powołany na jej rzecznika prasowego i doradcę Komisji Robotniczej Hutników w Hucie im. Lenina. Swą działalnością chciał udowodnić, że jedyną szansą dla szerokich mas pracujących jest kapitalizm – im więcej przemysłowców i producentów, tym większy wybór form zarobkowania dla robotników. Postulował więc, aby wokół HiL-owskiego molocha stworzyć sieć drobnych, współpracujących firm, które odciążą niektóre działy kombinatu; promował samodzielność jednostek i krok ku uwolnionej z państwowego kagańca gospodarki.

Niestety, pomysł ów nie znalazł zrozumienia wśród związkowców. Na I Zjeździe NSZZ „Solidarność" dochodzi do wielu nieporozumień na tle ideologicznym. Znów socjalistyczna mentalność i rewolucyjne zadęcie biorą górę nad realizmem i zdrowym rozsądkiem. Przygotowany przez Dzielskiego odczyt został zbojkotowany przez władze Regionu Małopolskiego i w ogóle nie ujrzał światła dziennego.

Rozbrat z ruchem solidarnościowym przyniósł obszerną pracę wydaną w formie książki „Odrodzenie ducha – budowa wolności", jedyną jak do tej pory wnikliwą analizę tego wielkiego społecznego zrywu. Była to pozycja szczególna w barwnym kalejdoskopie pism podziemnych, ukazywała bowiem blaski i cienie fenomenu Solidarności bez zbędnego patosu i nuty pesymizmu, który pojawił się z chwilą likwidacji związku w obliczu nadciągającej „grudniowej nocy" 1981 r. Głównym zarzutem, który stawiał Dzielski, był brak walki z socjalistyczną biurokracją – kulą u nogi wszystkich społeczeństw bloku wschodniego, a ostatnimi czasy również całego Zachodu.

eprasa.pl 5f87de27ee

Wojna „polsko-jaruzelska" tylko na moment osłabiła żywotne siły narodu. Już w styczniu 1982 r. w prasie podziemnej pojawił się nowy tytuł „13 Grudnia" przemianowany wkrótce na „13". To pierwszy prawdziwy sukces idei propagowanej przez Dzielskiego – inicjatorem „Trzynastki" był jego niegdysiejszy student Grzegorz Łuczkiewicz, wówczas szef drugoobiegowego krakowskiego wydawnictwa Oficyna Liberum Veto. Przez wiele środowisk opozycyjnych „13" uznana została za najlepsze czasopismo podziemne. Chwalono ją za rzetelność i konkret – cechy, których brak było niestety innym, podlanym antykomunistycznymi frazesami pismom, nieposiadającym żadnej wizji gospodarczego ustroju przyszłej niepodległej Polski. Publicyści „13" odżegnywali się od czysto politycznej walki z komunistycznym reżimem, analizowali gospodarcze programy, stawiając przede wszystkim na konfrontację cywilizacyjną, w której programowy ateizm i bezideowość ustąpić miały zdrowemu kapitalizmowi postanowionemu na silnych chrześcijańskich fundamentach.

Od roku 1983 na łamach „13" publikuje również sam Dzielski, stając się wkrótce niekwestionowanym jej liderem, a niebawem redaktorem naczelnym. Nie zaniedbuje przy tym innych sfer działalności, próbując zjednać dla swej idei wszystkie – niezależnie od rodowodu – środowiska i organizacje wolnościowe, z których w przyszłości planował stworzyć, na wzór amerykańskich republikanów, jedną wielką partię polityczną, zdolną oprzeć się omnipotencji PZPR. Swoje idee krzewi przede wszystkim wśród środowisk katolickich, najbardziej otwartych na głoszenie prawdy i dobra. Kontakt z Kościołem owocuje przystąpieniem do Prymasowskiej Rady Społecznej, w której upatrywał jednego z głównych sojuszników.

WIARA, WOLNOŚĆ OSOBISTA, WŁASNOŚĆ

We wrześniu 1987 r. zalegalizowano działalność Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego – namiastki przyszłej organizacji skupiającej kapitalistów i wolnościowców. Warto nadmienić, że z KTP wywodziło się gros członków pierwszego niekomunistycznego rządu, np. Henryk Woźniakowski, dyrektor URM, czy minister przemysłu Tadeusz Syryjczyk.

Daleko lepsze przyjęcie zgotowały Dzielskiemu środowiska amerykańskie, skupione wokół pism „The New York Review of Books" i „Journal of Economic Growth", a ukoronowaniem tej popularności było w 1989 r. zaproszenie przez United States Information Agency (Agencję Informacyjną Stanów Zjednoczonych) żywo zainteresowaną pomysłami powrotu do wolności całego bloku wschodniego, w tym również Polski.

W czasie pobytu w USA Dzielski udzielał wywiadów, wygłaszał odczyty i prowadził cieszące się wielkim wzięciem wykłady. Niestety, pasmo sukcesów przerwane zostało tragiczną wiadomością o nieuleczalnej chorobie tego niezwykle pracowitego człowieka. Wykrytemu w tym czasie nowotworowi nie były w stanie zapobiec nawet najbardziej nowatorskie sposoby leczenia ani świetne zespoły lekarskie najlepszych amerykańskich klinik, z rządową na czele.

Piewca wolnego rynku i chrześcijańskiej miłości bliźniego umarł 15 października 1989 r. w podwaszyngtońskim Bethesda w wieku niespełna 48 lat.

Dwa tygodnie później, 29 października, jego ciało – przywiezione do kraju – spoczęło na cmentarzu Salwatorskim w Krakowie. Koncelebrujący żałobne nabożeństwo dominikanin o. Marek Pieńkowski w ostatnim pożegnaniu przyrównał śp. Mirosława Dzielskiego do Mojżesza – starotestamentowego przewodnika ku ziemi obiecanej. Był to hołd złożony wytrwałości i nieustępliwości zmarłego w drodze ku wypływającej z czystości serca i ducha wierze oraz prawdziwej wolności, dla której – jak pokazał czas – nadal nie ma miejsca w naszej skądinąd „wolnej" ojczyźnie.

Filozofia Mirosława Dzielskiego nie znalazła – oprócz wąskich kręgów – należytego zainteresowania i zrozumienia. Co gorsza, liberalizm stał się słowem wytrychem na określenie zarówno reform ustrojowych i gospodarczych, jak i najgorszych korupcyjnych posunięć polskiego establishmentu. Słowa potępienia padały zarówno z lewej, jak i z prawej strony. Nikt z grona przeciwników nie dopuszczał do siebie myśli, że owe idee łączyły nierozerwalnym węzłem liberalizm z głęboką chrześcijańską wiarą i cywilizacją łacińską, bez których żaden, nawet najlepszy ustrój długo się nie ostoi.

Uważał Dzielski, że istnieją trzy zasadnicze świętości: wiara, wolność osobista i własność. Natomiast – w przeciwieństwie do ugrupowań niepodległościowych – negował nadrzędność wolności politycznej, bo nie sztuką jest wywieszać godła i sztandary, rozdać obywatelom kartki do głosowania, a jednocześnie wydrenować im kieszenie z tego, co posiadają. Socjalistyczny system wymuszeń rozbójniczych, czynionych w majestacie „prawa", prowadzić może jedynie do zguby. Dzielski wskazywał, że nie tędy droga. Twierdził, że w imię wolności i odpowiedzialności jednostki warto czasem zawiesić demokrację, która – jak pokazuje życie – łatwo przeradza się w dyktat większości, a większość nie oznacza od razu słuszności.

W 1996 r. powstało w Krakowie – wzorem Centrum im. Adama Smitha – Centrum im. Mirosława Dzielskiego, stworzone przez jego współpracowników, uczniów i sympatyków – wszystkich, którym bliska jest idea wolności i odpowiedzialności jednostki przed Bogiem i bliźnimi. Dzięki działalności centrum idee promowane przez patrona docierają do coraz szerszych kręgów, a jego eksperci są zapraszani jako opiniodawcy i doradcy w sprawach reform ustrojowych Polski.

Od śmierci Mirosława Dzielskiego mija 36 lat, lecz jego dzieło i myśl polityczna nadal pozostają w sferze projektów. Postulowana przezeń budowa odpowiedzialnego i zamożnego społeczeństwa została unicestwiona przez silne przywiązanie do socjalizmu i państwowego interwencjonizmu tak hołubionego przez wszystkie rządzące od 1989 r. „elity", a pozbawiony godności obywatel sprowadzony do roli pokornego niewolnika płacącego (dla swego dobra oczywiście) haracz w postaci różnorodnych podatków i danin.

Prorynkowa i wolnościowa idea Mojżesza z Krakowa nadal czeka na pełnię realizacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pisarzem, autorem książek: „Dziki Kąt", „Ryngraf", „Na surowej ziemi" i „Najdłuższa droga".

eprasa.pl 5f87de27ee

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

TW „Ksenia”

Jak bardzo najnowsza (ale nie tylko) polska historia została zepsuta i jak przyczyniły się do tego komunistyczne kadry „naukowe”? Warto to pokazać na przykładzie tow. Marii Turlejskiej, uważanej za historyka… wybitnego. Wprawdzie nie natrafiłem nigdy na ślad jej pracy magisterskiej, doktorskiej i habilitację. Ale nic to! Skoro została okrzyknięta jako wybitna, to dla wielu taką się stała. Eo ipso – jak mawiali starożytni. Do jej wielce wątpliwych osiągnięć i kuriozalnych stwierdzeń przyjdzie nam tu jeszcze wielokrotnie wracać, bo to istna skarbnica. Została szczególnie wyróżniona przez samego A. Michnika, a była to przyjaźń bardzo zażyła i głęboka. Już sam jej życiorys jest fascynujący. Została żoną (partyjną?) tow. Jana Turlejskiego, którego Stalin namaścił na swego namiestnika w przyszłej komunistycznej Polsce. Ona zaś miała być w niedalekiej przyszłości „pierwszą damą”. W 1939 r. jednak nie zdołała zbiec w głąb Związku Sowieckiego, pozostała w Warszawie, odnalazła się w środowisku Polskiej Partii Robotniczej. Towarzysz Turlejski zginął w grudniu 1941 r. pod Moskwą w katastrofie lotniczej, z tej racji jego żona stała się osobą „wolną”. Fascynujące jest to, jak komuniści traktowali kobiety! Była przydzielana kolejno różnym towarzyszom do towarzystwa.

Po 1944 r. otrzymała zadanie organizowania „nauki” w Polsce Ludowej. Została m.in. kierowniczką Wydziału Historii Partii KC PPR. Zadanie to: „demaskowanie” II RP, którą wyszydzała, zakłamując jej dzieje. Szczególnie szkodliwe były szkolne podręczniki jej autorstwa. Dziś mogłyby służyć do analiz ówczesnego grafomaństwa. Miała bardzo ścisłe kontakty z wysokimi oficerami MBP, komunistyczną gorliwość przejawiała w licznych donosach na różne osoby i instytucje. W 1949 r. doszło do formalnego werbunku na tajnego współpracownika jako TW „Ksenia”. Prowadził ją ppłk J. Fleischfarb-Światło, a Turlejska mówiła i pisała wszystko, co uważała za ważne. Do dziś zachowało się ok. 100 jej „meldunków” i „doniesień”, które otrzymywali Światło, Różański, Fejgin, Natan Kikiel-Grunszpan (Romkowski). W 1955 r. „Ksenia” została wykluczona z PZPR „za antypartyjne zachowanie”. Była już wówczas „pracownikiem naukowym” Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych, który został przekształcony w Instytut Nauk Społecznych przy KC PZPR, a następnie w… akademię!

Oto próbka jej tfu-rczości: „Za Bug, na tereny Ukrainy i Białorusi, wysyłane były przez polską reakcję zbrojne bandy, które pomagały oddziałom SS w zwalczaniu radzieckiej partyzantki na zapleczu wschodniego frontu”. Prawda, że było to wielce urocze odkrycie? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Stargard – perła Pomorza

W Stargardzie Szczecińskim zachował się unikatowy miejski zespół obronny, którego obwarowania są ewenementem w skali naszego kraju. Przetrwały bowiem do naszych czasów ponad kilometr murów obronnych oraz trzy umocnione bramy miejskie, cztery baszty i dwie basteje.

Stargard otrzymał prawa miejskie 21 czerwca 1243 r. i niebawem stał się jednym z najbogatszych pomorskich miast. Mieszczanie zazdrośnie strzegli swoich przywilejów handlowych, czego dowodem była 10-letnia wojna ze Szczecinem o handel morski.

Pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że oba miasta wchodziły w skład księstwa zachodniopomorskiego, ale był to doskonały dowód potwierdzający słabość książąt zachodniopomorskich z dynastii Gryfitów oraz potęgę samorządów kupieckich. Kres świetności miasta przyniosła seria katastrofalnych pożarów, które miały miejsce w latach 1540–1633, a do tego doszły jeszcze straty w czasach wojny trzydziestoletniej. Wtedy w efekcie walk, rabunków i chorób wyginęło ok. 90 proc. mieszkańców.

O dawnej potędze świadczą trzy zachowane bramy miejskie. Najbardziej efektowną jest Brama Młyńska pochodząca z XV w., która powstała w efekcie połączenia dwóch wież obronnych. Jest to zabytek unikalny w skali europejskiej i jednocześnie jeden z symboli miasta. Przetrwały również baszty miejskie, a największą jest wieża Morze Czerwone o wysokości 34 m. W jej podstawie znajdował się niegdyś loch więzienny, a nazwa pochodzi od krwawej bitwy, która miała miejsce w jej pobliżu podczas wojny trzydziestoletniej. Poza walorami historycznymi budowla jest również typową atrakcją turystyczną, gdyż posiada trzy tarasy otwarte dla zwiedzających, z których rozciąga się fantastyczny widok na miasto i okolicę.

Po wojnie trzydziestoletniej Stargard został włączony w skład Brandenburgii, a potem Królestwa Pruskiego, co nie zapobiegło dalszym klęskom. Miasto zniszczyli Rosjanie podczas wojny siedmioletniej, a potem kilka razy przechodziły przez Stargard wojska napoleońskie. Jak powszechnie bowiem wiadomo, każdy przemarsz wrogiej armii oznaczał katastrofę dla miasta i jego mieszkańców. Ciężkie zniszczenia dotknęły również Stargard podczas drugiej wojny światowej, a Stare Miasto spłonęło niemal doszczętnie i zostało odbudowane dopiero w czasach PRL. Niestety, nie dotyczyło to wszystkich zabytków, dlatego niektóre bramy miejskie, baszty i basteje pozostawiono w stanie ruiny. Władze Polski Ludowej nie przywiązywały bowiem dużej wagi do rekonstrukcji reliktów dawnych epok uznanych za poniemieckie… ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 5f87de27ee

Wojny o „nielegalnych”

Jacek Przybylski

Drakońskie działania podjęte przez administrację Donalda Trumpa w walce z nielegalną imigracją wzbudziły ogromne protesty amerykańskiej lewicy. Sondaże pokazują jednak wprost: większość Amerykanów w tym starciu opowiada się za Trumpem. Potężny cios w politycznej wojnie wyborcy zadali również w ubiegłym tygodniu włoskiej lewicy

Po zatrzymaniu przez agentów Służby Imigracyjnej i Celnej (ICE) ponad 40 nielegalnych imigrantów w Los Angeles wybuchły protesty, które szybko przerodziły się w regularne zamieszki. W ciągu ostatnich dni demonstracje przeciwko akcjom ICE, które rozpoczęły się w Los Angeles, rozprzestrzeniły się również na inne miasta w Stanach Zjednoczonych. Demonstracje przeciwko polityce migracyjnej Donalda Trumpa zorganizowano m.in. w takich miastach jak Austin, Atlanta, Boston, Chicago, Dallas, Denver, Nowy Jork, San Francisco czy Seattle.

NOWY LIDER DEMOKRATÓW?

Prezydent Donald Trump wie jednak, że nie może teraz odpuścić i poluzować cugli, ponieważ jeśli nie dotrzymałby kolejnej ze swych głównych obietnic przedwyborczych (błyskawiczne zakończenie wojny rosyjsko-ukraińskiej jest już niestety niewykonalne), to Partia Republikańska z kretesem przegrałaby przyszłoroczne wybory połówkowe. I to mimo że zagubieni demokraci nie znaleźli jeszcze nawet nowego lidera, który mógłby próbować wydobyć ich z politycznych tarapatów. Rozczarowani Amerykanie mogliby bowiem głosować „przeciwko”, a nie „za”.

Na szczęście dla Partii Republikańskiej rządzący w Kalifornii demokraci nie zdołali zachować kontroli nad narracją o pokojowej ochronie nieudokumentowanych migrantów. Rozwścieczeni protestujący z dnia na dzień stawali się coraz bardziej agresywni. Mrożące krew w żyłach sceny aktów przemocy, wandalizmu (podpalone radiowozy oraz samochody zwykłych Amerykanów) oraz kradzieży (tylko w jeden poniedziałkowy wieczór, wyłącz-

eprasa.pl 5f87de27ee

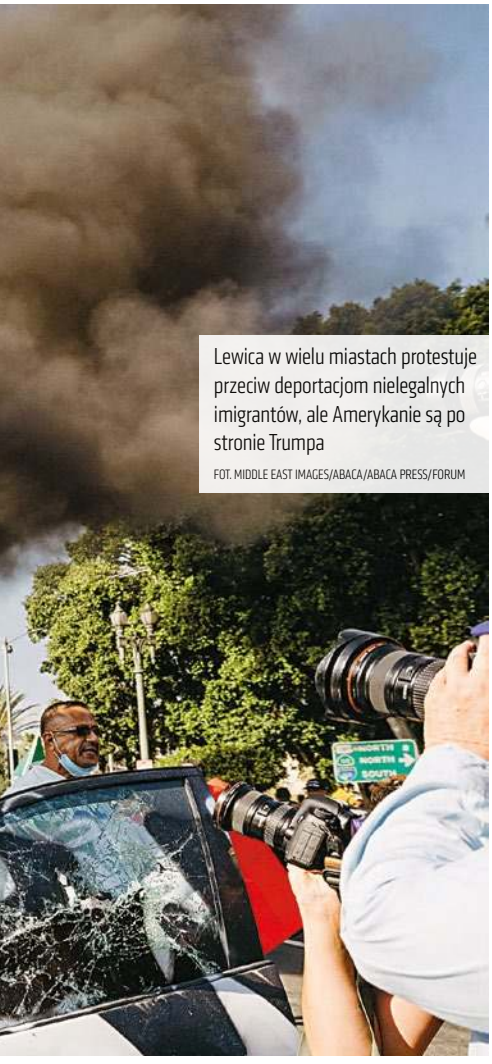

Lewica w wielu miastach protestuje przeciw deportacjom nielegalnych imigrantów, ale Amerykanie są po stronie Trumpa

FOT. MIDDLE EAST IMAGES/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

nie w Los Angeles, splądrowano ok. 30 sklepów) sprawiły, że Donald Trump zdecydował się ominąć władzę gubernatora Kalifornii z Partii Demokratycznej Gavina Newsoma i nakazać 4 tys. członkom Gwardii Narodowej przywrócenie porządku na ulicach. To pierwszy przypadek użycia Gwardii Narodowej bez zgody gubernatora od sześciu dekad! Do walki z demonstrantami w Los Angeles Donald Trump skierował również 700 żołnierzy marines.

Efekty zdecydowanych działań służb bezpieczeństwa widać od razu w statystykach. W sobotę aresztowano 27 osób, w niedzielę 40, w poniedziałek 114, a we wtorek już 197. Do opanowania protestujących, którzy w stronę służb bezpieczeństwa rzucali butelki, kamienie oraz petardy, użyto nie tylko tarcz i pałek, lecz także gazu łzawiącego, gumowych kul oraz granatów błyskowych. – To nie jest rebelia – grzmiała na konferencji prasowej burmistrz Los Angeles Karen Bass, stanowczo protestując przeciw decyzji Trumpa o użyciu wojska na ulicach rządzonego przez nią miasta. Jednocześnie sama ogłosiła obowiązującą od 20 do 6 godzinę policyjną w centrum Miasta Aniołów.

Zupełnie inaczej postąpił burmistrz Nowego Jorku (również z ramienia Partii Demokratycznej). Eric Adams mimo protestów nie spodziewa się interwencji Gwardii Narodowej na ulicach swego miasta, ponieważ… od kilku miesięcy popiera prezydencką politykę migracyjną (a także decyzję Trumpa o ogłoszeniu wojny celnej). – Wszystkim tym, którzy mówią: „Po prostu walcz z nim, stawiaj opór, stawiaj opór", odpowiadam: nie jestem częścią ruchu oporu, jestem częścią ruchu producentów – tłumaczył Eric Adams jeszcze w kwietniu. Po wybuchu gwałtownych protestów przeciw ICE ogłosił zaś wprost, że nowojorskie służby bezpieczeństwa nie będą tolerować żadnych aktów przemocy. – Rozumiem, że niektórzy nowojorczycy mogą być wściekli, przestraszeni i chcą to wyrazić. Nowy Jork zawsze będzie miejscem, gdzie można urządzać pokojowe protesty, ale nie pozwolimy na przemoc i bezprawie – ogłosił.

Nie jest wykluczone, że gorący spór o migrantów pozwoli Partii Demokratycznej znaleźć nowego lidera, który potrafi porwać za sobą tłumy. Na idola lewicowych internautów na TikToku (a także ich rodziców na Facebooku) wyrósł w ostatnich dniach gubernator Kalifornii Gavin Newsom, który publicznie obiecuje nieudokumentowanym imigrantom ochronę przed amerykańskimi służbami imigracyjnymi, a także przekonuje, że decyzja Trumpa o wysłaniu wojska na ulice Los Angeles uderza w amerykańską demokrację, narusza prawo federalne i uderza w suwerenność Kalifornii. Kierowany przez Newsoma stan wytoczył również prawne działa przeciw Białemu Domowi. Stanowi prawnicy pozwali więc administrację Trumpa za „nielegalne" i „niemoralne" działania, przekonując, że prezydent, owszem, ma prawo wysłać Gwardię Narodową, ale tylko w szczególnych sytuacjach, takich jak rebelia, inwazja ze strony innego państwa czy niemożność egzekwowania prawa przez regularne siły federalne.

– Gdybyśmy tam nie wkroczyli, to to miejsce by spłonęło – odpiera zarzuty Newsoma prezydent Donald Trump, oskarżając Newsoma o to, że niszczy jeden z najlepszych amerykańskich stanów, i ostrzegając, że gdyby nie szybka reakcja Białego Domu, chaos mógłby nabrać rozmiarów „wojny domowej". Gospodarz Białego Domu swoich zwyczajem zdążył też nadać gubernatorowi Kalifornii własny przydomek – Trump zamiast Newsom nazywa swego oponenta Newscum („scum" to po angielsku „szumowina").

Kogo w tym sporze popiera opinia publiczna „kraju imigrantów"? Postawę większości wobec najnowszej odsłony amerykańskiej wojny imigracyjnej widać jednoznacznie po wynikach ubiegłotygodniowych sondaży: tę batalię zdecydowanie wygrywa Trump. Tylko jedna trzecia Amerykanów popiera protesty w Los Angeles przeciwko obławom ICE, a 45 proc. jest im przeciwne – wynika z sondażu YouGov. Badania opinii publicznej pokazują, że nawet wśród Latynosów mieszkających w USA więcej jest przeciwników antyprezydenckich protestów w Los Angeles niż ich zwolenników. Również przebitki demonstrantów palących flagę Stanów Zjednoczonych nie przysparzały zwolenników przeciwnikom fali masowych aresztowań nielegalnych imigrantów. Na obrazki z płonącą flagą błyskawicznie zareagował więc prezydent Donald Trump, który powrócił do swojego pomysłu z czasów kampanii wyborczej, aby spalenie amerykańskiej flagi uznać za przestępstwo zagrożone karą jednego roku więzienia.

PRAWO WOJENNE

Wprawdzie nawet za rządów demokratycznego prezydenta Baracka Obamy przeprowadzano wiele deportacji nielegalnych imigrantów, jednak obiecana wyborcom antyimigrancka ofensywa Donalda Trumpa jest zakrojona na dużo większą skalę. Wyborcom republikanów podobać może się również prezydencka polityka „najpierw najgorsi" („worst first") – dzięki niej wiadomościom o kolejnych samolotach pełnych deportowanych imigrantów towarzyszą informacje, ilu na pokładzie było kryminalistów, w tym morderców, gwałcicieli oraz członków gangów. „Radykalni lewicowi szaleńcy wyszli na ulice Los Angeles – atakując funkcjonariuszy organów ścigania, rzucając pociskami w radiowozy, podpalając pojazdy i zamykając autostrady – ponieważ administracja Trumpa

eprasa.pl 5f87de27ee

usuwa z ich społeczności agresywnych przestępców i nielegalnych imigrantów" – czytamy w ubiegłotygodniowym oświadczeniu na oficjalnej stronie Białego Domu. Do ogłoszenia dołączono zdjęcia, imiona i nazwiska, a także informacje o narodowości deportowanych mężczyzn, którzy byli wcześniej skazani m.in. za morderstwa, gwałty, molestowanie dzieci, napaści, włamania, kradzieże, przestępstwa narkotykowe. A także za jazdę pod wpływem alkoholu lub napaść na oficera podczas zamieszek.

RYZYKOWNA GRA

Gdy więc demokratyczni politycy grzmią, że kolejne akcje ICE prowadzą do eskalacji napięć, i wzywają do natychmiastowego wstrzymania obław na imigrantów, Trump i członkowie jego administracji bez mrugnięcia okiem idą za ciosem. Biały Dom mniej lub bardziej jawnie lekceważy przy tym postanowienia sędziów, co może oznaczać dla urzędników zarzuty dotyczące przestępstwa obrazy sądu. Pod koniec maja sąd orzekł, że członkowie administracji Trumpa „bez wątpienia" naruszyli postanowienie sądu, kierując siedmiu mężczyzn na pokład samolotu deportacyjnego zmierzającego do Sudanu Południowego. Podobnych spraw, w których urzędnicy próbowali ominąć lub po prostu jawnie zignorowali postanowienia sądowe blokujące niektóre postawienia dotyczące deportacji, jest już co najmniej kilka. Ekipa Trumpa jest też krytykowana przez wielu sędziów za naruszanie praw migrantów do sprawiedliwego procesu. Trzeba jednak zaznaczyć, że 7 kwietnia 2025 r. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych zezwolił Donaldowi Trumpowi na wykorzystanie do masowych deportacji prawa wojennego z końca XVIII w. Ustanowiona dokładnie w roku 1798 Ustawa o Obcych Nieprzyjaciołach (Alien Enemies Act) pozwala prezydentowi na dokonanie zatrzymań i deportacji osób ze względu na ich narodowość lub obywatelstwo, gdy mogą stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego). Prawo to wykorzystywano wcześniej w czasie wojen, ostatnio podczas drugiej wojny światowej, aby internować uznanych za wrogich imigrantów z Japonii, Niemiec czy Włoch. Kwietniowy wyrok zapadł więc stosunkiem głosów 5:4. Mimo to Donald Trump może zgodnie z prawdą powiedzieć, że na realizację jednej z głównych wyborczych obietnic dostał zielone światło od przedstawicieli naczelnego organu władzy sądowniczej w USA.

I chociaż to głównie propagandowe tłumaczenia (Bloomberg ujawnił np., że ok. 90 proc. migrantów deportowanych do Salwadoru, których ekipa Trumpa przedstawiała jako osoby powiązane z gangiem Tren de Aragua – i dlatego deportowano ich na podstawie prawa wojennego – nie miało na terenie USA żadnej kryminalnej kartoteki), to odnoszą pożądany przez prezydenta skutek.

W kampanii Donald Trump obiecywał, że jako prezydent deportuje „wszystkich nielegalnych imigrantów", więc akcje służb prowadzone są na bardzo dużą skalę i uderzają nie tylko w kryminalistów. W ubiegłym tygodniu zamaskowani agenci ICE przeprowadzili m.in. naloty w poszukiwaniu nielegalnych imigrantów na zakłady przetwórstwa mięsnego w Nebrasce (aresztowano co najmniej 80 osób) oraz na polach uprawnych Kalifornii (każda z obław skutkowała co najmniej kilkunastoma aresztowaniami). To oczywiście tylko wierzchołek góry lodowej. W ciągu pierwszych stu dni prezydentury Trumpa agenci ICE aresztowali ponad 66 tys. osób. Średnio dziennie aresztowano więc 660 osób. Jeden z głównych doradców prezydenta Trumpa – Stephen Miller – powiedział jednak szefom ICE (których ekipa obecnego gospodarza Białego Domu zdążyła już w tym roku wymienić trzykrotnie), że ich celem powinno być aresztowanie średnio 3 tys. osób dziennie, czyli miliona nielegalnych imigrantów rocznie.

Czy ten cel jest wykonalny? Liczbę nielegalnych imigrantów szacuje się na kilkanaście milionów osób. Próba aresztowania miliona osób rocznie oznacza jednak, że Biały Dom rozpoczął bardzo ryzykowną grę nie tylko z punktu widzenia polityki, lecz także opartą na imigrantach amerykańskiej gospodarki. Od dekad wiadomo, że ogromną część pracowników amerykańskiego przemysłu spożywczego stanowią nielegalni migranci z krajów Ameryki Łacińskiej. Kłopot w tym, że Kalifornia jest spichlerzem Ameryki (stąd pochodzi ok. połowy warzyw i owoców konsumowanych w USA). Nielegalni imigranci zaś nie dość, że pracują na polach uprawnych, to jeszcze stanowią dużą część siły roboczej odpowiedzialnej za przetwórstwo żywności (i ogromną część obsady kuchni w wielu amerykańskich restauracjach). Przed laty jako korespondent w USA miałem okazję rozmawiać z wieloma przedstawicielami tych biznesów, którzy przekonywali, że na kiepsko opłacane posady zajmowane przez nielegalnych imigrantów bardzo trudno byłoby im znaleźć legalnego Amerykanina. Wielu przedsiębiorców podobnych argumentów używa również dzisiaj, przekonując, że jeśli obławy będą kontynuowane na masową skalę, to ich konsekwencją może być wzrost cen, a nawet puste półki w działach spożywczych amerykańskich sklepów.

SPÓR O OBYWATELSTWO

Zarówno w Ameryce, jak i w Europie toczy się również polityczna walka o prawo przybyszów do uzyskania obywatelstwa. Donald Trump walczy o to, aby odmawiać stosowania tzw. prawa ziemi, czyli uznania obywatelstwa dzieci urodzonych w USA, jeżeli ich matki przebywają w USA nielegalnie, a ich ojcowie nie byli obywatelami ani stałymi rezydentami Stanów Zjednoczonych. Zarządzenie wydane pierwszego dnia urzędowania Trumpa przez wielu prawników uznawane jest za sprzeczne z 14. Poprawką do Konstytucji USA. Po wielu tygodniach oczekiwania sprawą zajął się wreszcie w maju Sąd Najwyższy. Sędziowie, którzy wydają się w tej sprawie podzieleni, wysłuchali już argumentów stron. Termin wydania ostatecznego orzeczenia nie jest jeszcze znany.

Znane są już za to wyniki dwudniowego referendum we Włoszech, które dotyczyło m.in. skróceniea o połowę okresu oczekiwania na rozpoczęcie procedury naturalizacji (z 10 do 5 lat legalnej rezydencji). Gdyby Włosi masowo poszli do urn i zagłosowali za tym pomysłem, to ponad 1,5 mln osób mieszkających obecnie w Italii bez obywatelstwa zyskałoby prawo do ubiegania się o naturalizację. Rządząca koalicja kolejny raz upokorzyła jednak opozycyjną lewicę. Do urn poszło niecałe 30 proc. uprawnionych (a wymagana jest połowa plus jeden), z czego aż 35 proc. oddało głos przeciwko skróceniu okresu potrzebnego do starania się o włoski paszport. Dla premier Giorgi Meloni to ważny sukces, który istotnie zwiększa jej szanse na kolejną kadencję na stanowisku szefa rządu i kontynuację transatlantyckiego sojuszu z Donaldem Trumpem.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

FOT. JAM PRESS

NIETYPOWY ŚPIOCH

Na międzynarodowym lotnisku w Hongkongu pewien człowiek uciął sobie drzemkę. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że... położył się na taśmie bagażowej. Nie wiadomo, czy dlatego, że poczuł się słabo, czy z przemęczenia. Obserwatorzy zdarzenia byli skonsternowani, ale mu nie przerywali snu. Mężczyzna leżał w pozycji embrionalnej, na plecach zaś miał plecak. Warunki snu nie były dla niego komfortowe, więc co jakiś czas zmieniał pozycję.

NA GAZIE

Na ulicach Londynu zauważono podejrzanie zachowującego się kierowcę toyoty. Mężczyzna zasłaniał twarz ręką, zza której wystawał niebieski balon. Był on połączony z pojemnikiem znajdującym się na kolanach kierowcy. Okazało się, że mężczyzna wdychał gaz rozweselający – substancję, której posiadanie w Wielkiej Brytanii jest nielegalne, ponieważ uchodzi za narkotyk. Kiedy jeden ze świadków zdarzenia nakręcił tę scenę i zagroził kierowcy, że wezwie policję, tamten w popłochu odjechał.

POBUDKA W TRUMNIE

Takie sytuacje obrosły już wręcz legendami. W Czechach 88-letnia kobieta, którą uznano za zmarłą, obudziła się, gdy przełożono ją do trumny. A zaczęło się od tego, że straciła przytomność. Kiedy mąż wezwał ratowników medycznych, ci orzekli jej zgon. Następnie ich orzeczenie zatwierdził lekarz. Ostatecznie, gdy kobieta się w trumnie obudziła, przewieziono ją do szpitala.

TRZY ZAMIAST JEDNEJ

W jednym ze sklepów amerykańskiej sieci Walmart klient, korzystając z samoobsługowej kasy, pomylił się przy wpisywaniu liczby awokado, które chciał kupić. Zamiast jednej dziewiątki wpisał trzy dziewiątki. Jego rachunek wzrósł do 1,3 tys. dol. Oskarżył więc sklep o kradzież i wezwał policję. Pracownicy placówki handlowej próbowali sytuację wyjaśnić i mężczyznę uspokoić. Nic to nie dało. Klient zażądał od sklepu odszkodowania za stres. W efekcie został przez policję aresztowany.

SZTUCZNY BRZUCH

W kolumbijskim mieście Cali przyłapano 27-letnią kobietę na posiadaniu narkotyków. Udawała ona, że jest w ciąży. Zakazany towar ukryła w lateksowym pojemniku, który miała pod ubraniem na brzuchu. Policja zarekwirowała 5,6 tys. dawek kokainy. Jak podają media, „sztuczne brzuchy" to jeden z powszechnych środków transportu narkotyków w Kolumbii. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Złoto lepsze niż euro

Złoto wyprzedziło euro i oficjalnie zajęło już drugie miejsce na podium aktywów rezerwowych banków centralnych. W niepewnych geopolitycznie czasach bankierzy centralni chętnie kupują królewski kruszec, który – jak podał w ubiegłym tygodniu Europejski Bank Centralny – stanowił już w 2024 r. ok. 20 proc. światowych rezerw (euro ok. 16 proc., a amerykański dolar ok. 46 proc.).

Banki centralne tylko w 2024 r. kupiły ponad tysiąc ton złota i był to już trzeci rok z rzędu z zakupami na tak dużą skalę. Innymi słowy: bankierzy centralni wykupili mniej więcej 20 proc. światowej produkcji tego surowca. Łączne zapasy królewskiego kruszcu w skarbcach banków centralnych wynoszą już aż 36 tys. ton. To niemal historyczny rekord.

Jednocześnie na rynkach kurs złota bije rekord za rekordem, co cieszy tych, którzy kupili już choćby sztabeczkę. Chętnych do zakupów jest wielu, a ten rok może być nad Wisłą rekordowy pod względem zakupów złota w celach inwestycyjnych. Jest też dobra wiadomość nawet dla tych Polaków, którzy sami nie mają ani złotych sztabek, ani złotych monet, ani jednostek „złotych" funduszy inwestycyjnych. Otóż prezes NBP Adam Glapiński dotrzymał obietnicy i zdołał istotnie zwiększyć polskie zasoby złota. Na tyle istotnie, że mamy go już 509,3 tony, a ich udział w polskich rezerwach sięga 22 proc.

Od kilku tygodni Polska ma już zaś więcej królewskiego kruszcu, niż wynoszą zasoby Europejskiego Banku Centralnego. W „złotym" rankingu banków centralnych NBP zajmuje już zaś 12. miejsce. I jest to poważny argument w razie konieczności obrony wartości polskiego złotego. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

Maciej Pieczyński

Oficjalnym celem „specoperacji" była „denazyfikacja" Ukrainy. Tymczasem to w szeregach armii Putina walczą neonaziści, co zresztą spotyka się z krytyką innych Z-patriotów

Symbole „Rusicza" to czarno-żółto-biała flaga Imperium Rosyjskiego, kołowrat, czyli słowiańsko-pogański symbol solarny przypominający swastykę, oraz skandynawskie runy FOT. DSHRG RUSICH/VK.COM

Rosja brunatna

Rosyjscy żołnierze z uśmiechami na twarzach rozstrzeliwują ukraińskich jeńców. Potem robią to samo z cywilami. Rodzice giną od kul, matka wcześniej zostaje zgwałcona, krew tryska na zdjęcie rodzinne w ramce przy łóżku. Porwane dzieci odjeżdżają wojskową ciężarówką z namalowaną wielką literą „Z". W tylnej szybie widać odbicie płomieni – ograbiony dom najeźdźcy puścili z dymem. Na ekranie pojawia się napis po angielsku: „Dołącz do armii rosyjskiej". To oczywiście parodia w służbie propagandy wojennej – krótki filmik nagrany przez Ukraińców, żeby w sarkastycznej formie pokazać zbrodniczy charakter sił zbrojnych agresora.

Tymczasem w rosyjskich okopach znaleźli się tacy, którzy nie dość, że nie poczuli się urażeni, to jeszcze byli wręcz połechtani tego rodzaju krytyką. „Właśnie tak powinna wyglądać reklama służby kontraktowej w Siłach Zbrojnych" – tymi słowami na portalu społecznościowym Telegram do ukraińskiego filmiku odniosło się konto Grupy Rozpoznania Sabotażowo-Szturmowego „Rusicz". Jest to neonazistowska bojówka walcząca w szeregach armii rosyjskiej z Ukrainą od 2014 r.

BEZKARNI NEONAZIŚCI

„Rusicz" należy do radykalnych środowisk prowojennych, którym Kreml pozwala na więcej niż innym. Podobną rolę przed buntem Prigożyna odgrywała Grupa Wagnera. Jej dowódca Dmitrij Utkin słynął z nazistowskich tatuaży. Wagnerowcy opublikowali swego czasu nagranie z krwawej egzekucji dezertera, któremu rozbito głowę młotem kowalskim. Później narzędzie zbrodni dostał w prezencie, z autografem Prigożyna, lider partii Sprawiedliwa Rosja, Siergiej Mironow.

Niemniej aprobata dla mordowania jeńców i cywilów ze strony „Rusicza" wywołała falę oburzenia wśród Z-blogerów, reprezentujących „główny nurt" prowojennej opinii publicznej. Aleksandr „Razwiedos" Arutiunow nazwał wpis grupy na Telegramie „dyskredytacją obrazu Żołnierza-Wyzwoliciela", za którą neonaziści powinni ponieść odpowiedzialność karną. Z-patrioci w licznych komentarzach w Internecie argumentowali, że jeśli żołnierze rosyjscy będą dokonywać zbrodni wojennych i jeszcze je pochwalać, to niczym nie będą się różnić od „Azowa". Padały retoryczne pytania w stylu: „Wyzwalamy Ukrainę od neonazistów, a sami kim jesteśmy?".

Obrońcy „Rusicza" przekonywali, że zabijanie cywilów czy jeńców to normalna praktyka na froncie, której nie zrozumie ktoś, kto nigdy nie był w okopie. „Jakoś ja walczę, moi towarzysze broni walczą i nie znam nikogo, komu do głowy przyszłoby wybielanie zbrodni" – odpowiedział na tego typu głosy jeden z prowojennych blogerów, cytowany przez „Razwiedosa". Oczywiście krytycy neonazistów kierują się nie tyle humanitaryzmem czy współczuciem dla ofiar, ile racjonalną potrzebą utrzymania spójnego i pozytywnego wizerunku armii rosyjskiej.

Tak czy inaczej, neonaziści z „Rusicza" nieszczególnie przejęli się krytyką. „Zdanie tyłowych specjalistów nas nie interesuje" – tak skomentowali wpis „Razwiedosa", sugerując jednocześnie, że służby nie powinny ścigać ich, tylko atakującego ich Z-blogera za zażywanie narkotyków. Neonaziści nie po raz pierwszy okazali się bezkarni. W czerwcu 2022 r. deputowany do Dumy z partii Sprawiedliwa Rosja Anatolij Wasserman poinformował Komitet Śledczy, że bojówkarze mogli dopuścić się zbrodni wojennych na Donbasie. Bez skutku. W marcu 2025 r. sąd w Finlandii skazał byłego członka „Rusicza" Jana Pietrowskiego na dożywocie za zbrodnie wojenne na Ukrainie (wsławił się fotografiami na tle poległych żołnierzy ukraińskich). Gdy kilka miesięcy wcześniej Pietrowski został zatrzymany, jego sprawę skomentowała redaktor naczelna wpływowego prokremlowskiego portalu Regnum, Marina Achmiedowa. Wyraziła żal z powodu kłopotów obywatela Rosji, ale jednocześnie skrytykowała grupę „Rusicz". Po pierwsze za to, że jej członkowie grozili, iż nie będą walczyć dopóty, dopóki Pietrowski nie zostanie uwolniony. A po drugie – za publiczne przyznawanie się do nazistowskich poglądów. Oskarżyła ich o szantażowanie władz Rosji. Zapewniła też, że potępia

eprasa.pl 5f87de27ee

nazizm zarówno ukraiński, jak i rosyjski. W odpowiedzi dowódca „Rusicza" zagroził Achmiedowej pozwem o dyskredytację armii. Dziennikarka zamilkła.

Kilka miesięcy temu założyciel organizacji Ruch Narodowowyzwoleńczy (NOD) i zarazem parlamentarzysta Jednej Rosji, Jewgienij Fiodorow, nazwał nacjonalistów „wrogami wielonarodowego państwa rosyjskiego". W odpowiedzi bojówkarze „Rusicza" publicznie oświadczyli, że mogą Fiodorowa „zarżnąć jak psa" i żadna kara ich za to nie spotka. Deputowany oskarżył neonazistów o współpracę z amerykańskimi służbami, ale na same groźby nie odpowiedział.

OKRUTNI FANATYCY

Założycielem „Rusicza" jest Aleksiej Milczakow. Rocznik 1991. Jako nastolatek zaczął działać w neonazistowskiej organizacji Związek Słowiański. Był też pseudokibicem Zenita Sankt-Petersburg. Sławę – i to od razu wątpliwą – zdobył w wieku 20 lat. Opublikował wówczas na portalu społecznościowym vKontakte zdjęcia ilustrujące, jak zabija szczeniaka, odcina mu głowę i zjada jego mięso. Pomimo ogromnego społecznego oburzenia w tej sprawie nawet nie wszczęto śledztwa. Później Milczakow wzywał do fizycznej likwidacji bezdomnych, dzieci i zwierząt. Pozował do zdjęć z flagą III Rzeszy.

W latach 2012–2013 służył w wojskach powietrznodesantowych. W 2014 r. pojechał na Donbas, żeby walczyć po stronie separatystów – już jako dowódca Grupy Rozpoznania Sabotażowo-Szturmowego „Rusicz". Według mediów początki bojówki sięgają 2009 r., kiedy Milczakow miał założyć wraz z kolegami paramilitarną bazę szkoleniową. Symbole „Rusicza" to popularna w kręgach nacjonalistycznych i rasistowskich czarno-żółto-biała flaga Imperium Rosyjskiego, kołowrat, czyli słowiańsko-pogański symbol solarny przypominający swastykę, oraz skandynawskie runy. Podobnie jak Ukraińcy z ruchu azowskiego (nie mylić z samą brygadą „Azow", która z tego ruchu wyrosła, ale już dawno się ucywilizowała) ludzie Milczakowa łączą neopogaństwo, rasizm, szowinizm i kult siły. Inaczej jednak niż „azowcy" otwarcie przyznają się zarówno do brunatnych poglądów, jak i do zbrodni wojennych. Założyciel „Rusicza" wiele razy publicznie nazywał siebie nazistą.

Na Donbasie do „Rusicza" dołączył wspomniany już Jan Pietrowski, który wcześniej przez kilka lat mieszkał w Norwegii, gdzie związał się z tamtejszymi neonazistami. Wspólnie przeprowadzili wiele akcji dywersyjnych na tyłach Ukraińców. Najbardziej spektakularną z nich była udana zasadzka na batalion ochotniczy „Ajdar". Wziętych do niewoli Ukraińców torturowano i zabijano. Milczakow fotografował się na tle poległych, ucinał im też uszy. Bojówkarze nagrali przesłuchanie rannego Iwana Isyka. Jeniec miał na policzku nożem wycięty kołowrat. Potem trafił do szpitala w Ługańsku, skąd został porwany znów przez tych samych dywersantów, oblany łatwopalną substancją i podpalony. Sekcja zwłok (przeprowadzona przez Ukraińców, po odzyskaniu ciała z rąk separatystów) wykazała, że Isykowi usunięto organy wewnętrzne, by je potem z powrotem zaszyć w ciele.

„Rusicz" zamieścił „ogłoszenie", prosząc kolegów z innych oddziałów, aby im dostarczyli jeńca ukraińskiego w celu złożenia go w ofierze bogom słowiańskim

Walki na Donbasie grupa zakończyła w 2015 r., by wrócić na front ukraiński po pełnoskalowej agresji. Ponownie wyróżnili się wyjątkowym okrucieństwem. Z dumą przyznawali się do mordowania jeńców. Wiosną 2023 r. opublikowali nagranie, na którym jeden z bojówkarzy ucina głowę ukraińskiemu żołnierzowi. Film opatrzyli opisem: „Popatrzcie, ile takich nagrań stopniowo będzie wypływać". Już kilka miesięcy po rozpoczęciu inwazji „Rusicz" na Telegramie zaproponował własną wersję „rozwiązania kwestii ukraińskiej" (na marginesie warto dodać, że książka Jegora Proswirina pod takim, budzącym jednoznaczne skojarzenia tytułem pod koniec czerwca ukaże się nakładem nacjonalistycznego wydawnictwa Czarna Sotnia).

Warto zacytować: „W ogóle to uważamy, że cała, przede wszystkim niebiała ludność Ukrainy (żeńska od 10., męska od 5. roku życia) powinna zostać zlikwidowana (część drogą eksperymentów medycznych). Pozostali przy życiu chłopcy powinni zostać wychowani jako janczarzy w służbie armii rosyjskiej". Dziewczynki natomiast powinny być pozbawione praw obywatelskich (tak, by nie można było ich „jedynie" torturować, zabijać i sprzedawać; za to ich dzieci miałyby mieć już pełnię praw) i oddane żołnierzom rosyjskim (etnicznym Rosjanom) po dwie–trzy sztuki dla jednego. „Ciapate" (dziewczynki) można oddać też żołnierzom rosyjskim nierosyjskiego pochodzenia, ale tylko zasłużonym na polu walki.

Z kolei w sierpniu 2024 r. „Rusicz" zamieścił oryginalne „ogłoszenie" na Telegramie, prosząc kolegów z innych oddziałów, aby im dostarczyli jednego jeńca ukraińskiego, przy czym „najlepiej, żeby to nie był czysty Słowianin, tylko podpalany – Tatar krymski albo coś w tym rodzaju" – w celu złożenia go w ofierze bogom słowiańskim w intencji powodzenia na froncie. Wpis wywołał oburzenie – krymski deputowany do Dumy Michaił Szeriemiet groził neonazistom policją, ale – jak zwykle – włos im z głowy nie spadł. W państwie Putina brunatni ekstremiści są naprawdę nietykalni.

HANDLARZE ZWŁOKAMI

Liczebność bojówki szacowana jest na kilkaset osób. Co istotne, „Rusicz" jest organizacją nieformalną. Oficjalnie nie wchodzi w skład rosyjskich sił zbrojnych. Nie jest to nawet prywatna firma wojskowa. Nie są więc finansowani ani przez władze rosyjskie, ani przez prokremlowskich oligarchów. Zarabiają na życie samodzielnie na kilka różnych sposobów. Sprzęt i wyposażenie kupują dzięki internetowym wpłatom od swoich sympatyków. Są też zdolnymi hakerami – okradają wroga z kryptowalut, włamując się na strony internetowe przeznaczone do zbierania środków na potrzeby Sił Zbrojnych Ukrainy. Ponadto zarabiają na handlu ciałami zabitych jeńców. Najpierw zabijają wziętego do niewoli ukraińskiego żołnierza. Potem jego zdjęcie wysyłają rodzinie i wyłudzają pieniądze za zwrot ciała. Nie tylko tego nie ukrywają, lecz także publicznie, w mediach społecznościowych, namawiają innych żołnierzy rosyjskich, aby robili to samo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

Demonstracja syryjskich Kurdów z flagami z wizerunkiem lidera PKK Abdullaha Öcalana FOT. ORHAN QEREMAN/REUTERS/FORUM

Kurdystan: pokój pełen niewiadomych

Teresa Stylińska

Czy jest możliwe, by po kilkudziesięciu latach nieustającej wojny zapanował pokój między Turcją i separatystami kurdyjskimi?

Robotnicza Partia Kurdystanu – PKK, która od ponad 40 lat prowadzi walkę zbrojną z państwem tureckim, na początku maja ogłosiła, że jest gotowa złożyć broń, definitywnie zakończyć działalność i dokonać samorozwiązania. Brzmi to optymistycznie – pod warunkiem że jest realne. A czy jest? Na takie pytanie trudno jest odpowiedzieć. To przecież nie pierwsze przymiarki do zaprowadzenia pokoju w tureckim Kurdystanie. Nie raz już i nie dwa ogłaszano zawieszenie broni, wspólne szukanie rozwiązania kwestii kurdyjskiej i położenie kresu wojnie. Nigdy jednak to się nie udało. Zawieszenie broni z 2013 r., z którym wiązano naprawdę duże nadzieje, przetrwało tylko kilkanaście miesięcy.

Realizm nakazuje ostrożność. Nie przypadkiem deklaracja złożona przez przywódców PKK przeszła na świecie bez większego echa. Dwadzieścia lat temu takie sensacyjne zapowiedzi wszędzie znalazłyby się na czołówkach gazet i serwisów informacyjnych. Teraz nie. Owszem, media je odnotowały, znawcy tematu, nie zwlekając, zajęli się analizowaniem możliwych skutków, światowi politycy zaś pochwalili jako historyczny krok na drodze do stabilizacji w trudnym regionie. Ton wypowiedzi był jednak wstrzemięźliwy. Nie nastąpił wybuch zbiorowego entuzjazmu połączonego z nadzieją, że pokój w Kurdystanie jest na wyciągnięcie ręki.

Tym bardziej że choć minął miesiąc, niczego konkretnego nadal nie wiadomo. Ani tego, kiedy mogłoby dojść do formalnego zawieszenia broni i w jakich okolicznościach: gdzie, w jakiej formie, z czyją pomocą. Ani tego, czy – i jak – przeprowadzone zostanie rozbrojenie oddziałów PKK. Nie wiadomo też, jaka przyszłość czeka kurdyjskich partyzantów, gdy już opuszczą swe bazy i kryjówki, zejdą z gór i będą chcieli wrócić do normalnego życia. Nie wiadomo też nic o warunkach: czego oczekują bojownicy PKK, a co może zaoferować im Turcja.

INSPIRACJA Z WIĘZIENIA

Mimo wszystko to i owo wiadomo. Po pierwsze: jak doszło do tego, że PKK wyraziła gotowość przerwania walki i zawarcia porozumienia z Turkami. Po drugie: dlaczego władzom tureckim, szczególnie prezydentowi Recepowi Tayyipowi Erdoganowi, może na tym bardzo zależeć.

Trzeba powiedzieć, że sprawy rozwijały się wolno i w sposób zaskakujący. Jest październik 2024 r. Devlet Bahçeli, lider Partii Ruchu Narodowego (MHP), która rządzi w koalicji z Erdoganowską Partią Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), występuje z pewną propozycją. Sugeruje, że Abdullah Öcalan, założyciel i przywódca PKK, mógłby wyjść na wolność, gdyby publicznie i oficjalnie ogłosił jej rozwiązanie, a tym samym koniec wojny z Turcją.

Zaskoczenie jest duże. Bahçeli stoi na czele ugrupowania nacjonalistycznego, bardzo nieprzychylnego aspiracjom kurdyjskim. Jak to możliwe, że właśnie on uchyla furtkę do ewentualnego pokoju z Kurdami? Jest mało prawdopodobne, by mógł działać na własną rękę. To raczej sygnał, jakie są zamiary prezydenta.

Wkrótce potem grupa deputowanych prokurdyjskiej partii Równość i Demokracja – DEM – udaje się na wysepkę Imrali na Morzu Marmara, by spotkać się

eprasa.pl 5f87de27ee

z Öcalanem, jedynym więźniem tamtejszego więzienia, w 1999 r. skazanym na dożywocie za działalność terrorystyczną i dążenie do rozbicia Turcji. Organizacją trudno kierować zza więziennych murów, nie ma to jednak znaczenia dla pozycji Öcalana w PKK. Bez jego zgody nic się nie da zrobić.

Nie wiadomo, jak przebiegały rozmowy Öcalana z politykami DEM, jakich użyto argumentów i co zaproponowały mu władze. Czy rzeczywiście – o co skądinąd DEM od dawna zabiega – obiecano mu zwolnienie lub przynajmniej złagodzenie warunków odbywania kary? Tak czy inaczej, rozmowy przynoszą oczekiwany skutek. Pod koniec lutego przedstawiciele DEM odczytują publicznie – w dwóch językach: po turecku i po kurdyjsku – list, w którym Öcalan wzywa kierownictwo PKK do zakończenia wojny. „Biorę na siebie odpowiedzialność za tę historyczną decyzję" – pisze. Parę dni później PKK ogłasza zawieszenie broni.

25 LAT RZĄDÓW TO ZA MAŁO

Dla Abdullaha Öcalana stawką może być zatem wolność. Dla tureckich Kurdów – zwłaszcza tych, którzy żyją w tureckiej części Kurdystanu, a więc miejscu, gdzie od lat operują zarówno PKK, jak tureckie wojsko, ze wszystkimi tego bolesnymi dla mieszkańców konsekwencjami – stawką jest powrót do normalnego życia. Dla prezydenta Recepa Erdoğana natomiast celem jest utrzymanie władzy. Do 2028 r., gdy kończy się jego druga kadencja, może rządzić spokojnie. A co potem? Zachowanie władzy jest możliwe, wymaga jednak zastosowania misternych zabiegów prawnych.

Recep Erdoğan rządzi nieprzerwanie od 2003 r. do 2014 r. jako premier, później jako prezydent. Jego obecna kadencja jest trzecią lub drugą, zależnie od interpretacji. Trzecią de facto, bo liczoną od czasu, gdy po raz pierwszy został wybrany na szefa państwa. Drugą, bo od przyjęcia nowej konstytucji, wprowadzającej system prezydencki i dającej szefowi państwa pełnię władzy. Przez dwie kadencje.

Nie ma jednak takich zasad, których nie dałoby się obejść, zwłaszcza przy celu tak zbożnym jak władza. Wymyślono więc, co zrobić, by Recep Erdoğan nie musiał się z nią żegnać, gdy druga jego kadencja dobiegnie końca – należy ją skrócić. Skróconej kadencji nie można traktować jako pełnej, a to oznacza, że urzędujący prezydent raz jeszcze może ubiegać się o stanowisko. Jest tylko jeden szkopuł: skrócenie kadencji wymaga dwóch trzecich głosów w parlamencie, a obóz rządzący tyle nie ma. Republikańska Partia Ludowa (CHP), czyli kemalistowska opozycja, nigdy, przenigdy nie pójdzie Erdoganowi na rękę. Pozostają zatem deputowani DEM.

Trudno wątpić, że takie jest prawdziwe podłoże pokojowych zamierzeń Recepa Erdoğana i jego partii. Czy jednak kurdyjscy posłowie będą skłonni przystać na taki układ? Czy zechcą odwdzięczyć się za perspektywę zakończenia wojny? Jak dotąd o tym nie mówią, zresztą jest na to, jak się wydaje, za wcześnie. Oczywiste jest jednak, że DEM też ma oczekiwania. Domaga się np., by władze tureckie skończyły w kurdyjskich prowincjach z represjami, takimi jak praktyka administracyjnego usuwania kurdyjskich lokalnych władz i zastępowania ich urzędnikami tureckimi.

40 TYS. OFIAR PRZEZ 40 LAT

Organizacja narodowa czy terrorystyczna? Bardzo często jedno i drugie. Wiele ugrupowań, które działają pod hasłami narodowymi czy wyzwoleńczymi, aby je osiągnąć, stosuje terror. Nie inaczej jest z PKK. Za organizację terrorystyczną jest uznawana nie tylko w Turcji, lecz także w USA, Wielkiej Brytanii i państwach Unii Europejskiej.

Abdullah Öcalan założył PKK w 1978 r., a sześć lat później ogłosił wojnę, której celem pierwotnie miało być powstanie suwerennego Kurdystanu, obejmującego południowo-wschodnie prowincje Turcji. Z czasem cele stonowano, ograniczając je do poszerzenia praw ludności kurdyjskiej i – jeśli się da – uzyskania autonomii. Zwiększanie praw skądinąd i tak postępowało, bo skromne reformy wprowadzone w początkowym okresie rządów Erdoğana zezwalały m.in. na używanie języka kurdyjskiego w szkołach i w prasie. Była to zmiana znacząca, bo jeszcze w latach 90. słowa „Kurd" czy „Kurdystan" nie były w Turcji w użyciu, a gdy takie padły z ust nieświadomego rzeczy cudzoziemca, niezmiennie pytano, gdzież ten Kurdystan się znajduje, skoro go przecież nie ma.

Przez ponad 40 lat wojna turecko-kurdyjska pochłonęła ponad 40 tys. ofiar. To nie tylko partyzanci i żołnierze, którzy ginęli w starciach i potyczkach, lecz także ofiary tureckich akcji pacyfikacyjnych w Kurdystanie i odwetowych działań kurdyjskich, wymierzonych m.in. w urzędników i nauczycieli tureckich. To także ofiary zamachów, które PKK i pokrewne jej organizacje przeprowadzały w Ankarze, Stambule i innych miastach. Ostatni miał miejsce w październiku ubiegłego roku. Wybuch bomby podłożonej w siedzibie Turkish Aerospace Industries w Ankarze zabił siedem osób.

W SYRYJSKIEJ PUŁAPCE

Gdyby PKK rzeczywiście zgodziła się na zakończenie działań i samolikwidację, dołączyłaby do niemałego grona organizacji terrorystycznych z całego świata, od irlandzkiej IRA do kolumbijskiej FARC, które po latach walki złożyły broń. W każdym takim wypadku proces pokojowy był długi, trudny, pełen przeszkód i zwrotów akcji. Działalność owych ugrupowań zamykała się jednak z reguły w granicach własnego państwa i nie miała szerszych zewnętrznych implikacji – a to istotna różnica w stosunku do PKK.

Konflikt turecko-kurdyjski już wiele lat temu przeniósł się z terenów południowo-wschodniej Turcji na przygraniczne kurdyjskie tereny w Syrii i Iraku, gdzie oddziały PKK, korzystając z lokalnego wsparcia, zaczęły zakładać swe bazy. W pogoni za partyzantami wojska tureckie regularnie przekraczały granice, parę lat temu zaś w Ankarze podjęto decyzję o stworzeniu przygranicznej strefy bezpieczeństwa, w której – po drugiej stronie granicy – stacjonują żołnierze tureccy. Turcy zarzucają bliskie związki z PKK m.in. kurdyjskim organizacjom z Syrii, takim jak Ludowe Siły Samoobrony (YPG). Nic dziwnego, że prezydent Erdoğan parę zaledwie dni po deklaracji PKK oznajmił, że one również powinny się rozbroić. To pokazuje, w jakim kierunku idą oczekiwania Turcji.

Regionalny wymiar konfliktu komplikuje oczywiście problem, z drugiej jednak strony mógł leżeć u podstaw pokojowych gestów. Fakt, że to Turcja doprowadziła do obalenia Baszira al-Asada i że ma dzisiaj znaczący wpływ na rozwój sytuacji w Syrii, sprawił, iż PKK znalazła się w pułapce, z której może nie być innego wyjścia niż pokój.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

Z Grzegorzem Ksepką, byłym wiceprezesem zarządu Energa SA
rozmawia Tomasz Cukiernik

Zdrada energetyczna

eprasa.pl 5f87de27ee

Elektrownia Ostrołęka C w budowie, 21 października 2020 r. Na zdjęciu widoczne dwa wysokie na ponad 100 m pylony, które po zburzeniu stały się symbolem tej rozpoczętej i zaniechanej inwestycji

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

TOMASZ CUKIERNIK: Kto tak naprawdę podjął decyzję o zaprzestaniu budowy nowoczesnego bloku węglowego Ostrołęka C, który przy spalaniu takiej samej ilości węgla generowałby o połowę więcej energii niż nadal funkcjonujące bloki z epoki Edwarda Gierka?

GRZEGORZ KSEPKO: Mogę się tylko domyślać, że ta decyzja zapadła politycznie na najwyższych szczeblach w okolicach września, października 2019 r. Została na pewno zaakceptowana przez premiera Mateusza Morawieckiego i przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Natomiast wymyślona i podjęta w sensie merytorycznym została w otoczeniu ówczesnego prezesa Orlenu Daniela Obajtka, o czym zresztą prezes Orlenu mówił w grudniu 2019 r. na wspólnej ze mną konferencji w Gdańsku. Wtedy, kiedy został ogłoszony zamiar przejęcia przez Orlen Energi, powiedział, że absolutnie węgla w grupie Orlen nie będzie. A ostatnio także w swojej książce przyznał się do tego, że plan, żeby przekonwertować tę inwestycję na gaz, istniał już długo przed przejęciem Energi. No więc późniejsze działania były tylko formalnością. Natomiast ta decyzja została podjęta na pewno w Orlenie, na pewno w otoczeniu prezesa. I później została zaakceptowana przez najważniejszych polityków. Pewnie z wyłączeniem ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego, który rzeczywiście do końca liczył na to, że Orlen po przejęciu Energi w tej formule węglowej jednak tę inwestycję dokończy. Widać wyraźnie, że ówczesny minister energii nie był w kręgu osób dobrze zorientowanych czy powiadomionych o tej decyzji.

Czyli pierwsza decyzja była taka, żeby Orlen przejął w ogóle Energę? Bo właściwie gdyby nie to, Orlen w ogóle by nic do tego przecież nie miał.

Dokładnie tak. To znaczy przejęcie Energi dawało formalny wpływ na tę inwestycję. Gdyby do tego nie doszło, tę decyzję kontynuowałyby dwie spółki niezależne, czyli Energa i Enea. Ona już miała swój stopień zaawansowania, nie tylko finansowy czy formalny, lecz także budowlany. Tam fizycznie już stały pewne konstrukcje. Myślę więc, że spokojnie zostałaby dokończona. Koszt całości wybudowania tej elektrowni nie był wcale taki duży, bo to było ok. 6 mld zł za 1 GW. Dzisiaj buduje się w energetyce rzeczy nieporównywalnie droższe, więc myślę, że dokończenie tej elektrowni nie byłoby problemem dla tych dwóch dużych spółek energetycznych. I ona by już pracowała, bo ten projekt miał się zamknąć w połowie 2023 r., więc już prawie dwa lata temu, i już miała produkować prąd. Do końca 2019 r. wszystko szło absolutnie zgodnie z harmonogramem, więc nie mamy powodu sądzić, że później byłoby inaczej.

Czyli kto podjął decyzję o tym, żeby Energę przejął Orlen?

To był projekt autorski otoczenia prezesa Orlenu. Trudno mi wskazać jakieś konkretne nazwiska, kto po raz pierwszy wrzucił to hasło do otoczenia prezesa Orlenu – być może on sam. Jestem przekonany, że ten projekt tam powstał i później został tylko politycznie przez decydentów zaakceptowany. To nie była żadna strategia rządowa, to nie był projekt rządowy, tylko bardziej orlenowski, a rząd go zaakceptował. Przy czym minister energii to zaakceptował z przekonaniem, że inwestycja w Ostrołęce będzie przez Orlen kontynuowana, a potem okazało się, iż jednak nie.

Gdyby Ostrołęka C została wybudowana, to byłaby bardzo nowoczesną elektrownią. Zarówno jej sprawność, jak i jej parametry środowiskowe byłyby bardzo dobre

Podobno próbował pan interweniować u prezesa Kaczyńskiego i premiera Morawieckiego w sprawie decyzji o zaprzestaniu budowy Ostrołęki C, więc nie można powiedzieć, że oni nie byli świadomi katastrofalnych skutków tej decyzji. Czy był jakiś odzew?

Wiedząc o sprawie trochę wcześniej, alarmowałem premiera Morawieckiego, wysyłając e-maile, oraz prezesa PiS, z którym nawet odbyłem spotkanie w tej sprawie. Oczywiście bezskutecznie. Rezultat był taki, że 14 marca 2020 r. przestałem być wiceprezesem Energa SA.

eprasa.pl 5f87de27ee

Jest co najmniej kilka analiz sprzed i z okresu budowy Ostrołęki C, wskazujących, że budowa bloku jest konieczna i opłacalna. No więc co się stało, że nagle zdecydowano o rezygnacji z budowy?

Myślę, że nic się nie stało. Oczywiście w tym czasie szliśmy na coraz dalej idące ustępstwa wobec Unii Europejskiej, jeśli chodzi o tzw. politykę klimatyczną, natomiast jakiejś zasadniczej zmiany wówczas nie było. Było to jeszcze przed wojną na Ukrainie, czyli te warunki ogólnie na rynku energetycznym były trochę inne. Moim zdaniem nie było żadnych analiz w 2019 r., tę decyzję podjęto na zasadzie „nie chcemy mieć węgla". Analizy pojawiły się później, już po podjęciu decyzji, i to dotyczyły już raczej gazu, wykonalności inwestycji gazowej, a nie samego węgla. Moim zdaniem nie było żadnych analiz, które wskazywałyby na niewykonalność inwestycji węglowej. Natomiast to, że ta inwestycja była potrzebna dla systemu, było i jest oczywiste, tu się nic nie zmieniło. Za chwilę będziemy mieli lukę generacyjną, do 2030 r. w wysokości kilku nawet gigawatów, czyli kilku takich Ostrołęk. Dalej taka elektrownia jest potrzebna, tak jak była wcześniej, bo tę lukę generacyjną prognozowano dużo wcześniej i o tym wiedziano. W związku z tym to jest dalej aktualna sprawa. A elektrownia gazowa nie dość, że powstanie kilka lat później, niż miała zacząć pracę elektrownia węglowa, to jeszcze będzie prawie dwa razy mniejsza, jeśli chodzi o moc zainstalowaną, i oczywiście zasilana ma być gazem, czyli paliwem importowanym.

Są dokumenty z kontroli Najwyższej Izby Kontroli, która nie chce ich ujawnić. Co to za dokumenty?

Rzeczywiście była kontrola w czasach, kiedy nie byłem w zarządzie Energi – w okresie tzw. pierwszej Platformy, ok. lat 2012–2013, i rzeczywiście nie znamy do końca treści tych dokumentów, bo one nie są ujawniane. Natomiast nie wynikały z tego jakieś zasadnicze kwestie, które byłyby dealbreakerem w budowie tej elektrowni. W związku z tym pierwsza decyzja o zaprzestaniu budowy zapadła jeszcze za czasów Platformy, czyli przed 2015 r., i ona moim zdaniem nie była podyktowana żadnymi istotnymi względami ekonomicznymi, tylko raczej właśnie takim ogólnym trendem, który już się wtedy zaczynał, żeby Polska rezygnowała z węgla.

Media podawały, że strata związana z zaprzestaniem budowy Ostrołęki C wyniosła ok. 1,3 mld zł, natomiast pan mówi o kwocie znacznie wyższej: 4,2 mld zł. Skąd ta suma w pana wyliczeniach?

Moje wyliczenia były z listopada, grudnia 2019 r. i ja też mówię o kwocie 1,3 mld zł – że tyle zostanie wyrzucone w błoto. Tyle zostało wydane i w żaden sposób nie zostanie użyte przy ewentualnej konwersji. Natomiast pozostałe kwoty, które wskazuję, to zagrożenie – są to różnego typu sprawy formalne, czyli np. kary umowne, które musiałyby być zapłacone przy klasycznym zerwaniu kontraktu z General Electric. To zostało w jakiś sposób rozliczone, bo GE przecież dzisiaj kontynuuje tę inwestycję w nowej formule, więc nie wiem, jak te rozliczenia wyglądają, czy pojawiły się jeszcze jakieś straty. Te 1,3 mld zł to jest to, co fizycznie wynikało z zaawansowania prac i z wydanych środków do końca 2019 r., więc na pewno zostało zmarnowane przy konwersji, bo tego nie dało się wykorzystać. Natomiast jak wyglądają dalsze rozliczenia, tego już nie wiem, a wtedy wskazywałem na zagrożenie, które wynikało ze znajomości kontraktu, czyli gdyby Energa wypowiedziała kontrakt z GE, tamte kwoty dodatkowe byłyby należne głównie jako kary umowne wobec wykonawcy.

Powinniśmy dążyć do swoistej autarkii energetycznej, bo to nam realnie zapewnia bezpieczeństwo i tani prąd dla naszego przemysłu

Czy może pan potwierdzić, że z tej inwestycji w blok węglowy nic nie można było wykorzystać do tej konwersji?

Tak. Można było wykorzystać tylko odprowadzenie mocy, ale ta instalacja kosztowo jest sprawą marginalną. I to było jasne od samego początku, kiedy pojawiły się te koncepcje, więc dla nas to był oczywiście dealbreaker, a dla Orlenu nie, tak że wzięli to ryzyko na siebie.

Dlaczego złym rozwiązaniem było zaprzestanie węglowej inwestycji w Ostrołęce?

Zaprzestanie tej inwestycji było bardzo szkodliwe z punktu widzenia naszego systemu elektroenergetycznego i naszej suwerenności energetycznej. To jest dla mnie absolutnie oczywiste, bo mielibyśmy źródło 1000 MW, czyli dosyć spore, które już by pracowało. Pracowałoby na węgiel, czyli surowiec, który mamy na kilkaset lat. Natomiast luka generacyjna, która ma wystąpić między latami 2025 a 2030, to jakieś 5–6 GW. Istotną część tej luki Ostrołęka miała więc zapełnić i to był plan, który leżał w ogóle u podstaw samego pomysłu dotyczącego tej inwestycji, kiedy on się pojawił. To jest aktualne do dzisiaj. Mielibyśmy źródło, które by w istotny sposób zapełniało tę lukę generacyjną. Do dzisiaj stan faktyczny jest taki, że go nie mamy, i to jest moim zdaniem duża szkoda dla polskiego systemu elektroenergetycznego. Tym bardziej że węgiel, który miał być spalany w Ostrołęce, zakontraktowano jeszcze w 2016 r. na bardzo korzystnych warunkach z Polskiej Grupy Górniczej. Był kontrakt z PGG i – co więcej – od początku 2023 r. ta elektrownia miała już obowiązujący kontrakt mocowy, czyli tzw. wygraną aukcję na rynku mocy, który zapewniał wsparcie publicznoprawne. Można dyskutować, czy ten system jest właściwy dla funkcjonowania energetyki, natomiast w takich warunkach, w jakich działaliśmy, był on realnym wsparciem dla elektrowni konwencjonalnej i miał obowiązywać od 2023 r. przez 15 lat do 2038 r. Kontrakt ten w sposób znaczący poprawiał rentowność projektu.

Czy Ostrołęka C byłaby bezpieczna dla środowiska?

Gdyby Ostrołęka C została wybudowana, to byłaby bardzo nowoczesną elektrownią. Zarówno jej sprawność, jak i przede wszystkim jej parametry środowiskowe byłyby bardzo dobre. Miałaby już wszystkie nowoczesne systemy, np. system odsiarczania, które powodują, że tak naprawdę te nowoczesne, konwencjonalne elektrownie w żaden

eprasa.pl 5f87de27ee

sposób – czy w sposób całkowicie marginalny – nie zagrażają środowisku naturalnemu. Czyli to, co jest głównym zarzutem wobec nich, tak naprawdę jest zarzutem fałszywym. Największy problem dla ludzi dzisiaj stanowi smog, który w ogóle nie jest efektem działania energetyki zawodowej, tylko palenia byle czym w gospodarstwach domowych. Największy smog jest w Żywcu, a nie w Bełchatowie, gdzie mamy największą w Europie elektrownię konwencjonalną. Więc od tej strony środowiskowej to także było rozwiązanie absolutnie korzystne i bezpieczne.

Ostatecznie plac budowy przejął Orlen, by budować elektrownię gazowo-parową. Na jakim etapie jest w tej chwili ta inwestycja?

Trudno mi powiedzieć, bo tego do końca nie śledzę, natomiast ona ma zacząć pracę w 2027 r., czyli mamy cztery lata różnicy, a jej moc zainstalowana ma wynieść maksymalnie 745 MW, więc jest istotna różnica w mocy. No i przede wszystkim istotna różnica w paliwie. Bo przecież w Polsce wydobywamy tylko ok. dwadzieścia parę procent gazu w porównaniu z zapotrzebowaniem, a resztę musimy kupować za granicą. Każdy surowiec importowany z zagranicy ogranicza naszą suwerenność energetyczną, do której moim zdaniem powinniśmy dążyć. No bo dzisiaj mamy lepsze relacje z tymi, gorsze z tamtymi, a jutro może być odwrotnie, albo ze wszystkimi możemy mieć złe relacje. I co wtedy? Zawsze to jest jakiś potencjalny element szantażu geopolitycznego, co trzeba minimalizować, więc gaz – jak najbardziej, ale tylko w takim zakresie, w jakim jesteśmy w stanie go u siebie wydobyć, a cała reszta powinna być już kwestią nie rozbudowywania mocy gazowych, ale wręcz przeciwnie – redukowania ich w miksie energetycznym.

Jak wygląda kwestia dostępności gazu do elektrowni?

Ten problem istniał od początku. Myśmy go brali pod uwagę, kiedy pojawiły się pomysły konwersji. W Enerdze sprawdzaliśmy taką możliwość wielokrotnie, przeprowadzaliśmy analizy wewnętrzne, które wskazywały na to, że to – po pierwsze – się nie opłaca, po drugie – właśnie nie ma tam gazu, nie ma możliwości bezpiecznego dostarczania gazu w odpowiednich ilościach. W analizach dotyczących potencjalnej konwersji tyle lampek zapalało się na czerwono, że uznaliśmy, iż ona po prostu nie ma sensu – i to był właśnie jeden z tych elementów.

Skąd w takim razie będzie gaz do tej elektrowni?

Trzeba by zapytać Orlen, skąd będzie gaz, tym bardziej że, moim zdaniem, decyzja została podjęta tak naprawdę przed dokonaniem jakichkolwiek analiz w tym zakresie.

W jakim kierunku powinna iść reforma polskiej energetyki?

Uważam, że przede wszystkim powinniśmy zrównać wszystkie źródła generacji energii, jeśli chodzi o uregulowania prawne, czyli po prostu uwolnić energetykę, wprowadzić na tyle, na ile to możliwe, absolutnie wolny rynek w tym zakresie, zlikwidować wszelką formalną hierarchię czy pierwszeństwo źródeł, wycofać wszystkie systemy wsparciowe, zwłaszcza jeśli chodzi o morską energetykę wiatrową, bo to jest potwornie droga rzecz, kompletnie nieopłacalna. Należy pozwolić źródłom konkurować – wtedy paliwa kopalne będą absolutnie najtańsze w eksploatacji, tym bardziej że mamy je u siebie. Wielu ludzi mówi, że te źródła się wyczerpują, że węgla na niewiele starczy, ale to jest tylko połowa prawdy. Prawdą jest, że z pokładów kopalnianych, które aktualnie eksploatujemy, rzeczywiście pewnie węgla nie starczy na zbyt długi czas, natomiast mamy całą masę pokładów jeszcze nieeksploatowanych w Lubelskim Zagłębiu Węglowym czy na Górnym Śląsku, czy jeśli chodzi o węgiel brunatny w okolicach Bełchatowa lub Złoczewa. Trzeba w nie zainwestować, a według ocen specjalistów tego węgla wystarczy na kilkaset lat. Zamiast bezsensownie wydawać dziesiątki miliardów rocznie np. na „zielone" certyfikaty, moglibyśmy inwestować te pieniądze – a nawet nie wszystkie te pieniądze, bo to nie są aż tak wielkie inwestycje – właśnie w wydobywanie węgla w dotychczas nieeksploatowanych złożach. Powinniśmy dążyć do swoistej autarkii energetycznej, bo to nam realnie zapewnia bezpieczeństwo i tani prąd dla naszego przemysłu. Bez taniego prądu nie ma przemysłu; bez przemysłu z kolei nie ma bezpieczeństwa fizycznego – nie znam kraju, który miałby dużą, sprawną armię bez dobrze działającego przemysłu, to jest kompletna utopia. To wszystko jest powiązane, tylko politycy często nie łączą kropek ze sobą. Powinno się firmom dać decydować, a także państwu polskiemu, które powinno być traktowane na równi w kwestiach inwestycyjnych, energetycznych, w co chce inwestować, gdzie się najbardziej opłaca, gdzie jest najbezpieczniej, najszybciej i najlepiej.

Rezygnacja z własnych surowców naturalnych jest jak zrezygnowanie w średniowieczu z wydobycia soli, bo komuś w innym kraju się to nie podoba. Zupełnie absurdalna sytuacja

Taka polityka nie bardzo by się spodobała Unii Europejskiej...

Tak, ale na razie jesteśmy przynajmniej teoretycznie państwem suwerennym, więc jeżeli coś się komuś nie podoba, to jest to jego problem. Polscy politycy powinni działać przede wszystkim na korzyść naszego kraju. Taki mają zresztą konstytucyjny obowiązek i z tego będą rozliczani, być może nie w perspektywie paru lat, ale na pewno historia ich za to oceni. Moim zdaniem rezygnowanie z własnych surowców naturalnych to zdrada narodowa. To tak, jakbyśmy w średniowieczu zrezygnowali z wydobycia soli, bo komuś w innym kraju by się to nie podobało. Zupełnie absurdalna sytuacja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Grzegorz Ksepko – absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego, adwokat. Był członkiem Rady Nadzorczej Agencji Rozwoju Pomorza SA oraz wiceprezesem spółki Energa.

eprasa.pl 5f87de27ee

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Nawrocki kontra PO-PiS?

Ależ się żachnąłem, czytając przed drugą turą wyborów prezydenckich w jednym z czasopism prawicy felieton, którego autor zachęcał do głosowania na Karola Nawrockiego. A żachnąłem się, bo zachęcał, przekonując, że głosując na Nawrockiego, opowiemy się „za suwerennością energetyczną i niskimi cenami energii", a z kolei wybierając Trzaskowskiego – „za ich sztucznym zawyżaniem za pomocą parapodatków ETS, utratą konkurencyjności polskiej gospodarki i wprowadzeniem nas w stan zagrożenia blackoutem". I dalej: że głosując na Nawrockiego lub Trzaskowskiego, w istocie „zdecydujemy, czy pozwolimy na masowe wywłaszczanie Polaków za pomocą dyrektywy budynkowej i przyzwalania na masowy wykup nieruchomości przez zagraniczne firmy". Oczywiście w domyśle: tylko głosowanie na Nawrockiego może nas przed tymi nieszczęściami uchronić.

I ja oczywiście bardzo bym chciał, żeby tak właśnie się stało. Czyli żeby nowy prezydent Karol Nawrocki, który startował w wyborach jako kandydat obywatelski, ale jednak z poparciem PiS, gdy za pięć lat będzie się ubiegać o reelekcję, kojarzył się nam wtedy m.in. z takimi właśnie swoimi decyzjami – raz na zawsze uwalniającymi Polaków od rujnującego nas już dziś Zielonego Ładu. Od wszystkich związanych z nim, wpędzających nas już teraz w biedę idiotyzmów na razie „tylko" ETS1, które drastycznie podbiły ceny prądu i ogrzewania, oraz od nadciągającej hekatomby ETS2 i jego idiotyzmów, które mają wejść w życie i dobić nas już w 2027 r.

A żachnąłem się, czytając ten felieton, bo choć naprawdę bardzo bym chciał, żeby Karol Nawrocki, który podczas kampanii wyborczej nazywał Zielony Ład „ekoszaleństwem", dokonał tego dzieła, to jednak aż za dobrze mam w pamięci, że cały ów koszmar Zielonego Ładu sprowadzili na nasze głowy pospołu wszyscy – działający w tej sprawie ręka w rękę – politycy Platformy i właśnie PiS, na czele z premierami Tuskiem i Morawieckim. A politycy PiS tylko tym różnili się w realizowaniu tego szatańskiego dzieła od polityków PO, że trochę mniej się zeń cieszyli, a czasami nawet się wstydzili. A prezydenci Duda z PiS i przedtem Komorowski z PO wszystkie ustawy wprowadzające w Polsce Zielony Ład, czyli najpierw ETS1, a teraz ETS2, karnie podpisywali.

No, chyba że jednak prezydent Nawrocki, o którym ostatnio mówi i pisze się, że może sprawić swym wyborcom niespodziankę i okazać się prezydentem tyleż PiS, ileż Konfederacji (i to nie tylko z tego powodu, że to głosy jej wyborców przesądziły o jego wyborze), nareszcie zdruzgocze walec Zielonego Ładu, od wielu lat wpychany do Polski przez duopol PO-PiS. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ani kroku wstecz!

Jeśli myśleli państwo, że w Komisji Europejskiej nastąpiła jakaś refleksja na temat Zielonego Ładu (którego, przypomnę, zdaniem dwugodzinnego prezydenta już nie ma), to bardzo się państwo mylą. Obowiązuje jedna zasada: ani kroku wstecz. Może jakiś mały kroczek w bok, może kolejne kroki stawiane minimalnie wolniej – ale to wszystko. Żadnego wycofywania się.

Europa klimatystycznym mesjaszem narodów, choćbyśmy mieli się wszyscy zarżnąć

O ile spotkania z urzędnikami Komisji, zajmującymi się różnymi innymi dziedzinami, są po prostu klasycznymi spotkaniami z urzędnikami na ogół dość beznamiętnie relacjonującymi działania w dziedzinach, za które są odpowiedzialni, o tyle spotkania z urzędnikami odpowiadającymi za sprawy klimatyczne przypominają rozmowy z najbardziej zaangażowanymi w proces budowy komunizmu funkcjonariuszami partii w latach 50. Język jest oczywiście inny, ale nieustępliwość, impregnacja na fakty, a przede wszystkim zapatrzenie w całkowicie utopijny cel są identyczne.

Dodatkowo zwraca uwagę to, że ogromna część założeń polityki, która ma być twardo realizowana, nie opiera się na konkretnych wyliczeniach czy analizach. Co kilka zdań można usłyszeć od urzędników: „mamy nadzieję", „w sprawie X poszło dobrze, więc liczymy, że w sprawie Y także pójdzie dobrze". Bardzo słabo jak na politykę o tak gigantycznych konsekwencjach dla państw członkowskich.

Oczywiście urzędnicy przyznają, że koszty będą olbrzymie – tego nie da się już ukrywać. Mówią jednak, że w zamian przecież wpłyną pieniądze z funduszy łagodzących te straty. Czyli najpierw zabiorą nam 1000, żeby potem łaskawie oddać 100 i jeszcze mamy się z tego cieszyć.

A że USA całkowicie odeszły, decyzją Trumpa, od klimatystycznych głupot; a że Chiny – wbrew propagandzie klimatystów – realizują politykę stuprocentowo pragmatyczną i owszem, uruchamiają OZE, ale jednocześnie w 2024 r. rozpoczęły budowę nowych elektrowni węglowych o mocy blisko 100 GW, najwięcej od dekady; a że Europa odpowiada za raptem 6 proc. światowych emisji CO_2 – to nieważne. Europa klimatystycznym mesjaszem narodów, choćbyśmy mieli się wszyscy zarżnąć. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 5f87de27ee

Nie jest łatwo zastąpić ważnych piłkarzy

Robert Lewandowski i Michał Probierz podczas meczu towarzyskiego Polska – Turcja na Stadionie Narodowym w Warszawie, 10 czerwca 2024 r. FOT. MACIEK JAŹWIECKI/ZUMA PRESS/FORUM

Łukasz Majchrzyk

Konflikty selekcjonerów z największymi gwiazdami mają w Polsce długą tradycję. Reprezentacja zawsze na tym traciła

Ktoś w Polskim Związku Piłki Nożnej jest chyba fanem Alfreda Hitchcocka. W niedzielny wieczór 8 czerwca nastąpiło trzęsienie ziemi, a od tego czasu napięcie tylko rośnie. Wystarczył krótki komunikat, że Robert Lewandowski przestaje być kapitanem reprezentacji Polski. Potem nastąpiło równie lakoniczne oświadczenie najlepszego polskiego piłkarza, a kilka chwil później Internet zapłonął, ktoś zaś do tego pożaru sumiennie dolewa benzyny.

W poniedziałek 9 czerwca okazało się, że Michałowi Probierzowi wystarczyły rozmowy z kilkoma piłkarzami i 24 godziny namysłu, żeby zachybotać łodzią, która i tak ledwie płynęła do celu. Nie trzeba było zadawać nawet pytań, bo selekcjoner sam z siebie dorzucił, że tak naprawdę to on jest piromanem i ma w ręku zapałki.

Pozbawić najlepszego piłkarza funkcji kapitana przez telefon? Nie ma sprawy. Odrzucić propozycję delikatnego rozbrojenia bomby, z którą wyszedł piłkarz? Z przyjemnością. Można było uratować twarz, drużynę i posadę, a tak już wiemy, że po porażce z Finlandią zostały tylko zgliszcza.

Wiemy jeszcze jedno: w tej drużynie nie ma silnych charakterów. Narzekał na to Lewandowski – i chyba miał rację. Po blamażu w Helsinkach żaden polski piłkarz nie wyszedł do dziennikarzy czekających o północy w tzw. mixed zone. Żaden nie miał odwagi opowiedzieć o tym, co się stało na boisku. Nie zrobił tego nawet nowy kapitan Piotr Zieliński, który w meczu nie zagrał przez kontuzję łydki. Przed kamerami tłumaczył się za niego Jan Bednarek, który w tym spotkaniu nosił opaskę.

WALKA O MIANO SAMCA ALFA?

Czwartek 12 maja przyniósł kolejny rozdział telenoweli: Michał Probierz podał się do dymisji, oczywiście – jak można przeczytać w komunikacie na oficjalnym profilu PZPN – „dla dobra drużyny narodowej". Pozostaje pytanie, co kierowało Michałem Probierzem, kiedy wywoływał aferę, która sama go zatopiła. Lewandowski raczej nie był dobrym kapitanem, takim, za którym drużyna skoczy w ogień, który ją poderwie w trudnych momentach przemową i scali, gdy wydaje się rozbita. Nosił głowę wysoko i można usłyszeć, że nieraz pokazywał, iż przyjeżdża „z lepszego futbolowego świata". Wielu piłkarzy miało go dość, co pokazał choćby były reprezentant Polski Kamil Glik, bijąc Probierzowi brawo za decyzję.

Tylko że to nie tłumaczy sposobu, w jaki sprawa została załatwiona, a zwłaszcza publicznego mówienia o tym, iż piłkarz chciał zachować twarz. Po takim pozbawieniu go opaski kapitana i przytaczaniu prywatnych rozmów raczej nie ma szans na powrót Lewandowskiego do kadry dopóty, dopóki trenuje ją Probierz (bardzo możliwe, że już niedługo). Wygląda to tak, jakby cała sytuacja miała pokazać, kto jest samcem alfa i kto przejmie tę drużynę. A jeśli cofniemy się trochę w czasie, to możemy się przekonać, że takie sytuacje nigdy nie były korzystne dla reprezentacji Polski.

Powody bywały różne. Czasami nie do końca wiadomo było, o co chodzi. Zdarzało się, że na pierwszy plan, przynajmniej oficjalnie, wysuwała się chęć odmłodzenia drużyny. W latach 80. wiele do powiedzenia mieli na pewno komunistyczni „aparatczycy", którzy niechętnie się zgadzali na wypuszczanie do zagranicznych klubów najlepszych polskich piłkarzy i potem sugerowali, żeby tych ze „zgniłego Zachodu" nie powoływać (zresztą płacenie za przeloty zawodników na zgrupowania to był „zbędny" wydatek).

Już 40 lat temu polską piłką zatrząsnął konflikt między świetnym napastnikiem a ówczesnym selekcjonerem i na dobrą sprawę nikt wtedy nie wiedział, o co poszło. W swojej autobiografii, napisanej wspólnie z Jackiem Kurowskim – „Andrzej Szarmach. Diabeł, nie anioł" – piłkarz przytacza dziwny dialog, który miał się odbyć między nim a Antonim Piechniczkiem podczas jednego ze zgrupowań. „Wiesz, Andrzej, grasz za granicą, dolary zarabiasz, a ja buduję dom i nie mam na dachówki" – powiedział rzekomo selekcjoner. „To po co się budujesz, jak nie masz pieniędzy?" – miał odpowiedzieć Szarmach. W wywiadzie dla Interii Piechniczek zaprzeczał, że taka rozmowa miała w ogóle miejsce.

eprasa.pl 5f87de27ee

Faktem jest, że obu panom w reprezentacji było nie po drodze. Chociaż Szarmach błyszczał w lidze francuskiej, to powołania po mistrzostwach świata w Argentynie (1978) dostawał okazjonalnie i od Ryszarda Kuleszy, który zastąpił Jacka Gmocha, i potem od Piechniczka. Na mundial w 1982 r. piłkarz przyjechał jako gwiazda AJ Auxerre, wicekról strzelców ligi, ale na boisko niemal nie wchodził. Podobno to znów fakt z autobiografii, już na samym początku pobytu w Hiszpanii Piechniczek powiedział mu, że na turniej zabrał go za zasługi i na grę nie ma co liczyć.

W turnieju Szarmach wszedł na boisko dwa razy: w meczu grupowym z Kamerunem zastąpił kontuzjowanego Andrzeja Iwana, a potem pojawił się dopiero w meczu o brązowy medal z Francuzami, który okazał się jego pożegnaniem z kadrą. Zdobył w tamtym meczu gola, ale w ogóle się po nim nie cieszył, bo jeszcze w szatni usłyszał, że więcej w biało-czerwonym stroju nie zagra. Najwięcej kontrowersji do dziś budzi jednak inne spotkanie z tamtego turnieju – półfinał z późniejszymi mistrzami świata, Włochami.

W tamtym spotkaniu z powodu żółtych kartek nie mógł zagrać lider, Zbigniew Boniek. Wydawało się, że naturalnym kandydatem do zastąpienia go będzie Szarmach (Iwan był ciągle kontuzjowany), ale Piechniczek nie uwzględnił go nawet na ławce rezerwowych, tylko wysłał na trybuny. Piłkarz nie miał szansy pomóc kolegom, nawet gdy już przegrywali 0:2, a przecież Włochom potrafił strzelać bramki.

Tamten mundial jest dziś wspominany jako wielki sukces polskiego futbolu – i rzeczywiście trzeba go tak odbierać, zwłaszcza po tym, jak wyglądała nasza piłka w późniejszych latach. Jeszcze w 1986 r. do Meksyku Biało-Czerwoni jechali z nadziejami na dobry wynik, ale kibice mocno się rozczarowali. Polacy zdobyli tylko jedną bramkę, a turniej zakończyli porażkami 0:3 z Anglią i 0:4 z Brazylią. Na tamten turniej nie pojechał z kolei Mirosław Okoński, który właśnie przeniósł się z Lecha Poznań do Hamburger SV. Wszyscy byli zdziwieni, że tak błyskotliwego napastnika Piechniczek nie zabrał na turniej, ale trener miał swoją koncepcję.

Po mistrzostwach świata selekcjoner podał się do dymisji i kadrę zaczęto budować na nowo, pod wodzą Wojciecha Łazarka. Ten chciał się oprzeć na graczach z polskiej ligi. Grzmiał w prasie, że piłkarze z lig zagranicznych przyjeżdżają późno na zgrupowania i nie mogą się przygotowywać z kolegami. Rzeczywistość piłkarska była wtedy inna; teraz wszystko regulują przepisy UEFA i FIFA dotyczące tego, kiedy wysyła się powołania, na ile dni przed meczem piłkarze mają zostać zwolnieni z klubów i kiedy wracają do swoich pracodawców.

Wtedy takich precyzyjnych regulacji nie było, a w krajach socjalistycznych nie trzeba się było przejmować opinią trenerów klubowych. Piłkarz dostawał powołanie, więc jechał. Boniek w lidze włoskiej czy Józef Młynarczyk w Portugalii tak łatwo nie mieli, a zgrupowania były dłuższe. Do tego dochodziły wyjazdy na zagraniczne tournée, dzięki którym PZPN zarabiał dewizy, albo sparingi z polskimi prowincjonalnymi drużynami.

Pierwszy mecz Łazarka skończył się wymęczonym remisem 2:2 ze słabą Koreą Północną i już na drugi, o punkty w eliminacjach do mistrzostw Europy, przyjechał z Bundesligi Włodzimierz Smolarek. Polska wygrała 2:1, a napastnik Eintrachtu Frankfurt był najlepszy na boisku. Nic dziwnego, bo on naprawdę przyjechał z innego piłkarskiego świata. Wtedy polska piłka staczała się po równi pochyłej, a świat parł naprzód. Smolarek opowiadał w wywiadach o odnowie biologicznej, masażach, odżywkach, co brzmiało dla polskich kibiców jak bajki. Wtedy w naszym futbolu problemem było to, jak przekonać piłkarzy, żeby nie palili papierosów, nie przesadzali z piwem i wcześnie szli spać.

Do tego dochodziła korupcja, przecież w 1988 r. Andrzej Zaorski nakręcił film „Piłkarski poker", a historie, które są tam pokazane, to nie była tylko wyobraźnia scenarzysty. Nie dało się budować kadry na zawodnikach występujących nad Wisłą, więc nie można było rezygnować z gwiazd. Tymczasem u Łazarka szansy nie dostał błyszczący w Bundeslidze Andrzej Buncol, a Boniek zagrał tylko dwa mecze.

Podobno jeden z najlepszych piłkarzy w historii polskiej piłki sam zadzwonił do Łazarka z propozycją przyjazdu na zgrupowanie przed meczem z Cyprem. Odebrała żona, selekcjoner nie oddzwonił i powołania nie wysłał, a Biało-Czerwoni zremisowali 0:0 z jedną z najsłabszych drużyn w Europie lat 80.

Boniek po mistrzostwach świata w Meksyku zagrał w reprezentacji tylko dwa razy (m.in. w zremisowanym 0:0 meczu z Holandią) i niedługo potem skończył piłkarską karierę, w wieku ledwie 32 lat. Po latach twierdził, że gdyby miał szansę na występy w eliminacjach i perspektywę gry na mundialu Italia '90, może grałby w piłkę dłużej. Kadra bez Bońka osuwała się coraz bardziej i kibice na kolejny występ w mistrzostwach świata czekali aż 16 lat – do 2002 r.

BŁASZCZYKOWSKI NIE ZREZYGNOWAŁ

Mówiono o „klątwie", a przyczyny nie były nadprzyrodzone. Po prostu polska piłka była za słaba, szkolenie kulało, brakowało pieniędzy, infrastruktury i pomysłów. Na rozpadających się stadionach regularnie dochodziło do bijatyk kibiców, a piłkarze przegrywali ze wszystkimi.

Na szczęście to już przeszłość, przynajmniej jeśli chodzi o infrastrukturę. Tutaj punktem zwrotnym było Euro 2012, to wtedy zaczęły powstawać nowoczesne obiekty, nie tylko na potrzeby turnieju. Przed mistrzostwami Europy doszło też do jednego z większych skandali w polskiej piłce. Trener Franciszek Smuda wyrzucił z kadry dwóch świetnych piłkarzy: Michała Żewłakowa i Artura Boruca – oficjalnie za to, że złamali zakaz picia alkoholu w samolocie, którym kadra wracała z USA.

To nie była pierwsza wpadka Boruca, który już wcześniej wyleciał z drużyny prowadzonej przez Leo Beenhakkera za zbyt mocną imprezę w hotelu w Kijowie. Po tamtych ekscesach do kadry jeszcze wrócił, ale na Euro 2012 go zabrakło (Żewłakowa też). Szkoda, bo z bramkarzami na tamtym turnieju mieliśmy kłopot.

Takie konflikty i pożegnania, na ogół bezpodstawne, nigdy nie wychodziły Polakom na dobre. Tylko raz udało się przejść przez to suchą stopą, gdy Adam Nawałka zabrał opaskę Jakubowi Błaszczykowskiemu i dał ją Lewandowskiemu. Błaszczykowski nie zrezygnował z kadry i na Euro 2016 zagrał świetnie.

Można mówić o tym, że zachował się lepiej, ale chyba też nie dowiedział się o utracie opaski kapitana przez telefon. Udało się zatrzymać w drużynie ważnego zawodnika, na czym wszyscy skorzystali. Nie jest łatwo zastąpić ważnych piłkarzy, a talenty i silne charaktery nie rodzą się na kamieniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5f87de27ee

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pokaz siły na Czerniakowie

Panowanie Augusta II Mocnego kojarzy się z okresem upadku Rzeczypospolitej. Przegrana wojna ze Szwecją, która zrujnowała kraj, porażka króla w walce z konfederacją tarnogrodzką. Zerwane kolejne sejmy, które miały przynieść reformy państwa. Była jednak historyczna chwila, w której August II Mocny zdecydował się pogrozić militarną siłą sąsiadom, chcąc utorować synowi drogę do tronu.

Król przeprowadził wówczas wielki popis wojska koronnego i litewskiego pod Czerniakowem, dziś na terenie Warszawy. Przegląd, zwany kampamentem od łacińskiego „campus" (pole), odbył się w dniach od 31 lipca do 18 sierpnia 1732 r. i był, jeśli wierzyć relacjom zamieszczonym w „Kurierze Polskim" i raportom rezydentów i wysłanników pruskich – marszałka dworu Biebersteina i płk. Rochowa – imponującym pokazem siły i sprawności armii polsko-litewskiej.

RYS. MART

To „okazywanie" wojska odbywało się na terenie obecnego parku Królikarnia i wokół pałacu, który wszakże w tym czasie jeszcze nie istniał. Zamiast niego wybudowany został na Króliczej Górze, na jednym z wyniesień skarpy wiślanej, pawilon myśliwski króla. Rozciągał się z niego widok na dolinę rzeki i dwa place dla ćwiczeń wojskowych. Pawilon ogrodzony został murem, przed nim założono ogród, w którym główną atrakcją były drzewka pomarańczowe. Kampament odbywał się u podnóża skarpy, na terenie obecnych ogródków działkowych, fortu Piłsudskiego i Trasy Siekierkowskiej. Licznie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

zgromadzeni goście, dla których zabrakło miejsca w królewskim pawilonie, obserwowali manewry z trybun wybudowanych na opadającym w dół zboczu.

Kampament sprawił piorunujące wrażenie na przedstawicielach obcych dworów. Co ciekawe, brały w nim udział tylko oddziały koronne i litewskie, gdyż zgodnie z postanowieniami Sejmu niemego król mógł utrzymywać w Rzeczypospolitej jedynie 1,2 tys. ludzi gwardii przybocznej; zabronione było zaś sprowadzanie w granice państwa armii saskiej. Popisem dowodził przybyły ze Lwowa regimentarz koronny Stanisław Poniatowski, ojciec późniejszego króla. Z kolei kompaniom grenadierskim króla przewodził August Czartoryski.

Popis polegał przede wszystkim na przeprowadzeniu pozorowanych ataków, ćwiczeniach oddziałów jazdy i użyciu granatów. Największą jednak sensację wzbudził pokaz chorągwi husarskich. Przed popisem bowiem król kazał przezbroić swoje regimenty kirasjerów na wzór sławnej polskiej jazdy i dodatkowo wyposażyć je w kopie. Pokazywało to, że chociaż od ponad 30 lat husaria nie wygrała żadnej bitwy i odchodziła powoli do lamusa, to wciąż budziła respekt.

W trakcie kampamentu król zawarł dwa traktaty dyplomatyczne o dużym znaczeniu dla Rzeczypospolitej. Pierwszym był sojusz z Bawarią, który miał chronić Saksonię zagrożoną przez Prusy i Austrię oraz porażoną wojną celną. Drugim – pokój ze Szwecją kończący wojnę, którą wypowiedział August w 1700 r. jako elektor saski, a potem wciągnął do niej Rzeczpospolitą. Kłopot w tym, że w czasie wieloletnich walk król złamał również układ z carem Piotrem I, zrzekł się korony polskiej, potem ją odzyskał, co w połączeniu z jego słabością militarną i nieudolnością wojsk saskich doprowadziło do tego, że dyplomaci sascy i polscy zostali odsunięci od oficjalnych rokowań ze Szwecją. Dlatego inicjatywa podjęta przez Augusta II wywołała ostrą reakcję ze strony Moskwy i Prus, które chciały utrzymać stan formalnej wojny między Szwecją a Rzeczpospolitą. Ich wysłannicy protestowali, twierdząc, że traktat narusza zobowiązania podjęte przez dwór w Sztokholmie wobec Rosji; w rzeczywistości bali się też zbliżenia obu krajów. Dyplomacja królewska oświadczyła, że jest to odnowienie dawnego pokoju zawartego w Oliwie w 1660 r., a nie podpisanie nowego przymierza.

Kampament wojsk saskich stanowił ostatnią próbę pokazania potęgi Rzeczypospolitej za czasów Augusta i jego syna. Nie spełnił jednak pokładanych w nim nadziei. Przede wszystkim król umarł pół roku później, a jego wojownicza postawa tylko pobudziła do szybszego działania dyplomacje pruską i moskiewską, które miały własne plany co do obsadzenia tronu po jego śmierci. Z kolei partia Potockich uznała zbrojną demonstrację za zamach na wolności szlacheckie i wystąpiła do ambasadorów Rosji i Prus z prośbą o pomoc wojskową, gdyby król próbował ograniczyć szlacheckie wolności siłą. Lepszego pretekstu do przyszłej ingerencji w elekcję carowa Katarzyna I i elektor pruski Fryderyk Wilhelm nie mogli sobie wymarzyć. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

OMODA E5

FOT. JAP

Elektryczny crossover rodem z Chin ma futurystyczny wygląd i stosunkowo dobrą cenę. Zwłaszcza biorąc pod uwagę bogate wyposażenie w standardowej (i jedynej) wersji. Na długiej liście znajdują się m.in. dwukolorowe nadwozie, wyświetlacz HUD, dwa zakrzywione ekrany o przekątnej 12,3 cala, otwierane okno dachowe, podgrzewanie kierownicy i tylnej kanapy, pokryte ekologiczną skórą fotele z podgrzewaniem i wentylacją oraz zestaw kamer ułatwiających wjazd do garażu czy manewrowanie na parkingu. Na pokładzie są też bezprzewodowa ładowarka oraz system multimedialny bezprzewodowo łączący się z Android Auto czy Apple CarPlay.

Auto jest też uzbrojone w najróżniejsze systemy bezpieczeństwa: od asystenta pasa ruchu czy monitoringu martwego pola lusterek do algorytmów mających automatycznie ograniczać ryzyko kolizji. Generalnie nie można też narzekać na jakość zastosowanych w kabinie materiałów czy na spasowanie poszczególnych elementów. Miękko zestrojone zawieszenie sprzyja spokojnej, komfortowej jeździe. Pochwalić muszę również niezłe – zwłaszcza jak na tę półkę cenową – wyciszenie wnętrza. Do 120 km/h w kabinie panuje przyjemna cisza. Szkoda jedynie, że inżynierowie Omody zapatrzyli się w niektóre auta premium i „unowocześnili" wnętrze tak bardzo, że np. sterowanie klimatyzacją wymaga oderwania oczu od drogi i skupienia uwagi na ekranie systemu multimedialnego przez kilka długich sekund. Ani to wygodne, ani bezpieczne.

Mierząca 442,4 cm długości, 183 cm szerokości i 158,8 cm wysokości Omoda E5 ma na pokładzie elektryczny silnik generujący moc 204 KM. Moment obrotowy wynosi 340 Nm. Takie parametry sprawiają, że elektryczny crossover oferuje niezłą dynamikę. Sprint od zera do 100 km/h trwa tu nieco ponad 7 s. Model E5 bez trudu radzi sobie też na drogach szybkiego ruchu.

Chińczycy testowany model wyposażyli w baterię o pojemności 61 kWh, którą można ładować prądem stałym 80 kW. Jakby było 150 kW, to ładowanie trwałoby istotnie krócej, ale i tak auto od 30 do 80 proc. naładować można w mniej więcej pół godziny. 402 km zasięgu przy założeniu zużycia energii na poziomie 16,9 kWh/100 – taki apetyt na energię ma według producenta elektryczny crossover chińskiej marki Omoda. W naszym teście po mieście, drogach krajowych i autostradzie ten zasięg wyniósł ok. 390 km. 420 km jest do zrobienia, ale bez wjeżdżania na ekspresówki.

Niestety, w elektrycznej wersji akumulator trzeba było gdzieś zmieścić, na czym sporo stracił bagażnik. Kufer w E5 ma więc tylko 300 l pojemności.

Omoda E5 została wyceniona na 169,9 tys. zł. Na tle innych elektryków to całkiem rozsądna cena, a dzięki rządowym dopłatom można ją obniżyć do ok. 140 tys. zł). Mimo to dla mnie wciąż bardziej atrakcyjne są zarówno dysponująca tradycyjnym napędem Omoda 5, jak i Jaecoo 7 Super Hybrid. No chyba że ktoś koniecznie musi mieć zielone tablice. ©℗

STACJA POGODY NETATMO ORIGINAL

Eleganckie wzornictwo, wysoka dokładność pomiarów, nowe funkcje, m.in. dla alergików, oraz brak opłat za korzystanie z aplikacji – to największe zalety nowej odsłony kultowej stacji pogody francuskiej firmy Netatmo, która do sklepów trafiła 10 czerwca.

Swą pierwszą inteligentną stację pogody Netatmo wprowadziło na rynek w roku 2012. Produkt szybko podbił serca klientów i zdobył wiele wyróżnień (np. za tytuł najlepszej stacji pogody według dziennika „New York Times"). Jednym z powodów, dla którego tyle osób zdecydowało się powiedzieć temu drogiemu produktowi „bonżur", był dopracowany, elegancki design. Na szczęście stacja pogody w odświeżonej wersji wygląda niemal identycznie jak ta sprzed 13 lat. Francuzi wprowadzili jedynie inne kolory: piaskowy oraz miętowy.

Składająca się z modułu wewnętrznego i zewnętrznego stacja Netatmo Original – podobnie jak jej o dekadę starsza siostra – z dużą dokładnością mierzy temperaturę, wilgotność oraz jakość powietrza wewnątrz i na zewnątrz, a także wartość ciśnienia atmosferycznego czy poziomu hałasu w pomieszczeniu. Po rozbudowie systemu o deszczomierz i wiatromierz (oba są dodatkowo płatne) zarówno starsza, jak i nowsza wersja urządzenia przekazują także dokładne informacje o tym, ile deszczu spadło na działkę przed domem oraz jak silny wieje wiatr.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W przypadku Netatmo Original pojawiło się kilka dodatkowych elementów w aplikacji: można sprawdzić aktualną wartość indeksu UV w okolicy – w skali od zera do 11+ – a także prognozę aktywności słonecznej na najbliższe 24 godziny. Gdy indeks UV jest wysoki, aplikacja wysyła również użytkownikowi ostrzeżenie, co może być szczególnie ważne dla osób o jasnej karnacji. Aplikacja może też ostrzegać alergików przed wysokim stężeniu pyłków drzew, traw oraz chwastów.

Szkoda też, że akurat te informacje nie pochodzą z czujników wbudowanych w moduły. Minusem jest też wiele błędów w polskojęzycznej wersji aplikacji (polski użytkowników widzi np. trzy kategorie pyłków: „trees", „trawy" oraz „zioła"). Aplikacja udostępnia także prognozę pylenia na najbliższe trzy dni (i tu są kolejne błędy w tłumaczeniu). Można też ustawić własne ostrzeżenia. I tak np. ogrodnicy docenią informację o ryzyku przymrozków, a dbający o dobry sen alerty o zbyt wysokim poziomie CO_2 w sypialni. Aplikacja oferuje też możliwość analizy trendów.

Cena: 739,99 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 5f87de27ee

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Smak Śląska

Odwiedzając ostatnio rodzinny Bytom, miałyśmy okazję zjeść wyśmienite kluski śląskie z tradycyjną roladą wołową i modrą kapustę. Tradycyjna kuchnia śląska oparta jest na prostych, treściwych składnikach. Jest sycąca, co wynikało z potrzeb górników i ich ciężkiej pracy w kopalni. Wpływ na kuchnię śląską mają także naleciałości niemieckie, czeskie i austriackie. Jedno jest pewne – Ślązacy są wyjątkowo gościnni i zawsze mają suto zastawiony stół. Oczywiście kluski śląskie to najbardziej rozpoznawalne danie. A nasza mama potrafiła zrobić kluski w przysłowiowe pięć minut z ziemniaków z poprzedniego dnia. Odwiedzając naszą kuzynkę Bożenę, liczyłyśmy na reminiscencje z młodości i się nie zawiodłyśmy. Poczęstowała nas przepysznym gulaszem wieprzowym z kaszą jęczmienną i młodą kapustą. Mięso duszone w sosie zawsze się sprawdza – jest soczyste i aromatyczne, a to dzięki temu, że mięso najpierw obtaczamy w mące i obsmażamy, a dopiero później zalewamy wodą lub bulionem i wraz z przyprawami dusimy do miękkości. W tym czasie gotujemy kaszę jęczmienną, a młoda kapusta to właściwie robi się sama. Obiad gotowy w dwie godziny. I takie gotowanie to my lubimy.

Gulasz wieprzowy z kaszą jęczmienną

• 1 kg mięsa wieprzowego łopatki lub szynki • 1 cebula • 2 łyżki oleju rzepakowego • 1 duża łyżka masła • 2 ząbki czosnku lub łyżeczka czosnku sproszkowanego • 500 ml bulionu • 1 marchewka • 1 łyżeczka papryki czerwonej i soli • pół łyżeczki pieprzu, 3 sztuki ziela angielskiego, 2 liście laurowe • 1 łyżka mąki pszennej • łyżka mąki ziemniaczanej

Mięso kroimy na jednocentymetrowe kawałki. Solimy, dodajemy pieprz, czerwoną paprykę, olej, mieszamy, obsypujemy łyżką mąki pszennej. Na rozgrzany olej z masłem wykładamy mięso i obsmażamy z każdej strony 2–3 min, następnie zdejmujemy z patelni. Potem na patelnię dodajemy łyżkę oleju i podsmażamy posiekaną cebulę z czosnkiem i pokrojoną drobno marchewkę, czekamy kilka minut i dodajemy mięso, bulion, przyprawy – ziele angielskie, liść laurowy. Doprowadzamy do wrzenia, zmniejszamy ogień i gotujemy 90 min. W tym czasie gotujemy kaszę jęczmienną perłową zgodnie z opisem na opakowaniu.

Młoda kapusta zasmażana

1 kapusta • 1 cebula • 2 duże łyżki masła lub oliwy • sól, pieprz, sok z połowy cytryny, słodka śmietanka • świeży koperek

FOT. ADOBE STOCK

Kapustę szatkujemy, cebulę siekamy w piórka. Masło lub oliwę rozgrzewamy w garnku, podsmażamy cebulkę przez 5 min, dodajemy poszatkowaną kapustę, podlewamy odrobiną wody, wszystko razem gotujemy ok. 15 minut. Dodajemy przyprawy. Na koniec dodajemy sok z cytryny i słodką śmietankę. Smacznego! ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wojna jest daleko

W radiowej Dwójce natrafiłam na rozmowę z dziennikarzem Pawłem Pieniążkiem. Mówił o swojej książce „Wojna w moim domu".

Sądząc po tym, jak i co mówi o niej autor, książka jest ciekawa i mam zamiar ją przeczytać. Opowiada o ataku Rosji na Ukrainę i innych konfliktach w tym odległym od nas i mało znanym rejonie świata. Autor spędził tam wiele czasu, kilkadziesiąt godzin rozmawiał z ludźmi. Pisze nie z perspektywy wielkiej polityki, ale właśnie zwykłych ludzi.

Opowiadał także o konflikcie azersko-armeńskim, jednym z najdłużej trwających i najbardziej złożonych konfliktów światowych. Spór między Armenią i Azerbejdżanem toczy się o Górski Karabach, region położony formalnie w granicach Azerbejdżanu, ale historycznie zamieszkany przez Ormian. Jest to jeden z licznych konfliktów, których źródłem stał się rozpad ZSRS. Gdy Ormianie z Karabachu zażądali przyłączenia do Armenii, wywołało to sprzeciw Azerbejdżanu i otwartą wojnę.

Przyznaję, że miałam blade pojęcie o tym, co się tam działo i, jak podejrzewam, większość moich rodaków ma podobnie. Słyszałam o tej wojnie z mediów i zapamiętałam piąte przez dziesiąte.

Nic nowego: na świecie toczy się wiele konfliktów i świadomość ich grozy dociera do nas dopiero wtedy, kiedy stoją u progu naszego domu. Taka jest natura ludzka: eliminuje złe wiadomości, a tymi w cyfrowych czasach jesteśmy codziennie zarzucani, zatapiani w nich i wyrzucamy je ze świadomości. Taki spam.

Zapadło mi w pamięć zdanie Miłosza z jego książki „Widzenia nad Zatoką San Francisco". Przytaczam je tak, jak zapamiętałam: „Tych wszystkich informacji, którymi codziennie jestem zarzucany, nie jestem w stanie ani zapamiętać, ani zrozumieć, ani ich przeżyć". Miłosz pisał to w latach 70., długo przed erą cyfrową, długo przed X i Facebookiem. Nawet by mu się nie przyśniło, że może istnieć coś takiego jak Internet.

Jechaliśmy z panem Bojańczykiem samochodem i on oczywiście (jak to facet) włączył jakąś stację informacyjną, kolejną młockarnię powyborczych komentarzy. Kolejną porcję gadaniny, którą szefowie stacji radiowych muszą zatkać całą dobę. Ale czy ja muszę tego słuchać? Nie jestem Miłoszem, ale również „nie jestem w stanie tego zrozumieć, zapamiętać, przeżyć". A szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi.

Ale gdy o tym opowie prawdziwy człowiek, nie komentator telewizyjny, to najdalsza wojna może stać się zrozumiała. I dlatego przeczytam książkę Pawła Pieniążka, bo – po pierwsze – to nie będzie młockarnia komentarzy, po drugie – to książka, nie kolejny hałas medialny wypełniający czas między blokami reklamowymi. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Szkoda, panowie

Kończy się przyjacielska współpraca Donalda Trumpa i Elona Muska. Miała ona duże znaczenie w odstygmatyzowaniu Trumpa ze strony tuza nowoczesnej gospodarki – to jednak wkład Muska w kampanię. O wiele większe znaczenie Musk odegrał już po wyborach, kiedy zabrał się do odchudzania amerykańskiej administracji oraz rozliczania agencji wpływu eksportujących postępową agendę po świecie.

Po wzajemnym obszczekiwaniu się pozostały dwa powody rozstania się mocarnej pary. Trump twierdzi, że zauważył, iż Musk pasie się ze swymi biznesami na wyjątkowej pozycji wobec właśnie administracji publicznej. Trump zrzuca więc winę na Muska jako koniunkturalistę, co stawia jego intencje w krzywym świetle dbania o własne interesy. A więc Trump, zrywając z Muskiem, pokazuje swój ruch jako „czyściciela" złogów starego.

Musk tłumaczy, że sam odszedł, bo mu się nie spodobał nowy budżet Trumpa. Trzeba przypomnieć, jak działał Musk z administracją (co jest ważnym kierunkiem dla naszych zaśpiewów o tzw. deregulacji i zmniejszaniu aparatu urzędniczego). Musk działał na zasadzie… „diety Dąbrowskiej". Dieta ta polega na głodzeniu organizmu, tak by sięgnął on do rezerw w ramach ratunkowego samoodżywiania się. A wtedy wygłodzony organizm rzuca się na niepotrzebne złogi, toksyny, o zapasach tłuszczyku nie wspominając.

Tak samo robił Musk – nie rozczytywał skomplikowanych zależności organizacyjnych, nie wgłębiał się w meandry danej instytucji. Patrzył tylko na zadania (czasami uznawał je za nieistotne i likwidował całą instytucję) oraz na budżet. Obcinał budżet i na takiej głodówce instytucja sama się odchudzała. Mieliśmy więc czarną skrzynkę, na której wejściu Musk przycinał zasilanie w kasę, i nie interesowało go, co się dzieje w środku, byleby wychodziło z tej skrzynki wykonanie zleconych działań.

I kiedy Musk zobaczył, że w budżecie Trumpa administracja ma się całkiem dobrze, to zrozumiał, że jego polityczny pryncypał chce dalej „karmić potwora". A więc cały pogrzeb na nic. Czarne skrzynki instytucji przyjmą i uzasadnią każdą dodatkową kwotę na wydatki. W związku z tym nie będzie żadnego odchudzania administracji, a to niweczy nie tylko trud Muska, lecz także całą ideę. I tak tłumaczy swoje rozstanie z Trumpem wizjoner z RPA.

I to nie jest dobra wiadomość. W sprawie redukcji administracji projekt DOGE świecił pochodnią oświetlającą drogę reformatorom na całym świecie, rozstanie takiej pary pokazuje zaś innym współpracownikom, że na pstrym koniu jeździ fortuna współpracy z Trumpem. Co wpływowych towarzyszy na pewno mu nie przysporzy. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Nie wypierajmy wiedzy

Kiedy w gronie przyjaciół – lekarzy, dziennikarzy i muzyków – tworzyliśmy list solidarności z lekarzami, prześladowanymi za ich krytyczną postawę wobec polityki władz RP w czasie pandemii, znajomy, publicysta i lider opinii uzależnił poparcie lekarzy od wyjaśnienia kilku sformułowań. Zastrzeżenia budziło stwierdzenie, że krytyka masowego stosowania eksperymentalnie dopuszczonych preparatów mRNA była zasadna: „Potwierdzają to nie tylko […] badania naukowe, statystyki powikłań poszczepiennych, ale też wycofanie przez Departament Zdrowia USA rekomendacji dla tych preparatów".

Wtedy, w natłoku zajęć, nie miałem szans odpowiedzieć. Teraz ze względu na ramy felietonu ograniczę się do kilku informacji. Po pierwsze – pandemia COVID-19 była wydarzeniem o ogromnym znaczeniu społecznym, politycznym, gospodarczym i zdrowotnym. Jej oddziaływanie na wszystkie dziedziny życia było nieporównywalne z żadnym innym wydarzeniem ostatnich lat. Jako takie więc domaga się zrozumienia i oceny. Ponieważ od samego początku żyliśmy – i żyjemy – w niespotykanym szumie informacyjnym (pandemii towarzyszyła propagandowa operacja medialna), to zrozumienie tego, co naprawdę się stało, nie było łatwe. Jednak każdy świadomy uczestnik tych wydarzeń musiał sobie przynajmniej próbować odpowiedzieć na pytania dotyczące skali i zasadności wprowadzanych restrykcji oraz ich skutków.

Zdumiewa mnie więc, jak to możliwe, że – przynajmniej od momentu, gdy zasadność restrykcji sanitarnych i polityki masowych szczepień zostały sfalsyfikowane przez napaść Rosji na Ukrainę i wjazd do Polski milionów nieszczepionych uchodźców – nadal można tkwić w błogiej nieświadomości. Ponadto od pierwszego roku ogłoszenia pandemii – najpierw poza mainstreamem, potem coraz częściej również w uznanych za renomowane periodykach – zaczęły się pojawiać wyniki badań i artykuły naukowe kwestionujące oficjalną narrację WHO. Świat nauki nigdy nie był monolitem. Wielu uznanych badaczy nie abdykowało z dociekliwości, publikując krytykę „covidowych dogmatów". Powoli mogliśmy dostrzec, z jak wielkim szwindlem mieliśmy do czynienia.

Dodatkowo od kilku miesięcy mamy wysyp informacji ujawnianych przez departament zdrowia USA i niezmordowanego Roberta Kennedy'ego Jr. Tym, którzy nie mają czasu, by przetrząsać Internet w poszukiwaniu informacji, polecam śledzić na X profil dr. n. med. Piotra Witczaka. Niemal każdego dnia można tam znaleźć kolejne newsy ze świata medycyny i polityki pokazujące, że najgłośniejsza teoria spiskowa ostatnich lat okazuje się prawdziwym spiskiem. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Grypsera Gajewskiej

Ależ nam zaimponował Marek Sawicki z PSL, bezkompromisowy twardziel z najtwardszych! Stop. Po przegranych przez Rafała Trzaskowskiego wyborach Donald Tusk wystąpił z trzyminutowym orędziem, na którym tenże Sawicki nie zostawił suchej nitki. Stop. „Premier dokonał samooceny, że teraz rząd weźmie się do pracy. W związku z tym sam przyznał, że do tej pory zbyt się nie przepracowywał. A więc czas najwyższy spróbować z innym premierem. I nie kwestia wotum zaufania, tylko konstruktywne wotum nieufności" – wycedził przez zaciśnięte zęby. Stop. Było więc oczywiste, jak Sawicki zagłosuje 11 czerwca. Stop. Zagłosował na Tuska, wprowadzając do polszczyzny nowy związek frazeologiczny: zrobić z gęby Sawickiego. Stop.

Posłanka Paulina Matysiak, zwana też Bestią z Kutna, pozwoliła sobie ocenić przemówienie premiera Donalda Tuska, kiedy ten starał się o wotum zaufania. Stop. „Kilka stwierdzeń z pana przemówienia o CPK: przymusowe, brutalne wywłaszczenia. Jakie są fakty? Nikt nie został wywłaszczony. Mało tego, działał program dobrowolnych nabyć, tak dobry, że obecny zarząd uruchomił ten program ponownie". Stop. Obserwowałem w tym czasie minę Tuska, wyrażała zdumienie: „Ale jak to, wy się ciągle dziwicie, że kłamię jak najęty? Nie przyzwyczailiście się przez tyle lat?". Stop.

Ponieważ Michnik poparł Trzaskowskiego, to Trzaskowski przegrał, gdyż działa tzw. klątwa Michnika, czyli kogo Michnik poprze, ten jest przegrywem. Stop. Niestety, po wyborach Michnik wystąpił i publicznie deklarował tłumaczenie społeczeństwu, że źle wybrało, głosując na Nawrockiego. Stop. To się może skończyć jakąś katastrofą dla PO...

Dzieją się rzeczy wiekopomne, że nie do wiary. Stop. Aleksandra Sobczak z „Gazety Wyborczej" nazwała Romana Giertycha „trollem internetowym, który niepotrzebnie podsyca emocje". Stop. I ona to zrobiła w telewizji TVN. Stop. Też nic z tego nie rozumiem, przecież Giertych jest teraz w paczce Tuska. Więc po co niepotrzebnie podsycać emocje?

Kinga Gajewska przemawiała w Sejmie. Stop. Na mównicę weszła bez ziemniaków, ale powiedziała, że jest skłonna przynosić je Dariuszowi Mateckiemu „pod celę", bo ten zmarniał. Stop. Powszechnie wiadomo, że Matecki walczy z chorobą nowotworową, więc przytyki, że „zmarniał", są – najdelikatniej mówiąc – dalece niestosowne. Stop. Nie tylko to jednak zwróciło moją uwagę jako filologa z wykształcenia, niestety. Stop. Otóż zwrot „pod celą" to grypsera, czyli slang przestępczy, którym posługiwać mogą się stojący najwyżej w więziennej hierarchii bandyci. Stop. Nie mam pojęcia, skąd Gajewska zna grypserę. Przecież chyba nie z domu? ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Trump w „Pajęczynie"

Jak poinformowała przed tygodniem rzeczniczka prasowa Białego Domu Karoline Leavitt, prezydent USA Donald Trump nie został zawczasu poinformowany o mających nastąpić ukraińskich atakach na rosyjskie lotniska, na których stacjonowały bombowce dalekiego zasięgu, zdolne do przenoszenia ładunków jądrowych. Bombowce takie stanowią cześć „triady nuklearnej" Rosji. Poza bombowcami należą do niej rakiety balistyczne i atomowe łodzie podwodne.

Przez cały okres zimnej wojny to właśnie na „równowadze strachu", związanej ze wzajemną zdolnością mocarstw atomowych do zniszczenia ewentualnego agresora, opierała się strategia powstrzymywania, której zawdzięczamy uniknięcie nuklearnego kataklizmu. Zaatakowanie środków przenoszenia broni jądrowej lub systemu wczesnego ostrzegania któregoś z mocarstw władających bronią atomową wydawało się krokiem samobójczo ryzykownym. Tego właśnie dokonali Ukraińcy w ramach operacji „Pajęczyna". Toczona na Ukrainie wojna jest „wojną zastępczą" pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Jeśli wspierana przez Stany Zjednoczone Ukraina dokonała tego ataku za wiedzą Amerykanów, a rzecznik Leavitt po prostu kłamie, to jest to dla świata zła nowina. Jeżeli amerykański prezydent rzeczywiście nie wiedział o planowanym ataku na rosyjskie bombowce strategiczne, to „państwo satelickie" USA właśnie wyrwało się spod kontroli hegemona, a sytuacja wygląda jeszcze gorzej.

W czerwcu 1914 r. szef serbskiego wywiadu wojskowego, a zarazem przywódca organizacji terrorystycznej Czarna Ręka, Dragutin Dimitrijević, przygotował w Sarajewie zamach na austriackiego następcę tronu, arcyksięcia Ferdynanda. Serbia była wtedy państwem satelickim Rosji, w której panował akurat polityczny chaos, niczym w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych. Rosyjski ambasador w Belgradzie, Nikołaj Hartwig, robił na Bałkanach, co chciał, ciesząc się protekcją potężnych dworskich klik. Serbscy organizatorzy zamachu koordynowali swe plany z attaché wojskowym Rosji, zapewne wiedział też o nich ambasador. O przygotowywanym zamachu na austriackiego następcę tronu car Mikołaj II, podobnie jak jego ministrowie, nie miał pojęcia. Terrorystycznym atakiem Czarnej Ręki był zapewne zaskoczony, podobnie jak ukraińska „Pajęczyna" zaskoczyła Donalda Trumpa.

Wyrwanie się serbskiego wywiadu spod rosyjskiej kontroli doprowadziło przed 100 laty do sprowokowania wojny światowej. Czy niewiedza prezydenta Donalda Trumpa o planach ukraińskiego wywiadu jest dla nas dobrą nowiną? ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nowy początek?

Uff, pierwsza gigantyczna batalia o uratowanie Polski zakończyła się sukcesem! Z najwyższym podziwem należy odnieść się do talentu i wielkości trudu, który w tę batalię włożyli dr Karol Nawrocki, jego sztab oraz jego sympatyczna i niezłomna rodzina. Efektem jest nie tylko zwycięstwo wyborcze, lecz także nowa nadzieja, której już brakowało na początku roku. Jest także ogromny potencjał społeczny zaangażowany w tę kampanię. Pamiętajmy bowiem o setkach spotkań, których nie przywiózł przecież ze sobą tylko Nawrocki, ale które pomagały organizować miejscowe zespoły ludzi. Można się było spodziewać najgorszego: wyglądało na to, że potencjalne zwycięstwo może zostać „unieważnione" przez dyktaturę Partii Lepszych. Gratulacje od pani von der Leyen, a być może jeszcze inne naciski powstrzymały na razie awangardę tej partii od rozróby na większą skalę. Nie wiadomo, czy porażka Tuska pozwoli usunąć jego rząd. Może to potrwać. PiS i Konfederacja będą zajęte tymi działaniami i może się okazać, że kiedy osiągną cel, upłynie sporo czasu, zanim skutecznie zabiorą się do oczyszczania polskiego bagna.

Czasu nie można jednak marnować. Sprawy toczą się szybko i to w złym kierunku. Czekają nas miesiące końcówki prezydentury Andrzeja Dudy i sukcesja – budowa nowego ośrodka władzy prezydenckiej Karola Nawrockiego. Rozmiary problemów, które narosły w III Rzeczypospolitej, a które zaostrzyły się w ostatnich kilkunastu miesiącach, są gigantyczne. Ujawniły się jednak ogromne zasoby pozytywnej energii. Obok potężnego Obywatelskiego Komitetu Poparcia dr. Nawrockiego są Ruch Kontroli Wyborów, Ruch Obrony Wyborów, Ruch Obrony Granic, Kluby „Gazety Polskiej", Przyjaciele TV Republika, są Instytut Ordo Iuris, stowarzyszenia prawnicze i wiele innych inicjatyw. Sztab wyborczy dr. Nawrockiego z pewnością ma te kontakty. Nowy ośrodek prezydencki ma z czego korzystać. Niezależnie od zwykłej obsady administracji mogłyby tam powstać zespoły przygotowujące skuteczne przeprowadzenie zmian po usunięciu szkodliwego rządu Tuska. Pamiętajmy, jak świetnie przygotował nową ekipę republikańską w USA Donald Trump. Warto się przyjrzeć, jak to zrobił. Polacy nie powinni okazać się gorsi w improwizacji.

Wybory pokazały, że Polska jest naprawdę w mniejszych i średnich ośrodkach miejskich. Potencjał ich lokalnych elit jest niewykorzystywany. Jest to kapitał, który się marnuje

Wśród tematów, które wysuwają się na czoło, jest oczywiście uszczelnienie budżetu, sprawność i uczciwość sądów, podniesienie poziomu szkolnictwa, rozbudowa armii, wznowienie strategicznych inwestycji typu CPK czy regulacje rynku medialnego. Trzeba obronić kontrakty na broń zawarte przez poprzednią ekipę. Trzeba zrobić rachunek zysków i strat „narodowego nieposłuszeństwa" w Unii Europejskiej. Coś trzeba zrobić ze szkolnictwem wyższym, rozdętym, ale coraz słabszym merytorycznie oraz zarażonym „polityczną poprawnością" i „kulturą wykluczania" (cancel culture), z programami szkół podstawowych i średnich, które muszą zacząć uczyć myśleć, a więc zajmować się głowami i sercami uczniów, a nie skupiać się na środkowych partiach ich ciał. Dlaczego nie stworzyć „narodowych" domów mediowych, które redystrybuowałyby reklamy do mediów, które służą polskim interesom, a nie do tych, które im szkodzą? W ten sposób można by osłabić wpływy mediów o zagranicznym kapitale.

Wybory pokazały, że Polska jest naprawdę w mniejszych i średnich ośrodkach miejskich. Potencjał ich lokalnych elit jest niewykorzystywany. Jest to kapitał, który się marnuje, i trzeba go koniecznie angażować w pracy dla całej Polski.

Do przygotowania praktycznych działań w wymienionych kwestiach nie potrzeba wielkich rad emerytowanych autorytetów; potrzeba małych zespołów ekspertów, które zarysują cele, a także równie małych gron prawników, które doradzą, jak te kwestie szybko i sprawnie przeprowadzić, gdy przyjdzie na to pora. Czy to wszystko wymagać będzie ogromnych środków, których Pałac Prezydencki został i tak częściowo pozbawiony? Wydaje się, że znajdzie się sporo woluntariuszy, którzy swoją wiedzą i doświadczeniem podzielą się w ramach środków, którymi sami dysponują. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

KTO PĘKNIE

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Na niektóre listy nie reaguję od razu – czekam miesiąc, dwa i dopiero wtedy odpisuję. No np. ten, cytuję: „Nadal podnieca się Pan Trumpem? Właśnie przegrał wojnę celną z Chinami, Putin ma go głęboko w dupie, ten cały balonik z napisem »Trump«, który tak Pan pompował, zaraz pęknie".

***

Co do Putina: zgoda – wyszło na to, że ma Trumpa gdzieś. I gdy to wyszło na jaw, Trump się odwzajemnił. Żadna ze stron wojny ukraińskiej nie chce pokoju, chcą się nadal mordować. Obie grupy oligarchów (moskiewska i kijowska) chcą nadal robić kasę na wojnie. Ludzie na froncie giną, a majątki oligarchów rosną. Obu stronom konfliktu najwyraźniej zależy, by to jeszcze trwało i trwało. Zrobili Trumpa w konia. Najpierw Zełenski był niegrzeczny w Gabinecie Owalnym, więc został wyproszony za drzwi i upomniany, że następnym razem ma się ubrać w garnitur. Potem rosyjskie rakiety zostały wystrzelone w Kijów w czasie, gdy ludzie Trumpa prowadzili negocjacje pokojowe w Moskwie. Trump stwierdził: „Byłem zaskoczony, a nie lubię być zaskakiwany". Rząd Trumpa w ramach zemsty na Putinie zwrócił się do Kongresu o zajęcie rosyjskich aktywów i użycie ich na odbudowę Ukrainy.

Mnie się to nie podoba co do zasady – zabieranie komuś jego pieniędzy i przekazywanie ich komuś innemu uważam za złodziejstwo i nie pochwalam. Co innego reparacje wojenne, uzgodnione po kapitulacji, a co innego grabież na chama.

***

W sprawie Chin i cła wyszło na moje. Chińczycy ostatecznie podeszli do stolika i zaczęli otwierać swoje rynki na towary z USA. Robią to powoli – branża za branżą – bo chcą zachować twarz, no ale robią. Trump wymusza dostęp do rynku w Chinach dla kolejnych amerykańskich produktów.

Podobnie wymusza na Unii Europejskiej likwidację cła i podatku VAT na towary z USA. Ma być równo po obu stronach oceanu i to akurat powinno nas cieszyć, bo znaczy, że będzie taniej.

Celem jest stworzenie strefy wolnego handlu pomiędzy UE a USA. Trump nie chce nikogo zmuszać do kupowania amerykańskich towarów, po prostu uważa, że Europejczycy powinni mieć do nich dostęp na równych zasadach, a jeżeli amerykański towar się w Europie nie spodoba, to nie będzie kupowany i tyle. Rynek – a nie ograniczenia rynku – ma decydować o tym, co i za ile kupują mieszkańcy Unii.

Skoro w USA nie ma podatku VAT na towary unijne, to Trump chce, aby Unia nie nakładała VAT na towary amerykańskie. I Trumpa w tym przypadku nie interesuje, jak Unia ma sobie poradzić ze swoimi przepisami wewnętrznymi. Wasze przepisy, nie moje, radźcie sobie, zmieńcie je, zastosujcie zwolnienia z VAT na wybrane kategorie towarów – chcę równych szans po obu stronach granicy. Unia się przed tym broni, bo ma ogólnie gorszy towar. W USA ten sam towar jest najczęściej tańszy i zawsze lepszy jakościowo, o czym wie każdy, kto był w USA nawet na bardzo krótkiej wycieczce.

***

Mieszkam i żyję na dwa kraje – pół na pół w Polsce i USA. Zawsze gdy lecę do Polski, zabieram trzy ogromne walizy wypakowane rzeczami codziennego użytku. Dowożę sobie do domu w Polsce przedmioty pospolite, takie jak pasta do zębów, golarki jednorazowe, gąbki kuchenne, narzędzia stolarskie. Wszystko to mógłbym kupić w Polsce, ale wtedy będzie droższe i gorszej jakości. Ten sam model golarki jednorazowej z tej samej firmy, identyczna nazwa, wygląd… i golarka kupiona w USA goli wielokrotnie dłużej, zanim ją trzeba wyrzucić. Najlepsze i najdroższe wiertła do betonu kupione w Polsce robią się szybko tępe i często pękają. Mój majster co chwilę kupuje nowe. Takie same wiertła, tej samej firmy, kupione w USA wytrzymują kilka lat. I w obu przypadkach na pudełku jest napisane CHINA. Czyli ten sam towar produkowany w tym samym miejscu w Chinach, pod tą samą marką, ale z przeznaczeniem na rynek amerykański jest wykonany lepiej, z lepszych materiałów niż towar przeznaczony do Unii Europejskiej.

Dlatego wożę z USA wszystko, co jestem w stanie spakować do walizki. Przywiozłem nawet blaszane lampy na stodołę. W Polsce lampy na elewację kosztują kilka stów i są średnie, jeśli chodzi o jakość i estetykę, natomiast te z USA są bardzo ładne, stylowe, pasujące do stodoły na folwarku, mocne i dużo tańsze.

W drugą stronę też zabieram trzy pełne walizy: zapas yerba mate z mojego sklepu, miody pitne na prezenty i książki; do USA zabieram kilkadziesiąt kilogramów książek, zazwyczaj używanych z antykwariatu, i zero przedmiotów codziennego użytku.

***

Sztuczka Trumpa z taryfami celnymi polega na tym, że wszyscy eksportują do USA więcej, niż importują, więc w wojnie celnej wszyscy mają do stracenia więcej niż USA. Amerykę stać na utratę rynków Unii Europejskiej, a krajów Unii nie stać na utratę rynku amerykańskiego. Unia Europejska ledwo zipie gospodarczo i gdyby jeszcze utraciła możliwość eksportu do USA, padłaby na pysk. W Unii towar produkuje się tak drogo, że nie da się go sprzedać do krajów biednych. Czyli albo Unia będzie sprzedawała ten swój towar do USA, albo wcale.

Deficyt Stanów Zjednoczonych w obrotach handlowych z Unią wyniósł w zeszłym roku 235 mld dol., czyli Unia na wymianie handlowej z USA miała „górkę" wynoszącą plus 235 mld. Trump żąda takich zmian w dostępie do unijnego rynku, aby ta górka zniknęła. Czyli handlujmy, ale w taki sposób, by Ameryka miała z tego handlu tyle samo co Unia. W obecnej sytuacji z Ameryki co roku wycieka do Unii cała góra pieniędzy, a w drugą stronę handlować się nie da, bo Unia postawiła u siebie bariery na towar z USA. Bariery won – powiedział Trump i dał Unii termin do 9 lipca.

Nie wiem, co będzie. Jestem REPORTEREM zagranicznym, czyli raportuję, co się dzieje. Czy balonik z napisem „Trump" pęknie, dowiemy się za czas jakiś. I być może to jednak Unia pęknie. ©℗

eprasa.pl 5f87de27ee

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ABP FULTON J. SHEEN: „DEKLARACJA PODLEGŁOŚCI" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~933~~ ZŁ

465,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 468 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5f87de27ee

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

CHINY KONTRA ZACHÓD

Z odmętów chaosu ku potędze – Państwo Środka przeszło w ostatnich dwóch stuleciach długą drogę od kompletnego upadku, przez szaleństwa epoki Mao Zedonga, aż do nowego jedynowładcy Xi Jinpinga, który chce uczynić z Chin hegemona

Cud „Pachnącego Portu" – Czy komunistyczne Chiny, stopniowo odbierając Hongkongowi demokratyczne wolności, będą w stanie utrzymać jego wyjątkowy status i powodzenie?

Polski król bez korony – Przez całe wieki do Mieszka II przylegał przydomek Gnuśny, choć władca ten nie zasłużył sobie na tak krzywdzące miano

Warmińskie Lourdes – Objawienia maryjne w Gietrzwałdzie, jako jedyne w Polsce, zostały uznane przez Kościół katolicki

Wybawca z Mille Collines – W czasie ludobójstwa Tutsi Paul Rusesabagina uratował ponad tysiąc osób. Trzy dekady później władze Rwandy wtrąciły go do więzienia na dożywocie

Polska iskra – Robotnicy walczący z władzami PRL o swoją podmiotowość stali się inspiracją dla sowieckich dysydentów, którzy w ZSRS chcieli powtórzyć sukces KOR i Solidarności

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 5f87de27ee